

Poezje
J. Kondratowicza
(Wł. Syrokomli)

Tom I.

Wrocław
M. Miarka Sp.





W. S. Lytkov

POEZJE
LUDWIKA KONDRATOWICZA

(WŁADYSŁAWA SYROKOMLI).

Z PORTRETEM AUTORA.

T O M I.



Mikołów 1922.

NAKŁADEM SPÓŁKI WYDAWNICZEJ K. MIARKI



9721 5

II

884-1

„Zbiory Specjalne”

Akcja K. Nr 281 / 77 / 81.

WSTĘP.

Ludwik Władysław Franciszek Kondratowicz urodził się 1823 r. w Smolkowie w powiecie słuckim. Ojciec jego Aleksander, herbu Syrokomla zasługiwał swoim światłym umysłem i prawem sercem na wyższe stanowisko w hierarchji społecznej! przykrości domowe, kłopoty gospodarskie i brak silnej woli stanęły temu na przeszkodzie. Był więc prywatnym komornikiem czyli geometrą a następnie dzierżawcą w dobrach Radziwiłłowskich. Przeczytajmy Syrokomli gawędę *Kęs chleba* a będziemy mieli w osobie Łagody wierny obraz pana Aleksandra i zarazem wyobrażenie, jak młodemu Ludwikowi lata w domu rodzicielskim upływały, na co patrzył, co słyszał, co się w jego chłopięcej wyobraźni i pamięci zapisywało.

Poduczywszy się czytania, został wyprawiony do szkół księży dominikanów w Nieświeżu. Lata tamże przeżyte upamiętnił w *Urodzonym Janie Dęborogu* i w *Latach szkolnych Dęboroga*. Niestety tej nauki nieświeskiej były tylko cztery lata a po nich jeszcze rok w Nowogródku. Na tem skończyło się jego wykształcenie szkolne. Uniwersytet w Wilnie już nie istniał, a na studja w innych wszechnicach nie stało środków. Ale wróciwszy do domu kształcił się sam dalej, bo czuł powołanie raczej do pióra niż do pługa.

Ojciec Ludwika, dzierżawiący w owym czasie folwark Marchewszczyznę blisko Nieświeża odwiedzał często zamek nieświeski, w którym mieściło się wtedy biuro zarządu dóbr Radziwiłłowskich i chlubił się niejednokrotnie, iż ma syna uzdatnionego do pracy biurowej, pokazując na dowód jego zapiski gospodarcze, które były istotnie spisane kaligraficznie i czystą polszczyzną. Na mocy tych dowodów obiecał p. Adolf Dobrowolski, zarządzający dobrami Radziwiłłowskiemi, dać młodzieńcowi zajęcie w biurze.

Młody Syrokomla zjawił się tam, wiedziony przez ojca, w roku 1841, nieśmiały, w każdym ruchu naśladowający ro-

dzica. Urzędnicy biurowi spodziewali się w nim znaleźć przedmiot żartów dla siebie, tymczasem stał się on wkrótce duszą kolegów, rozweselając wszystkich swoim dowcipem. Nie brakło też żartobliwych wierszyków, które jednak zagięły, ponieważ nikt nie przeczuwał przyszłej wielkości ich autora. Zauważono atoli, że przeglądając jaką książkę, niby zupełnie pobieżnie, mówił o niej jakoby ją był najdokładniej przeczytał. Szczególniej polubił dzieła Kochanowskiego i czasopisma literackie, których mu niechętnie udzielano, ponieważ ich nigdy w porządku nie oddawał.

Młodzi oficjaliści biurowi musieli streszczać piśmiennie podania licznych interesentów cisnących się do kancelarii. Z tego zadania wywiązywał się najlepiej Kondratowicz. Streszczenie jego było zawsze tak jasne, że uwalniało od wczytywania się w szerokie i zagmatwane wywody. Stwierdziwszy to, p. Dobrowolski nie zatrudniał go już mechanicznem odpisywaniem. lecz dał mu do zarejestrowania akta zamku Kopylskiego. To zajęcie dające wgląd w różne drobne sprawy i zatargi domowe Kopylan, dostarczyło mu niemało materiału do pierwszych gawęd, jak: *Zaścianek Podkowa*, *Kradzione*. Następnie zlecono mu spisanie wiadomości historycznych o Nieświeżu; w tym celu dano mu dostęp do miejscowych archiwów, do których go przedtem, jako znanego z roztargnienia, nie dopuszczano. Praca ta umieszczona w III tomie *Starożytniej Polski* jest pierwszą drukowaną próbą jego pióra.

O ile pobyt w Nieświeżu przyczynił się do jego twórczości literackiej, o tyle stał się nieszczęsnym dla ukształtowania się dalszych losów jego życia i, co za tem poszło, dla rozwoju jego działalności pisarskiej. Zakochał się bowiem w pewnej panience, wyznał jej swoją miłość i — spotkał się ze stanowczą odmową. Urażony tem do żywego, aby okazać swe lekceważenie doznanego zawodu, oświadczył się, niby drugi Jacek Soplica, pannie Paulinie Mitraszewskiej, krewnej pp. Dobrowolskich i ożenił się z nią. Był to krok wysoce nierozważny i wielce fatalny w swych skutkach. Młodzieniec 21 letni, bez majątku, bez posady dającej dostateczne utrzymanie bez widoków na jakiekolwiek dochody z pracy literackiej, wiąże się do zgonnie z dziewczęciem, które, prócz pocziwego serca, nic mu dać nie mogło, które ani miłości jego nie zdobyło ani jego umysłu poetyckiego należycie odczuć nie było zdolne! Musiało to z konieczności doprowadzić do bolesnych zawikłań. W dziecinnej swojej radości cenił

on wprawdzie otrzymaną w prezencie ślubnym Historję Literatury Wiszniewskiego nad wszystkie posagi; ale radość tę przyszło drogo okupywać przez całe życie.

Młodzi państwo przenieśli się do Załucza, niedaleko Mira, gdzie rodzice poety mieli dzierżawę i pozostali tu aż do roku 1852. Syrokomla miał tu wieś i ciszę; była sielska swoboda w pożyciu, na czem mu zawsze tak bardzo zależało; było i chleba, choć niebogato, ale narazie od biedy wystarczająco. I dobrych, życzliwych przyjaciół nie brakło. Nie miał ich w okolicznych dworach, których nie szukał, i można powiedzieć i, nie znał; przyjaciół swoich znalazł wśród „braci w kapocie i braci w siermiędze”. Tym to „braciom w kapocie i w siermiędze” zawdzięczamy ocalenie gawędy *Urodzony Jan Dębóróg*. Kondratowicz, omawiając ją w ich gronie przypisywał jej liczne niedomagania i rzucił rękopis w płomienie kominka; dobył go stamtąd jeden z obecnych a następnie całe towarzystwo uprosiło poetę, żeby ten utwór zachować. Zresztą „kto z dawnych kolegów ciągnął gościńcem Mirskim, nie mógł nie nałożyć parę mil drogi, aby uczcić ukochanego lirnika”. W ślad za dawnymi kolegami szła młodzież studencka i szli inni, tak, iż n. p. w sierpniu 1851 r. pisał do Kraszewskiego: „Od 1-go czerwca próżnuję najbezpieczniej dzięki gościom. którzy, luzując się, w Załuczu zabierają mi fotel, drabują po książkach, odrywają mnie od pracy. W wakacyjnej porze młodzież uniwersytecka kolejno mnie odwiedzała... dziś od dwu miesięcy pierwszy dzień w Załuczu niema gości”. Podobnych doniesień spotykamy w jego listach więcej.

Miał tu więc niby wszystko, czego pragnął, a jednak nie były to bynajmniej wymarzone warunki na pracę literacką. „Wyobraźmy sobie stary, ciasny domek, a w nim szczupłą stancyjkę, którą poeta na pracownię dla siebie zachował. Tu z jednej strony dolatywał go krzyk, płacz dzieci przez cały dzień, a z drugiej rano i wieczorem zgiełk czeladzi gospodarskiej. Że Kondratowicz sam czuwać musiał nad gospodarką, że na nim ciążyła opłata dzierżawna, co moment tedy wyradzał się do niego interes-od ludzi nieznanających żadnego względu na powagę jego literackich zatrudnień”. Tak opisuje stosunki w Załuczu jeden z najbliższych jego przyjaciół. Dalszą niedogodnością, i to bardzo poważną, był brak książek niezbędnych do jego zajęć, gdyż w pobliżu nie było żadnej biblioteki, a na zakupno dzieł potrzebnych nie stało środków. Przykrości z tego powodu były tem dotkli-

wsze, że był chciwym wiedzy i że podjął się prac wymagających znacznego materiału literackiego.

W roku 1846 pomyślał o przetłumaczeniu poetów polsko-łacińskich. Była to myśl znakomita; te zabytki naszej poezji bowiem, w których jest wiele polskiego, swojskiego, były dla społeczeństwa naszego wskutek zmiany w obyczajach i w wychowaniu jakoby zaginęły. Szło o to, aby je literaturze przywrócić — nie suchą formą, ale życie z nich wydobywając. Nie zamierzał jednak sam tłumaczyć wszystkiego, lecz miało się to dokonać pracą zbiorową. Niestety, pomimo iż myśl znalazła publiczny poklask i były obietnice współpracy, skończyło się na tychże obietnicach. Prześlęczał nad tą pracą dobre dwa lata, a jak dalece ważnością jej był przejęty, świadczą następujące słowa: „Nieprzywiązuję prawie żadnej wartości do moich prac oryginalnych, ale *Przekłady* te nad grobem poczytam sobie za ważną w literaturze przysługę... jakkolwiek miernie mogłem dokonać przekładów, należy mi coś za pomysł, za mózół; to moja cześć dla praojców“. W istocie pomysł był przedni i mózół ogromny, ale i rzeczywista, istotna wartość tej pracy jest poważna i trwała — i nie mała była z niej korzyść dla jego własnego wykształcenia.

Równie mozolną i niewdzięczną była praca nad *Historją Literatury Polskiej*, którą w tymże czasie podjął. I przy tem zajęciu odczuwał on dotkliwy brak książek a nadto czuł, że potrzeba niezmiernych przygotowań i studjów, żeby to zadanie zadawalniająco wykonać. Na dobitkę wydawca nalegał na pospiech. Nie zaspakaja go więc ta praca, biada nad nią jako nad *nieszczęsną*. W rzeczy samej posiada to dzieło swoje niepoślednie zalety. Czego nie mógł subtelnym dociekaniem zgłębić, odgadywał instynktownie. Przytem umysł jego świeży, nieopętany żadnym systemem, żadną z góry powziętą ideą, czysty i miłujący prawdę, posiadał wielki przymiot; był bezstronny. Czytał, badał i, nie oglądając się na nikogo, zapisywał swoje wrażenia, jak mu przyszło. Dał więc poglądy niespodziane i uderzające swoją szczerotą; stąd urok świeżości tej jego książki, która mimo swych niedostatków była piękna i w swoim rodzaju pouczająca. Miała objąć w dwóch tomach dzieje literatury aż do czasów najnowszych; pierwszy z nich ukazał się drukiem jeszcze podczas pobytu poety w Załuczu, a sprzedał on go za 150 rubli i uważał to za doskonały interes.

Te lata w Załuczu spędzone były najszcześniejsze w życiu poety, ale bynajmniej nierozkoszne. Podczas pracy nad *Przekładami* przechodził on ciężką chorobę duru czyli tyfusu, a upały letnie były nieznosne dla jego słabych piersi. I rodzinę jego nawiedzały często choroby, czem się zawsze bardzo żywo przejmował. Dalszem utrapieniem były troski gospodarskie, które go zanadto odrywały od zajęć literackich. Myślał więc o tem, żeby zwinąć dotychczasową obszerną gospodarkę i kupić sobie włókę gruntu na własność; ale te marzenia nie doszły do skutku. Tymczasem niepowodzenia gospodarskie, nadmierna gościnność i poetycka niezaradność w sprawach kupieckich powodowały coraz częstsze i coraz cięższe kłopoty pieniężne. Chce tedy w sierpniu 1851 r. wziąć inną dzierżawę, bo „Załucze, bogate w zielone łąki, złociste piaski, rzewne słowiki, nie daje chleba“. Starał się przysporzyć tego chleba przez tłumaczenie kronikarzy polsko-lacińskich i Kromera, wszelako dochód z tych przekładów i tłumaczeń szedł przeważnie na opłaty książek, których był zawsze spragniony. Zresztą dusza jego poetycka, „zamknięta w perłowej skorupce wiejskiej, musiała wyżej pragnąć; człowiek świeży, młody, niewyburzony, nieużyty musiał marzyć o czemś więcej“. Przeniósł się więc pod koniec 1852 r. do Wilna. Był to krok nieuchronny, ale najnieszczęśliwiej wpłynął na dalsze losy poety. Przekonał się o tem niebawem, jak stwierdza list jego z marca 1853 r. do Kraszewskiego.

„Nie mam się czem chlubić, że Scylli trafiłem na Charydbę. Tam wioskowe nudy, a w ostatnich czasach bolesne wspomnienia wbijały mnie na krzyż; czułem tęsknotę do ludzi; bez ich towarzystwa książka ani natura nie smakowały mi. Tu druga ostateczność: życie realne dręczy mnie, rozprasza ducha. Nie umiem żyć w mieście, uczę się tej trudnej sztuki... Gdyby nie noc, nie miałbym ani chwili czasu na pracę intuicyjną; prace więcej mechaniczne, poszukiwania historyczne i t. p. lepiej mi się wiodą, bo też tu większa obfitość źródeł... Czuwam wciąż nad sobą i kolejno staram się usuwać się od gwaru, a małych mych wpływów i czasu, które tracę staram się używać na wyniszczenie koteryj, na zaszczerpienie harmonji między tymi, którzy, stojąc na wznioślejszem stanowisku, dobry przykład ogółowi stawić powinni... Nim się twój pobyt w normalny zamieni, nim spowszedniejesz dla ogółu. nim koterje szarpać cię poczną, nim przyjaciele, zamiast przesadzonej admiracji zaczną cię po prostu kochać, póty nie znajdziesz spokoju... Nie tracę nadziei, że nako-

niec odnajdę tu siebie samego, ale czy prędko?" Nie doczekał się tego. Do miasta potrzeba wytrawniejszych ludzi, on był i został aż do końca życia dzieckiem śpiewającym, marzącem, biorącym w swej prostocie wszystkie pozory za szczerość istotną, dzieckiem nieświadomem fałszu. Stokroć zawiedziony brał się na wędkę tych pozorów jak ryba, która co tylko połknęty haczyk w sobie nosi.

Zawiedziony w swych marzeniach, nie doczekawszy się też posady, któraby zapewniała byt materialny, wziął w dzierżawę Borejkowszczyznę o dwie mile od Wilna. A list pisany stąd w lipcu zdradza już duszę zboląłą, silnie cierpiącą: „Opuściłem miasto, gdzie jakem się pompatycznie przechwalał, miałem grać rolę pojednawczą... Skończyło się bardzo prozaicznie; upadłem pod komarowemi żądłami plotek, obmowy ludzi, co mnie zrozumieć nie chcieli czy nie mogli... Wziąłem dzierżawę, pomimo że gospodarzyć nie umiem i nie lubię. Nie mogę i nie chcę zrywać z ludźmi, ale znajduję, że chcąc kochać ludzkość, potrzeba na nią patrzeć z pewnej oddali... Mnie znękanemu i ręce opadają i pierś osycha ze zbawczej wiary". Opuścił on Wilno uciekając od rozpacz, ale niewiara w ludzi poszła za nim i ścigała go jak widmo, co już nigdy go opuścić nie miało. W poezji, w listach, w życiu odbija się to straszne rozczarowanie. Postanawia ludzi brać takimi jak są, a pomimo to chce z nich mieć ideały i rozbija się o rozpacz, gdy anioły przedstawiają się jako kościotrupy". Za odstręceniem od życia poszło zniechęcenie do poezji i pracy; świat stracił urok, więc i poezja była „cudownem kłamstwem;" po co miał śpiewać i komu? Szyderstwo na zsiniałe wybiegło usta a lzy na oczy.

Stosunki jego domowe układały się coraz gorzej. W r. 1853 ofiarowano mu posadę redaktora w Bibliotece Warszawskiej, ale jej nie przyjął, bo, jak powiada karjery nie potrzebuje a przenoszeń i marzeń o poprawie losu ma już do syta. W r. 1854 donosi Kraszewskiemu: „Tak już mnie sądzono, że muszę wiecznie cierpieć od mrówczych żądań, jakimi drobne kłopoty życia nieustannie mnie kołają. Po przecierpieniu wielu osobistych przykrości przyszło mi kłopotać się sprawami mojego ojca, który ma tutaj z możliwym panem interesa z rzeczy dzierżawy". Wyznaje wreszcie, że brak mu chleba. Otóż, żeby temu brakowi zaradzić, musiał rzucać swój talent kawałkami na pastwę potrzeb codziennych, musiał tworzyć gorączkowo i sprzedawać, nie mając czasu na staranne wykończenie. Na dobitkę choroby coraz częstsze

i cięższe przerywają tę robotę autorską. R. 1855 zawiodła go oferta redaktorstwa w *Gazecie Codziennej* do Warszawy. Przyjmowano go tu, jak wogóle obcych i chwilowych gości, gościnnie, hucznie, toastowo i wesoło. Ale on poznał się rychło na tem, że być w Warszawie a żyć w Warszawie poecie i literatowi są to dwie rzeczy zupełnie różne: pierwsza nieskończenie przyjemna, druga niesłychanie trudna. Może też wyczuł, że większość tamtejszych wielkości literackich nie była mu życzliwą. Zaniechał więc swoich rojeń redaktorskich i wrócił do Borejkowszczyzny, gdzie zastał już chmurę kłopotów.

Uginał się pod ich brzemieniem coraz bardziej. Nie przedstawiał jednak pracować. Było to lekarstwem na utrapienia. Szukał w pracy ulgi, zapomnienia rzeczywistości, bo coraz mniej wierzył, żeby mu ten trud wystarczył moralnie do uspokojenia a materjalnie na chleb powszedni. Zabrał się nawet do utworów dramatycznych. Dlatego też, kiedy w r. 1857 stworzono w Żytomierzu teatr, ożywił się, pragnąc podnieść scenę Wileńską. Ostatecznie, chcąc być bliżej życia literackiego, osadził rodziców swoich w Borejkowszczyźnie a sam przeniósł się w kwietniu na przedmieście Wileńskie, Popowszczyznę. „Przedmieście to niby, pisze, a jednak wygląda gorzej niż wołyńska wioska — takie to ciche, takie odosobnione... Możnaby tu żyć z Bogiem, książką i naturą, lecz tyle węzłów łączy człowieka z owym dymnem, hałaśliwym miastem. że wir jego porwie cię o poranku ze świeżą myślą, z lekkim sercem, z ochotą do pracy, a wieczorem wyrzuci na brzeg w oplakany stanie rozbitka. Trzeba kraść od siebie i od ludzi drobne okruchy czasu; ale co z niemi począć, gdy myśl potargana w tysiączne strony, nim odzyska właściwy kierunek, już znowuś oderwan gdzieindziej. Trochę zasługi, jakie ma to życie czynne i towarzyskie, nie wynagradza ciągłej tortury. Ofiarą jej byłem przez większą część życia. przywykłem do niej a jednak miewa swoje bolesne momenta. ...Rozrywki. jakich sobie dozwalam, ograniczają się na teatrze i koncertach... Myśli i uczuć tu prawie z nikim nie dzielę. Mam dobrych znajomych, mam przyjaciela jak brata, ale punkt, z którego na nich patrzymy, jakże jest różny!... Używam cudzej ręki do pisania. Dyktowanie stało się u mnie nałogiem. Jestem swobodniejszy, proces pisania mnie nuży“.

Tegoż roku latem był w Warszawie przez poświęcenie dla osób, w których przywiązanie dla siebie wierzył pomimo

mnogich dowodów samolubstwa. W listopadzie żali się do jednego z przyjaciół: „Co ja mam ciosów do zniesienia, boleści do odcierpienia, tortur prawdziwych na tym padole, trudno Ci opisać. W chorem sercu, w zbolącej głowie taki bezład, że niepodobna mi nawet użyć najskuteczniejszego na cierpienia ducha lekarstwa — pracy. Pióro z rąk wypada“. Marzył jednak o podróży do Włoch, po której się wiele spodziewał. Tymczasem wikłały się losy jego coraz tragiczniej, a niedostatek przechodził często pojęcie, jakie ludzie o nim mieć mogli. W tej chwili przełomu mogłaby zbawić poetę moralna pomoc ludzi otaczających, ale koło przyjaciół się rozsuwało, nikt nie zdobył się na to, aby go ze zgubnego odosobnienia wyciągnąć.

W styczniu 1858 r. dawano w Wilnie po raz pierwszy Kacpra Karlińskiego z niesłychanem powodzeniem. Teatr był przepelniony, wywoływano autora kilkakrotnie, obсыpywano go kwiatami, rzucano mu wieńce. Niektóre z tych kwiatów płacono po kilkadziesiąt złotych i zanoszono mu do domu. Wśród tych owacyj była w domu poety największa nędza. Księgarz Ass odmówił mu pożyczki kilku rubli na strawę powszednią, biedna żona musiała wziąć od stróża domowego kilka złotych na zgotowanie obiadu dla tego, którego obsypywano kwiatami za setki rubli. Oto jeden obrazek z tysiąca... straszny całą prawdą rzeczywistości.

W marcu wraca w jednym z listów swoich znów do zamiaru podróży: „Ale podobno na marzeniu się skończy... a ja, póki się nie zdobędę na wyjazd, to umrę ze zgryzot. Potrzebuję odświeżenia i moralnego zmartwychwstania. Oderwać się od prac, które mi nie są po sercu a które dla chleba rzemieślniczyć muszę, odetchnąć waszem towarzystwem, posiedzieć w Krakowie, dla którego zawsze miałem cześć religijną, pojechać do Włoch, rozmarzyć się bohaterskimi wspomnieniami starej Romy, łzą i modlitwą w świątyni Piotra omyć duszę. aby była szczęśliwszą i lepszą: oto moje marzenie. Prawdziwym byłby zbawcą moim ktoby mi w tym razie podał rękę. bo i mnieby wskrzesił i zdołał uczynić pożyteczniejszym dla kraju to pióro. które z ręki zmartwiałej teraz wypada, tę głowę, która beczynninie zwisa na piersi, to serce które tylko boleć bezpożytecznie potrafi“.

Pozostało to niestety marzeniem. Ale w maju wybrał się Syrokomla do Wielkopolski i Krakowa, znów w cudzych interesach. Miał jednak tę pociechę, że w kraju odpłacano mu wszędzie miłością za miłość. Garnęli się doń znajomi i nie-

znajomi, podejmowano go z zapalem i ugaszczano serdecznie. A on, dziki nieco i zawsze wśród obcych bojaźliwy, stronił od ludzi. W Poznaniu przebył kilka dni zupełnie ukryty; i tylko przypadkiem wydobył go ktoś z jakiegoś kąta na Garbarach, aby go przyjaciele uczcić mogli. Bywał podczas tej podróży całymi dniami przybity i chmurny; dopiero widok miejsc uświęconych wspomnieniami dziejowemi i zapal otoczenia dobywały zeń łzę i słowo. Zdarzało się, że chybiał zaproszeń, lękając się świata w białych rękawiczkach; nie znosząc fraka i miny frakowej, uciekał nieraz między rzemieślników. Ostatecznie owe owacje nie były zdolne usunąć kłopotliwej sprawy domowej która go za powrotem powitała; bodaj czy nie spotęgowały jej nawet. Píše bowiem do przyjaciela: „Boleść, żal do drugich, wyrodziły we mnie zasklepienie się w sobie; po całych dniach marzący, beczynny siedziałem na wsi, nie mając nawet tyle siły, aby dopomóc biednej matce w jej kłopotach“.

Zrywa się z tego letargu niejednokrotnie, aby weń popaść na nowo, zwłaszcza że do innych utrapień przyłączyły się uprzykrzenia z powodu zjadliwej krytyki, która, o ile w początkach jego zawodu literackiego była mu może aż nadmiernie życzliwa, teraz zniechęcała złośliwością. Dla poratowania zdrowia jeździł latem do wód w Druskienikach lub Birsztanach, ale zdrowie było już złamane. Życie wlokło się smutnie, a choroba, która go obalić miała, trawiła powoli. Budzi się niekiedy, ale w tem czuć dogorywającą lampę. Mrok snu wiecznego osuwa się na wyplakane powieki. Stan jego beznadziejny odzwierciedla się najlepiej w jego własnych wynurzeniach. Oto co pisze w 1859 r.: „Na zdrowiu okropnie upadam; ledwie widzę, co piszę, tak mi wzrok osłabnął, solum mihi superest sepulchrum... Dzisiaj już nie cierpię, ale wpadłem w stan apatii, gorszy od cierpienia... Przebolełem wiele, ale dziś nie już nie cierpię, przyszedłem do zupełnej równowagi serca i rozumu, to znaczy: nie mam dziś ani rozumu ani serca... A tymczasem 21 głodnych gąb czeka na mnie, 50 żydów drzwi oblega; z jednym się godzę z drugimi się kłócę i tak sobie życie ubiega, a z każdym przebyłym dniem jakoś słodko pomyśleć, że bliżej do grobowego łożeczka, w którym ot się wyśpię po tylu trudach i znojach życia“.

R. 1860 takie wywodzi żale: „Wzmocniony na duchu zapadłem ogromnie na zdrowiu; rozwinął mi się ból piersi, kaszel, odjęło zupełnie władzę w nogach; nie są to suchoty, ale

coś bardzo do nich podobnego. Stagnacja staje się mimowolną, roboty zalegają, kawał chleba szczupleje a wydatki się mnożą. Cóż począć? może da Bóg że nie upadnę pod ciosem. Nie chciałbym prędko umierać, bo wiele, bardzo wiele mam obowiązków... Artretycznie do łóżka przykuty nie mogę wygodnie wziąć do rąk pióra... Choroba zewsząd, choroba! czuję ją w nogach, w piersiach, w mózgu, w sercu“.

Pasuje się jeszcze dwa lata z niemocą, wysila się na pracę i jeszcze w ostatniej chwili dyktuje list do Kraszewskiego, w którym ludzi się „słodką nadzieją, że w pełnem zdrowiu... sztandar pracy, rozwinie“. W dwie godziny później skończył swój zawód pełen boleści 15 września około 9-tej wieczorem 1862 roku.

Umarł na nadmiar serca, jak słusznie wykazuje Kraszewski.

„Są ludzie, którzy umieją powiedzieć sobie, że ziemia jest ziemią, nie odblaskiem nieba i jego siostrzycą, że ludzie są nieco wykształconemi zwierzętami, w których iskierka walczy przeciw potężnej bryle materji; że trzeba przyjąć dolę choćby nie miała anielskiego oblicza, skrzydeł ani uśmiechu anioła: ale są biedne dusze. które sen jakiś od przyjścia na świat owładnął. Dla nich świat jest ideałem, jeśli nie cały, to gdzieś po kątach, to w wybranych; one tak potrzebują nieba, że gdy go nie znajdują na ziemi, konają jak Arab w pustyni bez wody. Syrokomla należał do tych ludzi rozmarzonych snem przedświatowym na całą dolę. Na nieszczęście nawet tych okrucich ideału, którego tak pragnął, nie znalazł nigdzie. Biedny! jakże nie miał się zrazić i boleć! Nie znał człowieka i nigdy go znać nie mógł; widział tylko uosobione anioły i wcielone szatany, a wpośrodku lalek trochę; prawdziwy, biedny syn ziemi był i miał dlań na zawsze pozostać zagadką

Słyszał o nim, nie chciał weń wierzyć, przypuszczał go, a serce odpychało ten zlepek słabości i nędzy.

Dlatego ze szczęścia blasków tak mu było łatwo zstąpić w otchłanie rozpacz, a na tę rozpacz szukać choćby najpospolitszych zapomnienia środków. Powolnem samobójstwem doszedł do mogiły. to śmiejąc się, to płacząc, a nie pragnąc nawet długiego życia, ostygnięcia i rozumu“.

Ale, wiele mu będzie przebaczone, bo kochał wiele. „Serce to pełne było miłości dla kraju, dla braci, dla wszystkiego co nasze, co szlachetne, co piękne, co pocziwe, co wzniosłe; żaden przesąd nie ograniczał tej mi-

łości bez granic, prawdziwie chrześcijańskiej i olbrzymio aż do nierozwagi, aż do zawodu potężnej. Stąd cały smutek jego życia! Dawał całe serce, nigdzie nie znalazł w zamian równie wielkiego uczucia i śmiech ironji przełzawionej bólem, wychodził z ust jego drżących. Milczał smutny, skłopotany, nie wiedząc już jak się do ludzi odezwać, chyba tą pieśnią, tak uroczą formą, tak serdeczną treścią“.



Roku 1846 ukazał się w *A t e n e u m* pierwszy jego utwór poetyczny: *T r z y g w i a z d k i*. W tym poemaciku, „choć forma nie jest jeszcze tak swobodną, tak uroczą, jakiej później nabył poeta, już jest przecie jego charakter: piętno smutku, rzewność, prostota, i oba te żywioły, które we wszystkich jego utworach splatają się na tkanę udatną: ironja i wiara, uśmiech i łzy, najwydatniejsze owoce życia, stojące na dwóch krańcach, a przecież tak często siebie bliskie. Ten staruszek, ten panicz, ten pejzaż litewski, są światem, z którego trudno mu się już będzie wydobyć. Od razu jest on sobą, najlepszy dowód że był prawdziwym poetą; inni szukają dróg mozelnie, ze światłem sztucznem: jemu ona była wskazana we wnętrznem uczuciem. Znajduje ją nie biedząc się o nią, idzie nie mogąc opuścić. Ilekroć nawet studja, wymagania ludzi, krytyka dziwaczna chcąca zawsze gruszek na jabłoni lub jabłek na gruszy, zbija go z tego toru, który talentowi wyznaczyła natura — Syrokomla traci, przestając być sobą. Jest największym poetą, gdy śpiewa swe na pół łzawe, pół uśmiechnięte gawędy, swą piosenkę lirniczą, swą tęsknotę i dobroduszy żarcik, próżno próbujący być złym.

Zdało się i innym i Syrokomli, że przy tym pięknym darze, który tak był w pierwszych jego pismach widoczny, byle chciał *paulo majora canamus* powiedzieć sobie, toby wyśpiewał coś dla świata, wedle idei nazywającego się wielkiem. Niestety. on miał swą wielkość własną, naturalną i nie potrzebował szukać sztucznej. Potrzebował tylko myśleć, czuć, dumać kształcić się, a potem śpiewać, co mu serce przyniosło. Instynkt najlepszy przewodnik, natchnienie najlepsza z teoryj, wieść go były powinny; ale aby światu dogodzić, człek nieraz gwałt sobie zadawać musi.

Syrokomla też ulegając ideom błędnym, wymaganiom, narzuconym mu planom, zbijał się z tropu kilkakroć: to szczęście, że natura zwracała go na gościniec właściwy. że napisawszy coś dla ludzi, śpiewał potem dla siebie, dla po-

trzeby śpiewania. I to, co w ten sposób wynucił było zawsze najlepszem.

Od 1844 roku, jak sam powiada, do 1862, przez lat osiemnaście życia okowanego w kłopoty i cierpienia, więcej może zostawił, niż słusznie po nim wymagać było można; — więcej, niż był powinien.

Położenie jego, nędzny ten kawałek chleba tak potrzebny, tak dla wielu przychodzący łatwo, tak dla tych, co myślą i sercem pracują, trudny do zapewnienia: nieustannie podzegał do roboty i wyczerpywał. Ilość dzieł u niego jak u wielu innych wpłynęła niewątpliwie na zmniejszenie ich wartości, ale to, co pozostawił, świadczy o talencie świeżym, rodzimym, pełnym serca, o charakterze szlachetnym acz nieco słabym, o człowieku który wśród tak zbudowanego świata, jakim on jest, bez szwanku przejść nie mógł.

Jako poeta Syrokomla miał dar niepospolity, miał swój język, swą formę, miał nadewszystko swój głos olzawiony, rzewny, dziecinnie prosty i szczerzy, którego urok działał na najzimniejszych. Powiedział on dobrze, nie wiedząc że powtarza słowa Musset'a, w ostatnich poezjach:

Po obłokach się kołysał,
Wiersze pisał,
Czytał w książkach w noc i we dnie
Jakieś brednie.
Dał każdemu wieść się w pole
Jak pacholę.
A jeżeli rzec nawiasem,
Płakał czasem.

Te to łązy są wonią czarodziejską jego poezyj, są ich brylantową rosy kropelką.

Krytyka może dotknąć wszystkich niemal jego utworów, wykazując w nich strony ułomne, dowodząc uczenie, czego im braknie, przekonywając że mogłyby stokroć być udatniejsze; ale wielkiej tajemnicy ich uroku, którą serce pochwycić tylko może, nie wytłumaczy, ani jej odejmie pieśniom Lirnika.

Odrzuciwszy wiele, zostanie zawsze po Syrokomli tyle, ile potrzeba, aby poszedł z wybranymi w pamięć przyszłości z tą sympatją, którą ogół daje cierpieniu i łzie wylanej. Dziecię Litwy, lirnik wioskowy, będzie w poezji tych dni typem swego kraju, jego obyczajaj, pocziwości.

Syrokomla nie stworzył może *Gawędy*, w której celował, ale ją odtworzył inaczej, po swojemu, tak, że się stała

jego własnością, że może się nazwać jego formą najwłaściwszą. *Pol* w niej jest zamaszysty, szlachecki, katolicki, zachowawca, na chłopa pogląda z wysoka i przyjmuje go tylko jako ideał wiernego służki; Syrokomla przed wszystkim kocha lud, szlachcica lubi, ale ubogiego i jak najbardziej zbliżonego do ludu, woli jednak wieśniaka i czuć, że wierzy w przetworzenie się społeczności, w zespolenie się wszystkich jej pierwiastków. Forma Pola w *Gawędzie* niekiedy jest piękną i artystyczną, zawsze opracowaną dosyć wykwintnie; u Syrokomli pracy jest mniej, ale forma daleko wdzięczniejsza od razu, rzutniejsza a serce przez nią mówi szczerzej: czujesz jak kołacz. Pol nie umie być ironicznym bez gniewu, pierś mu się unosi oburzeniem, gdy sztydzi; Syrokomla, jak na przykład w tym wierszu do Szlachty tak gwałtownym, jeszcze czujesz, że wzruszony potępićby nie miał odwagi ni sily... Lada słówko, rzuciłby się na piersi.

Pol często, rzekłbym prawie zawsze, pamięta dobrze co czyni: pozuje, myśli o tem, jak się wyda, co powiedzą; Syrokomla jest sobie, jak go Bóg stworzył, gotów popelnąć wiersz nieszczególny, a fałszu ci nie powie dla efektu.

Wiersz Syrokomli jest prześliczny, łatwy, płynący ze źródła, nie robiony, ale tworzony. Gdy ma natchnienie, złoto z ust jego płynie. Wierszy robionych jest dużo równie pięknych może często szczęśliwszych, ale to są dzieła przemysłu fabrykantów zręcznych, którzy rzemiosło znają, a nie mają ducha.

Jest on z Bożego natchnienia poetą, nie udawanym, nie wyrobionym sztucznie w jakiejś szkole, nie sztukmistrzem który się bieli. różuje, fryzuje i zalotnie postawić umie, ale kwiatem co się otworzył do słońca na litewskim piasku u Niemnowego brzegu, pijąc z powietrza rosę i skwary; z wonią naturalną swoją własną. Jego barwa, jego zwiędnięcie, przychodzą mu opatrnościowo; niewiele robi z siebie, ale nie przetwarza się przeciwko naturze i pozostaje sobą do końca. Przytem człowiek przebija się przez poetę, człowiek którego nie można nie ukochać, nad którym nie można nie zapłakać“.

Dlatego to niema pewnie poety, którego utwory przeszły w tej mierze na własność ogólną, czy to jako pieśni kościelne i domowe, czy jako utwory sceniczne.

Od chaty do chaty, do grobowej deski
Z swą lirą wędrował nasz lirnik litewski.
Witały go dwory, witała go strzecha,
Wtórzyły mu wdzięcznie zabłąkane echa:
Bo z jego lirenki leciały piosenki,
Jak szare skowronki wzlatwały z pod ręki.
Pod sercem się łęgły, pod sercem prostaczem,
Wyniańczone smutkiem, wykarmione płaczem.
I tak mu śpiewały, gdzie jeno się ruszył,
Że próżno je głuszył — śpiewania nie zgłuszył.
Udanem weselem nie zabił żalości,
Ból rzewny, głęboki, jak wilgoć wszedł w kości:
I przegryził mu serce, żalością przepoił,
I oną udaną swobodę rozbroił.
Daremnie wśród świata próbował wytchnienia;
Za małe pociechy, za wielkie cierpienia.
Mocniejsze przemogło: gdy targnęło struny,
Od ust mu odleciał kielich niespełniony.
Wygrałaś piosenko, kochanko z za świata,
Zabiłaś śpiewaka, zabiłaś nam brata.
Odleciał w te strony, gdzie leci twa nuta:
Zwłok tylko pozostał jak lira popsuta.
Odleciał w powietrze burzami splukane,
W to czyste powietrze. jak balsam na ranę,
W te strony błękitne, gdzie błogo, serdecznie,
Gdzie cicho, swobodnie, gdzie jedno bezpiecznie.
A bracia mu piszą na kamień grobowy:
Spoczywaj Lirniku — nasz bracie wioskowy,
Spoczywaj Lirniku, a zioła nadgrobne
Niech szemrzą nad tobą jak struny żałobne,
Wzruszone powiewem ojczystej dąbrowy.
Spoczywaj Lirniku! nasz bracie wioskowy.

Florencja, wrzesień 1862.

T. Lenartowicz.

UTWORY EPICKIE.

POCZTYLION.

GAWĘDA GMINNA.

Tu piją i gwarzą, ty jeden w tej wrzawie
Wyglądasz jak jeniec w niewoli; —
Weź czarkę, weź lulkę, siądź tutaj na ławie,
I powiedz, co ciebie tak boli?

Ni dzwonek, ni trąbka, ni krasne dziewczęta
Nie mogą rozerwać twej nudy;
Dwa lata tu żyjesz, a nikt nie pamięta,
Ażebyś był wesół jak wprzód.

— O! bo też mi gorzko, bo smutno mi wszędzie,
Niemiło na świecie, niemiło!
Daj czarkę! przy czarce odważniej mi będzie, —
Posłuchaj, co mi się zdarzyło:

Gdym przystał na pocztę, zbyt jeszcze był młody,
Lecz dusza dość miała swej mocy;
Nie znało się wprawdzie wygody, swobody,
Nie było ni święta, ni nocy.

Od ranka do zmroku, od zmroku do ranka
Woziłem pakiety i pany; —
Dostałem złotówkę, — o! wtedy hulanka,
Wesoły, i syt, i pijany!

Zwodziłem dziewczęta, skarbiłem przyjaciół,
Z pisarzem jak z równym i kwita;
I konie mię znały — jak gwizdnął, jak zaciął,
Rwą moje siwaki z kopyta.

Wesoło wieść pocztę! zatrąbię na moście:
Tu kogoś się spędzi, tam spotka,
Tu wiozę panicza, tu młode jejmoście,
O! wtedy pewniutka dwuzłotka!

Lecz serce me jednej oddałem dziewczynie, —
Mieszkała w wiosce o milę;
Bywało, wracając, nigdy się nie minie,
Choć krótką przepędzę z nią chwilę.

Raz woła mię pisarz w północnej coś porze,
Natychmiast się budzę, przychodzę, —
A była to zima, mróz tęgi na dworze,
Zawieja, zamioty na drodze.

„Powieziesz sztafetę!“ — „Oj, лихо przywiodło!“ —
Tak sobie odchodząc mruczałem.
Za pakiet, za trąbkę, za konia, za siodło,
I w moment puściłem się cwałem.

A tutaj wiatr świszczę, śnieg kręci i ciemno,
A przytem okrutne bezdroże.
Dwa słupy wiorstowe mignęły przede mną,
Podjeżdżam pod trzeci — o Boże!

Wśród wichru poświstów, głos z płaczem zmieszany
W bok drogi gdzieś woła pomocy;
Myśl pierwsza: — Pomogę! ktoś pewno zbłąkany
Brnie w śniegu i zginie wśród nocy.

Zwróciłem już konia — wtem, jakby mi zda się,
Ktoś szepnął: „A tobież co po tem?
Ej lepiej godzinkę zyskawszy na czasie,
Odwiedzić swą dziewę z powrotem“.

Strach serce ogarnął, zaledwiem mógł dyszeć,
Pot zamarł kroplami nad czołem.
Jam w trąbkę uderzył, by jęków nie słyszeć,
I dalej siwego zaciąłem.

Wracałem o świcie — trzy wiorsty od domu,
Strach znowu ogarnął mię skryty:
Duch zamarł, a serce, szepcąc pokryjomu,
Stukało jak dzwonek rozbity.

Przy słupie koń parsknął — zjeżyła się grzywa —
Na drodze, pod płachtą powiewną,
Pod warstwą zamieci — kobieta nieżywa,
Skostniała, bezwładna jak drewno.

Strząsnąłem płat śniegu na białej jej szacie
I trupa wywlokłem na drogę;

Otarłem śnieg z lica... — To była... Ach! bracie,
Daj czarękę, dokończyć nie mogę.

1844 w kwietniu. Załucze.

BŁOGOSŁAWIONY SADOCH.

LEGENDA KRAJOWA (1260 r.)

I.

Nad Polską słońce poranne plynie —
Nie nad żyznemi pola rozłogi,
Bo same pustki, trupy, pożogi
W błogosławionej Piastów krainie;
Bo pełne niwy, zamożne wioski,
Bogate miasta kwitnącej Polski
Nawiedził srogi miecz kary Boskiej,
Wróg chrześcijaństwa, zbójca mongolski.

Kędy przeleci Tatarzyn dziki,
Szlak swój naznacza krwi polskiej falą;
Co noc to szerzej łuny się palą,
Co dzień straszliwsze rozpaczy krzyki.
Już na popiołach zielsko zarasta,
Już kości trupów w polach bieleją,
A jeszcze nowe wioski i miasta
Kapią się we krwi i popieleją.
Wróg swe zagony dalej zapuszcza,
Morduje, więzi, łupi, bezcześci;
A jak donoszą codzienne wieści,
To już w Lublinie pogańska tłuszcza.

Niepłonne wieści popłoch rozszerza —
Zwiastuny nieszczęść lecą przed wrogi,
I można szlachta, i kinieć ubogi
Tłumem się sparli do Sandomierza.
Bo w Sandomierzu pewniejsze wsparcie:
Zamek kamienny, wysokie wieże,
Gruby ostrokół warowni strzeże,
A zbrojny zastęp stoi na warcie.
Dzielnych łuczników skaliste łona
Zniosły miecz Niemca, Litwina topór:
Oni Tatarom postawią opór,
W nich cała ufność, cała obrona.

II.

Nad Sandomierzem poranek płynie —
Ale tak cicho, tak głucho wszędzie,
Że w całym mieście, w całej krainie
Z żadnej się piersi głos nie dobędzie.
Tak głucho w mieście w porannej chwili,
Że ci, co bramy zamkowej strzegą,
Mogliby słyszeć szelest motyli
I liczyć bicie serca własnego.
Jeden głos tylko, jeden ślad ludzi, —
Dzwonek kościelny milczenie budzi.
Rój Dominika zakonnych braci
Niedawno jeszcze w tych stronach gości;
A już sercami narodu włada,
Już lud cudowne rzeczy powiada:
O białych szatach, świętej postaci,
Nauce, cnotach i pobożności.
I teraz nawet Pańscy kapłani,
Tłumiąc odważnie postrach powszedni,
Co się wokoło rozchodził wszędy,
W bezludnem mieście zostali jedni
I, w swoich celach modłom oddani,
Sprawują śmiało święte obrzędy.
Dzwonią na jutrznię — i całą rzeszę
Na ranne modły do chóru spieszą, —
Każdy z różańcem, z księgą, schylony,
Z okiem pobożnie utkwionem w ziemi,
Młodszy po przedzie, starsi za niemi,
A dalej starzec, ich przełożony.
Imię mu Sadoch — i lat już wiele,
Jak nosi szatę swego zakonu,
Jak niesie modły do Niebios tronu
I ostrą włosień nosi na ciele.
Z młodu wiódł żywot niemniej surowy,
Bo, dzieląc Jacka z Czesławem trudy,
Przebiegał boso pogańskie ludy
I szczepił u nich krzyż Chrystusowy.
A choć mu teraz prace i lata
Zbieliły brodę, zorały czoło,
Gotówby jeszcze pobiec wesoło,
Ogłaszać wiarę na krańce świata.

Ale starszyzna wolą niepłonną
Dała mu w rządy karność zakonną.
Czterdzieści dziewięć zakonnych celi,
Tyluż w nich braci — w ustawach ściśli,
Może ni jednej światowej myśli,
Może jednego grzechu nie mieli.
Bo pod świętego starca rozkazem,
Zajęci pracą swojego stanu,
W postach, modlitwie, ostrej pokucie
Tłumili wszelkie ziemskie uczucie,
A duch każdego był świętym w Panu.

III.

I otoż wszyscy, z świętym wyrazem,
Zasiedli w chóru ciemnem sklepieniu, —
Wszystkie się oczy wzniosły do Nieba,
I wszystkie usta zabrzmiały razem:
Boże! pospiesz się ku wspomózeniu,
Panie, ratunku Twego nam trzeba! —
I dalej modły wyznawców Pańskich
W jedno donośne spłynęły brzmienie,
Czterdzieści dziewięć głosów kapłańskich,
Jak gdyby jednej piersi westchnienie;
Bo ich uczucia w jedno się zlały,
Jedna w nich żądza — niebieskiej chwały.

Zmilkła na chwilę cała gromada, —
I wedle ustaw, najmłodszy z grona
Czyta tych Świętych Pańskich imiona,
Których pamiątka dzisiaj przypada.
Miał już zakończyć — cóż to? błąd oka?
Zdjęła go trwoga, przytomność traci;
Widzi w swych ręku cud oczywisty,
W księdze, gdzie czytał, napis ognisty:
— Dziś w Sandomierzu męka Sadoka,
A z nim czterdziestu dziewięciu braci. —
Przeczytał słowa. — Cóż to on gada? —
Woła z podziwem cała gromada;
I wszyscy spieszą oglądać głoski,
I wszyscy widzą wielki cud Boski.
Wtem znikły z karty wyrazy wieszczce,
Jak sługi Boże poniknąć miały,
I znowu w chórze modły zabrzmiały,

Jeszcze gorętsze i szczerze jeszcze.
 Po modłach Sadoch z twarzą radosną
 Do najmłodszego przyszedł kapłana,
 I pełen skruchy padł na kolana,
 I świętą spowiedź odprawił głośno.
 Potem każdemu bratu kolejną
 Rozwiązał grzechy, udzielił rady,
 Pokrzepił wiarą, wzmocnił nadzieją
 I świętym Chlebem Pańskiej biesiady.

I znów przed Zbawcy klękli obrazem;
 Jak niegdyś Chrystus za dusze zbójcze,
 Święci wyznawcy wołają razem:
 „Nawróć ich, Ojcze! przepuść im, Ojcze!”

IV.

I otoż wieczór, już po niesporze,
 Sadoch ze swymi w środku kościoła
 Klęczy na ziemi, do Maryi woła,
 I pieśń Maryi nuci w pokorze:

PIEŚŃ.

„Zawitaj Królowo, o Matko i Pani!

Zawitaj o nasza Nadziejo!

Do Ciebie Adama synowie wygnani,
 Z ziemskiego padołu, ze łzawej otchłani,

Wzdychają i gorzkie łzy leją.

Nam serce obsiadły i kolce i ciernie,

I burze szaleją, i gromy w nas biją;

Zwróć ku nam Twe oczy! o zwróć miłosierdzie!

Pospiesz nam ku wsparciu Maryo!”

V.

Wtem z trzaskiem wrota kościelne pękły,
 Tatar, co wyszedł zwycięzcą z bitwy,
 Wyrznawszy w zamku zastęp przelewały,
 Wpadł z dzikim wrzaskiem na dom modlitwy.
 Jedni już łupią ołtarze Boże,
 Drugich zbójcka wściekłość rozżarza,
 I utłuszczone krwią polską noże
 Wpychają w piersi sługom ołtarza.
 Tryskają z piersi krwawe fontanny
 I białe szaty szkarłatem broczą.
 Święci pod noże idą ochoczo

I kończą pieśnią Maryi Panny:
„A owo po ziemskim wygnaniu tułaczem,
Gdy pójdziem na wieczność służebną gromadką,
Niech Jezus nad naszym zlituje się płaczem,
Niech Jego Najświętsze Oblicze obaczym,

Ukaż nam Twe Dziecię, o Matko!
Na łonie Jezusa, światłością odziani,
Odetchną strapieni, umarli ożyją.
Lecz módl się za nami o Matko, o Pani!
O słodka Dziewico Maryo!...“

12, września 1845. Załucze.

TRZY GWIAZDKI.

GAWĘDA GMINNA.

I.

— Obdarzcie dziada, co pod waszą chatą!
Dajcie mi chleba, o więcej nie pytam;
Bóg was nagrodzi, a ja biedny za to
Z mojej książeczki rozdział wam przeczytam.

— O! toś uczony, gdy nosisz księgi,
Widać, żeś szlachcic, a więc nie dziwy;
Widać po twarzy, żeś zuch był tęgi,
Widać po oczach, żeś nieszczęśliwy.

— At! litościwy człeku, kiedyś to inaczej
Było ze mną — i szczęście, i postawa hoża;
Dziś za młodość, za szczęście — ot ten kij żebraczy!
Cóż robić? chodzę z kijem, dziej się wola Boża!
Myślisz, widzę, że noszę książeczki światowe?
Nie, to ewangeliczka, słowa Chrystusowe!
W niej rozdział po rozdziale przebiegam koleją...
Są mędrcy, co światowe księgi rozumieją.
Widziałem ja tych mędrców własnymi oczyma:
Świecą, jak zimny kamień, przysypany dziaństwą.
Ich księgi... mocny Boże!... ach czegoż tam niema? —
Cha, cha, cha! tylko prawdy ani na lekarstwo!
Nad niemi mędrcy łamią swe uczone głowy,
Nie wierząc w innych ludzi doświadczenie stare;
A chcąc wszystko wyłożyć przez rozum książkowy,
Tylko serca swe suszą, tylko tracą wiarę.

Ejże! źle im bez serca! — Ich oschła nauka
Sama im wykazuje swą lichotę biedną;
Czuje mędrzec ból w sercu, i w głowę swą puka, —
Ej panie! głowa... serce... to nie wszystko jedno!

II.

— Ot ja powiem o sobie: Służyłem, mospanie,
W zacnym domu — tak sobie, służyłem z nałogu,
Choć była własna chatka, a w niej, dzięki Bogu,
Na szlacheckie starcowi wyżywienie stanie.
Miałem wtedy trzech synów i sam byłem krzepki;
Bywało my we czterech choć czartu podążym.
Najmłodszy z nich chłopczyka już miał u kolebki,
Najstarszy był zaścianku naszego chorążym.
Przyszła wojna ze Szwedem... krótka szlachcie rada,
Już nie siedzieć za piecem, nie pilnować pola;
Przyszła więc od hetmana — wola czy nie wola,
Siadaj na koń, kto szlachcic i kto szablą włada.

— Ot jedźcie, synki! — rzekłem, wywiodłem za wrota,
I pobłogosławiłem. Padli na kolana,
Potem siedli na konie i ruszyli kłusa.
Zapłakałem ukradkiem, żem stary sierota,
Zmówiłem pięć pacierzy do Pana Jezusa,
I poszedłem na służbę do dawnego pana.

III.

— Mój pan, młodszy ode mnie, ciągle czytał księgi,
I miał głowę nabitą mądrością niemiecką;
Ale umiał szanować stare niedołęgi.
Ja mu bywało bajam, on słucha jak dziecko.
Słucha, lecz mówi czasem: „Ja temu nie wierzę —
Bo w księgach nie tak stoi“. — Ot dziwak uczony!
Pomawiali go ludzie, że trzymał z masony;
Lecz to fałsz: sam widziałem, jak mówił pacierze.

Dobrze mi było: dość chleba i czasu,
Niekiedy panu stare rzeczy plotę,
Czasem kufłową podzielam ochotę,
Najczęściej idę ze strzelbą do lasu.
Bywało sobie w wieczornej godzinie,
Mówiąc koronkę, usiałam na dworze;
Liczę zdrowaśki, patrząc na zorzę, —
Ni stąd ni zowąd i ła mi popłynię!

A była u mnie ta przywyczka marna,
 Żem trzy gwiazdeczki polubił z zapalem;
 Malutkie gwiazdki, jak... makowe ziarna,
 Ja tylko jeden znaleźć je umiałem.
 Jam je odróżniał z innych gwiazdek grona,
 Drżałem, gdy która niedość jasno świeci,
 Ponadawałem im synów imiona,
 Wierząc, że one, to gwiazdki mych dzieci.
 Tak się to w serce wrosło, wkorzeniło,
 Że gdy pochmurna albo mglista pora,
 I moich gwiazdek nie ujrzę z wieczora, —
 To coś mi w duszy tęskno i niemiło.

IV.

Pan był tęgi myśliwy. Raz — było to w maju,
 Het przed świtem, — ze strzelbą poszliśmy do gaju
 Bić cietrzewie na tokach. Przybyliśmy wcześniej,
 Siedliśmy w swoich budach, — wszystko było we śnie.
 Czasem chruściel chrapliwy ozwie się gdzie z błota,
 Czasem wietrzyk zawieje, słowik zaszczebiota.

Tak cicho! ani szasnie... tak pięknie w tej dobie,
 Żem niewolnie znak krzyża położył na sobie,
 I począł mówić pacierz strzelisty, głęboki.
 Spuściłem kurek strzelby na pierwszym odwodzie,
 I czekając cietrzewi, patrzałem w obłoki,
 Jak zawsze na trzy gwiazdki — te były na wschodzie.
 Igrały ze mną starym: błysną, to przygasną,
 To zapłyną obłokiem, to zaświecą jasno,
 Istne dziatki swawolne...

Ot razem coś mignie,
 Coś jak sznurek ognisty po niebie przeleci.
 Spojrzałem... dreszcz mnie przeszedł... i krew w ży-
 [łach stygnie —

Spadły trzy gwiazdki moje... gwiazdki moich dzieci!...
 Począłem płakać głośno, sam nie wiedząc za czem,
 Począłem „Anioł Pański“ — aż pan krzyknął w gniewie:
 — Czego tam Janie chlipiesz? pospłaszasz cietrzewie,
 Z twojej łaski zwierzyny w oczy nie obaczym! —

— Ej panie! — powiedziałem — mnie nie do zwie-
 [rzyny;

Ot się trzy małe gwiazdki stoczyły z niebiosów.

— Cóż z tego? — Ach te gwiazdy! to były me syny!
To gwiazdy moich synów, światełka ich losów!

— Skądże to wzięłeś? — Hola! wszakże mówią ludzie,
Że każdy człek na niebie ma gwiazdeczkę własną:
Że jej bystra żreniczka ogląda zdaleka
I strzela promykami tak ciemno lub jasno,
Jak jasna albo ciemna dola jej człowieka.
Że gwiazdy tych, co idą szczęśliwą koleją,
Piękną iskrą na sinem niebie płomienieją,
Ot jak ta, co pan widzisz... co się w lewo żarzy...
A te gwiazdy drobniutkie — to gwiazdy nędzarzy,
Tleją... at! jak dogarek lampy na pogrzebie.

I mówią: że gdy człowiek snem śmiertelnym zaśnie,
Wtenczas i gwiazda jego stoczy się po niebie,
Błyśnie węzykiem... i zgaśnie.
Oj dożyłem na starość! — Widziałem w tej chwili,
Jak gwiazdy moich dzieci zgasły na błękiecie.
Ejże biedne me syny! — już mi nie wróćcie...
Gdzieś was na cudzej ziemi wrogowie zabili!!

V.

Pan począł śmiać się ze mnie: — Ech! jesteś dziwa-
[kiem!

Wstydź się wierzyć w te duby, co plecie prostota!
Człek swoim, gwiazda swoim postępuje szlakiem,
I losami ludzkimi nic się nie kłopotą.
Każda gwiazda na niebie, co ją wzrok doścignie,
To planeta lub słońce przysłonię mgiełką,
A to, co widzisz czasem, jak przeleci, mignie,
To po prostu meteor — lub błędne światełko.
To fosfor, albo gazy. Próżno głupcy bredzą:
Gwiazdy o twoich synach... nic a nic nie wiedzą. —

I począł dalej mówić, tłumaczyć na nowo,
Po mądrymu, z łacińska, fizykę książkową.
Chciałem wierzyć i umysł pocieszyć stroskany;
Lecz gdzie tam! Iza jak na złość po oczach się kręci.
Mądre słowa, to prawda — lecz, jak groch do ściany,
Nie przyłgnęły do serca, ani do pamięci.

Smutnie kiwnąłem głową, i westchnąłem z cicha.
Wtem szast!! cietrzew przyleciał tak blisko aż miło...
Złożyłem się — palnąłem — ej pudło u licha!
Oko łzami zabiegło i cel prześlepiło!...

VI.

Upłynął miesiąc — drugi... Aż oto —
 (Czyż mi tej chwili dożyć potrzeba?)
 Wyszło na prawdę, co ludzie plotą
 O upadaniu gwiazd z nieba!...
 Do pana przysły listy z obozu,
 On mi o synach wieści udziela:
 Że raz na czatach wszyscy trzej razem
 Wpadli w zasadzkę nieprzyjaciela
 I poginęli kulą, żelazem...
 A poginęli jak raz w tej porze,
 Kiedyśmy z rana byli na tokach,
 Gdym widział gwiazdy zgasłe w obłokach,
 A pan rozprawiał o meteorze!!...

VII.

Ot zapłakałem, potrząsłem czołem,
 Oddałem chatę moją rodzinie,
 Ewangeliczkę i torbę wziąłem,
 I ruszam sobie po żebraniu.
 Z wioski do wioski, z dwora do dwora,
 Wędruję sobie w słotę i spiekę;
 A gdy uczuję, że umrzeć pora,
 W rodzinne strony znów się powlekę.

VIII.

Lecz już was nudzi, co stary gada,
 Więc ewangelię czytać wam będę;
 A wy, czem łaska, obdarzcie dziada
 I za czytanie, i za gawędę, —
 Grosz na tabakę, suchar dziadowski,
 Dość tego na mój zapas podróży.
 Starzec przeczytał, dostał jałmużny,
 I poszedł z Bogiem do drugiej wioski.

31 marca 1846. Żalucze.

O CHWALE BOŻEJ
 I CHWALE KRÓLEWSKIEJ.
 GAWĘDA Z ŻEBRACKIEGO ŻYWOTA.

I.

W kruchcie jednej niedzieli, wynędniali, nieśmieli,
 Dwaj żebracy siedzieli.

A że wcześniej dość było, a gawędzić tak miło,
Więc się sobie gwarzyło.

Gwarzą różnie a różnie, satyrycznie, ostrożnie,
O panach, o jałmużnie,

O kalectwie i latach, o szatach i o łątach,
O dziadowskich intratach,

O żebrackim swym stanie, o dzwonach, o organie,
I o księdzu plebanie.

I rzekł Szczudło koledze: — Wiesz, że doma nie siedzę,
Czasem wioski odwiedzę.

Czasem sobie zochodzę pod figurę przy drodze,
I tam piosnki wywodzę.

Jest przychód jaki taki, na dzień ze dwa szostaki
Na kupienie tabaki.

Ale najlepsza rada, iść gdzie odpust wypada,
Gdzie narodu gromada;

Mówić święte pacierze i śpiewać piosnki szczerze, —
A pewno się grosz zbierze.

Ale jedna przestroga: módl się tylko do Boga,
Nie patrz, czy kwota mnoga;

Bierz jak podarek Boży, kto co do ręki włoży,
A Pan Bóg ci przymnoży,

I twych modłów nie straci, za jałmużnę współbraci
Dobrodziejom zapłaci! —

Słuchał Kostyl tej mowy: — Rozum — rzecze — wart
Koncept wielce jałowy. [głowy,

Iść pod krzyżyk... a może... zbierzesz skarby nieboże,
Pan Bóg ci dopomoże.

A ja idę we dwory, choć żebrackie ubiory
Psy szarpają ze sfory.

Mam jałmużny do syta. Król mię żywi — i kwita,
Pełna moja kaleta.

Człek się wesprze na kuli, idzie pod zamek króli,
Do muru się przytuli.

Tam zjeżdżają się pany, wojewody hetmany,
Każdy w złoto przybrany.

Spojrzy który k'tej stronie, ja się nisko pokłonę
I wyciągam me dłonie.

Z panami trudna rada, czasem jasna gromada
Ani spojrzy na dziada.

Czasem bywa człek w biedzie, gdy się wymknie po
Bo ktoś koniem najedzie. [przedzie,

Albo gorzej się zdarzy, kiedy żołdak ze straży
Halabardą nędzarzy!

Czasem — dworskie swawole — rzuci kamień pacholę
Wlepi siniec na czole.

Lecz często, zamiast psoty, ze szczególnej szczodroty
Rzuci czerwony złoty.

Albo pan jaki raczy dać do ręki żebraczej
Sto złotych — nie inaczej.

Ha! każdy ma swe gusty: ja wolę kasek tłusty,
A ty — sielskie odpusty.

Bóg dobry! tak kolego, lecz król... to co innego,
Król to żywi biednego!

Nie król, to dwór, co hula; ciebie Pan Bóg rozczula,
Co do mnie, wolę króla.

Wejdz pod królewskie znamię, siadź przy zamkowej
Obaczysz, czy ja kłamię? — [bramie,

Szczudło głową coś kiwa, wtem organ głos przerywa,
Wyszła święta wotywa.

Boga, ten króla chwali, — a król, stojąc w odali,
Podsłuchał, co gadali.

II.

W tydzień — znów dziady społem; król z senatorskiem
Wysiada przed kościołem. [kołem

Idzie, gdzie dwaj żebracy; za nim niosą dworacy
Dwa bocheny na tacy.

Król, z uśmiechem na twarzy, obu biednych nędzarzy
Własnoręcznie obdarzy.

Szczudło, co chwalił Boga, dostał bochen pieroga, —
Bułka cienka i droga.

Kostyl z królewskiej chwały, wziął chleb czarny i mały,
Ciężki jakby ze skały.

Szczudło w rogu cmentarza tylko pacierz powtarza,
Na podarek nie zważa.

Oparł ręce u kija, wzrokiem niebo przebija,
Mówi Zdrowaś Marya!

Kostyl, chwalca królowy, nie rad z bułki razowej,
Szedł po rozum do głowy:

Skradł się cicho i, zaczęł Szczudło modli się z płaczem,
Zmienił bułkę cichaczem.

Szczudło w rogu cmentarza ciągle pacierz powtarza,
Zamiany nie uważa.

Po mszy świętej, po sumie, modląc się, jak kto umie,
Ludzie wychodzą w tłumie.

Mniej już ludu co chwila, każdy gdzieś się posila, —
Rzekł Szczudło do Kostyla:

— Czas nam użyć swobody, weźniem chleba i wody,
Siądziem wedle gospody.

Zjemy obiad żebraczy, niech Bóg nagrodzić raczy
Naszych dobrych wspieraczy! —

Dobył chleb z za pazuchy, czarny, ciężki i suchy,
Aż się sypią okruchy.

— No, syć się Bożą chwałą — rzekł mu Kostyl zu-
Patrz, co mi się dostało! [chwało,

Ja za królewskie zdrowie, mam bułkę co się zowie,
Jadam jako panowie. —

Szczudło spojrzął przez ramię, chleb swój suchy rozła-
— Boże! czy wzrok mój kłamie?! [mie:

Cóż to? skąd się to wzięło? Opatrznościż to dzieło? —
Z chleba złoto sypnęło!

Bo król, hojny w potrzebie, wdzięczon pochwał dla sie-
Zapiekl złoto we chlebie, — [bie,

Ze dwie garści niemałe, by okazać swą chwałę,
Ze ma serce wspaniałe!

I Kostyla nędzarza, co na Boga nie zważa,
Własnoręcznie obdarza.

Lecz Pan Bóg przeinacza: On podarek bogacza
Swemu chwalcy przeznacza.

Więc się Szczudło rozczuła, choć chromieje i kula,
Szedł dziękować do króla.

Król krzyknął: Precz beznogu! do kościelnego progu,
Dziękuj tam Panu Bogu!

Bo wstyd się w oczach zradza, że nie królewska wła-
Lecz Pan Bóg wynagradza. [dza,

III.

Szczudło za swe dukaty wyniósł kościół bogaty,
Dał złote aparaty,

Zbudował dwa szpitale, i sam przy Bożej chwale
Żył pobożnie, wspaniale.

Aż syt Pańskiej opieki, poszedł na kraj daleki,
Królować z Nim na wieki.

28 maja 1846. Zalucze.

D Y F E R E N C J A.

GAWĘDA ZAŚCIANKOWA.

I.

Starzy szlachta tam pod miedzą
Na naradzie ważnej siedzą,
A wokoło młodzież wrząca
Tysiąc gniewnych słów wytrąca, —
Lud się na dwie strony dzieli,
Błyszczą ostrza karabeli.

Pan komornik z sznurem stawą;
Woźny wznosi papier w górę,
Słowem, jakaś tu rozprawa,
I de hajda, i de jure.

At mospanie, któż i kiedy
Przywileje szlachty zaćmi?
To jest zatarg między braćmi
Przy podziale swojej schedy.
A u szlachty takie chucie:
Że gdzie sprawa, tam i wrzawa,
A gdzie wrzawa, tam i bitwa,
Potem kończą na statucie,
Potem kielich i modlitwa.
Szlachcic pocziw — bo ma duszę,
A wrzaskliwy — bo szlachetny,
Urodzony — nie sławetny,
I niestraszne mu ratusze!
Proces w sądzie — to nie boli,
A zabawka niezła wcale; —
Więc brat z bratem przy podziale
Zabijacko się warcholi.

Ich się ojcu niegdyś szczęści,
Dość zostawił dla nich mienia,
Co dziś dzielą na dwie części,
Wedle Boga i sumienia.
Dzielą słusznie, jak wystarczy,
I grosiwo, i spiżarnię,
I oborę, i owczarnię,
I nabytek gospodarczy
Potem, z obu stron namowy,
Pan komornik przez zagony
Ciągnie sznurem na dwie strony
I wydziela dwie połowy.

Zatknał wiechę strojną w liście,
Wsunał cyrkiel za popręgę,
I zawołał zamasyście:
„No, skończyliśmy mitręgę!
Waść, sądowy generale,
Mości strony i starszyczna!
Niech mi teraz każdy przyzna,
Żem wydzielił doskonale.
Ot jak z boru do sosenki
Idzie ścianką ta drożyna,
Stefanowe z prawej ręki,
A co z lewej — to Marcina,
A zaś młynek i zatoka

Służą obu jednostajnie.
Równe schedy, jak dwa oka,
Nawet pręta nikt nie stracił;
Mierzę słusznie, nieprzedajnie,
Bo mię żaden nie zapłacił,
Nie skaptował, nie przyodziął, —
Ot i sprawa i rozprawa!
Pytam trzykroć wedli prawa:
Czyli zgoda na mój podział?

Stefan krzyknął: — Nie masz zgody!
Bo mi krzywda w oczy kole, —
U mnie piasek — a tu pole,
Że choć zaraz siej ogrody!

Morg pod lasem... tak daleko...
Co ja zrobię z tym kawałkiem?
Wezmę raczej morg nad rzeką
I zatoka do mnie całkiem!...

— O!! zatoka za głęboka! —
Krzyknął Marcin — Panie bracie!
Wcześniej siatkę zapuszczacie,
Nie dam ryby ani oka!
Morg mój, mości dobrodzieje,
Co nad rzeczką, tam pod drogą.
Nie pytając tu nikogo,
Sam zaorzę i zasieję.
Bo pomiarem...

— Co mi pomiar?
Kto się krzywdzić mię ośmieli,
W klindze mojej karabeli
Słusznej kary znajdzie domiar.
— Panie woźny!...

— Woźny płazem!
A mierniczy — w łeb żelazem!
Niema pana dla Stefana —
Zaraz wszystkich stąd wypłoszę!
Morg nad rzeką i toń rybna
Mojel!...

— Moje, rzecz niechybna!...
— Ja zasieję.

— A ja skoszę!
— No!, bratuniu, to za śmiało!
A czy znasz ty moją rękę?

— A czy znasz ty, świszczypało,
Moją szablę damascenkę? —
— Za mną szlachta!

— Bij, kto sprzyja!!... —
Szlachta w dwie się strony ściska,
Walka w zabój... aż krew tryska...
Pan komornik wiechą zwija,
Woźny pozwem broni duszę;
Papier, wiecha w zawierusze
Popękały się od kija.

Aż skrwawiona, zapocona,
Porąbana, zadyszana,
Ta i owa padła strona,
Wypoczywać na murawie;
Jeszcze w jęku i we wrzawie
Słychać głosy: — To Stefana...
— To Marcina... morg przy drodze...
— Morg nad rzeką i zatoka...
— I okopię, i ogrodzę...
— Nie doczekasz! nie pozwolę!
Będę bronił moje pole,
Jak źrenicę mego oka!
— Nie o pole, nie o szkodę,
Lecz tu idzie o bezprawie.
— A ja mówię i dowiodę,
Że na swoim rzecz postawię.
— Ciężko skarzę upór bratni!...
— Wara leżć mi w moją grzędę!...
— Krwią słuszności bronić będę,
Do kropelki, do ostatniej!

II.

— Cyt mi szersznie! tfu do kata —
Huknął stary pan Ambroży.
— Taki rankor brat na brata!
Mospanowie, to gniew Boży!
Bić się z bratem jakby z wrogiem!
Jakiem okiem, jakim czołem,
Staniesz jutro przed kościołem,
A pojutrze i przed Bogiem?
Uściśnijcie mi się szczerze,
I wypijmy pojednanie, —

Jutro spowiedź!...

— O mospanie!

A zatokę kto zabierze?

— Nie chcę morga, co pod lasem!

— Nie dam morga, co przy drodze!

— No, uciszcie się z hałasem,

Ja wam całą rzecz pogodzę.

— A to jaki śmiałek groźny

Medytację swoją wnosi?!

— Sza panowie! — krzyknął woźny —

Pan Ambroży o głos prosi!

Więc Ambroży siadł na miedzy,

Brzęknął czarą po butelce:

— Bracia szlachta i koledzy,

Mościwi wielce a wielce!

Za zatokę i za pole

Będzie zawsze wrzawa sroga,

Będą skargi i zatargi,

I procesa, i swawole,

I obraza Pana Boga.

Bracia zniszczą się ze szczętem

Przez rankory i rozpusty;

Będą dzieciom testamentem

Przekazywać proces pusty;

Na braterskich karkach — szpetnie

Czynić próbę szabel hartu,

Mazać herb swój nieszlachetnie

I oddawać duszę czartu!

By więc zetrzeć plamę z czoła,

Zmazać karę nieochybną,

Radzę oddać do kościoła

Oba morgi i toń rybną.

Za tę skruczę Pan Bóg — jużci

Grzech dzisiejszy wam odpuści,

I ofiarę przyjmie wdzięcznie

Za zgładzenie tych bezpraw, —

A ksiądz proboszcz comiesięcznie

Za was świętą mszę odprawi.

Bóg okryje Swem ramieniem

Tarczę herbu starożytną,

Wasze domy z pokoleniem

Pomyślnością wam zakwitną...



No! czy zgoda?

— Mądra rada —

Już inaczej nie wypada;
Oba morgi niepodzielne
I zatoka koło młyna
Ni Stefana, ni Marcina,
Ale odtąd już — kościelne.
Niech pan woźny tu posiedzi,
I dokument spisze żywo —
Jutro idziem do spowiedzi
Z tą pobożną donatywą.
— A salarja?

— To nie minie,

To proboszcza rzecz, nie nasza, —

A za cięcia od pałasza

Damyć żyta po ośminie. —

— Zgoda! — krzyknął woźny żwawie —

Teraz kielich do roboty! —

Dictum, factum, i po sprawie

Wykonano co do joty.

III.

Dwie już setki lat się zaczęła.

Jak braterskie kości społem

Gnią w ziemi pod kościołem,

A mogiły ani znaczo.

Ale ród ich gęsty w Litwie,

I pocciwy, i zamożny;

Bo co miesiąc głos pobożny

W mszalnej wzmieniał ich modlitwie.

A na morgach w pszennym plonie

Pleban piękne żał owoce,

Stawił kopy na zagonie,

Łowił rybkę na zatoce...

Teraz słyszę, inne dzieje:

Ktoś już inny morgi trzyma,

I pszeniczkę inny sieje,

I za zmarłych mszy już niema.

Słyszał nawet dzwonnik głuchy,

Z pod grobowca u parkana,

Jakieś krzyki i rozruchy —

Spór Marcina i Stefana.

CHODYKA.

GAWĘDA Z TRADYCJI POLESKIEJ.

I.

Zagrano w trąby i naród ciekawie
Na zamek słucki ciśnie się jak woda.
Oto zasiada na sędziowskiej ławie
Dziedzic na Słucku, ksiązę wojewoda,
I wedle mocy swoich przywilei,
Zbrojny prawami i łaski, i miecza,
Kmieci i szlachtę sądząc po kolei,
Gromi, uwalnia. karze, zabezpiecza.
Ksiązę daleko od natłoku gości
Siedzi za stołem oddzielony kratą,
Tam krzyż i statut oprawny bogato,
Opodal pisarz i pan podstarości —
A w izbie gwarno.

Wtem pośród hałasu,
Pomimo ciżby i oporu warty,
Wszedł jakiś starzec, znędniały, odarty,
Z kijem sękatym — jak rozbójnik z lasu.
Strach było patrzeć; pod wielkimi brwiami
Oczy się dziko iskrzyły dziadowi,
Włosy jak mleko, splecione kudłami,
Rysy kościste, ramiona garbate.
Starzec jak błędny wcisnął się za kratę,
Padł... ciężko dycha... ale nic nie mówi.

Ksiązę się cofnął... pisarz się przestrasza...
Krzyknął i rozsiał strach w całej drużynie —
Pan podstarości jął się do pałasza
I szepce jakiś pacierz po łacinie
A starzec leży skulony na ziemi,
Głucho coś jęczy i szepce grobowo,
Dycha — jak gdyby pierśmi chrypiącemi
Chciał nabrać siły, by wyrzec choć słowo.
Odetchnął wreszcie — spoczął bez przeszkody,
Nabiera głosu, sili się widocznie,
Pełźnie do kolan księcia wojewody,
I płacząc, tak mówić pocznie:

II.

-- Nie bój się, Jaśnie Oświecony Ksiązę!
Ja z twojej wioski, ja tu z niedaleka,

Ja zbójca jestem, ja zabiłem człowieka,
Znam, że mą głowę miecz katowski czeka,
Niech się przynajmniej sumienie rozwiąże!
O! bo to ciężko... tak ciężko... nie wiecie —
Nosić na rękach krew w złości rozlaną;
O! tak to dręczy, tak pali, tak gniecie,
Jak gdyby w piersi żaru nasypało...
Zdaje się dawno — przed trzydziestu laty,
Ale sumienia nie przedawnić marnie...
Zdejmijcie tylko z mej duszy męczarnie,
A głowę sobie oddajcie na katy;
Może toporem odbita od szyje
Przestanie płonąć od gorących myśli,
Może krew moja krew niewinną zmyje.
Kaźcie mię skować, uwieźć najściślej,
Tylko z sumienia rozwiążcie mi pęta —
Bo jak to ciężko, nie daj Panie Boże!

— Któż ty snadź jesteś?

— Zwali mię Chodyka.

Rodem z Polesia — w mojej wiosce może
Który ze starych dotąd mię pamięta;
Choć to już dawno na bezludnym borze
Żyję jak zwierzę ze zwierzyną dziką,
Lecz długo żyje pamiętka zbrodniarzy!
Może, dawniejsze wspominając lata,
Któryś mój sąsiad i dziś jeszcze gwarzy
O tym Chodyce, co zgładził ze świata
Niewinną duszę!...

— Kiedy? jak to było?

Gadaj mi, starcze!

— Oj, ty jasny Książę!

Niemilo przeszłość wspominać, niemilo,
Kiedy się zbrodnia do wspomnień uwiąże.
Odkąd poszedłem na bezludną puszcze,
Niewyjawilem mej zbrodni przed nikim;
Lecz dziś, jak w cerkwi, jak przed spowiednikiem,
Wszystko z pod serca, a wszystko wyłuszcę.
Chciejcie posłuchać, co wyznam otwarcie,
A potem zróbcie co trzeba, sędziowie;
Dekret śmiertelny napiszcie na karcie,
I dajcie spełnić na zbrodniczej głowie.

III.

Ja byłem osacznikiem, miałem chatę w lesie —
 Chatka nad Żyd Jeziorem, stara i pochyła...
 Boże mój! jak tę chatkę obaczyć mi chce się!
 Czy jeszcze dotąd stoi, czy może już zgniła,
 Czy kto inny w niej mieszka? — Ja, grzeszny zabójca!
 Nie śmiem do niej się zbliżyć, bo ktokolwiek zoczy.
 Tam miałem młodą żonę i starego ojca...
 Bóg ich wie, kto im piasku nasypał na oczy?
 Gdzie na mogiłach leżą?! pewno już ich niema!
 Lat trzydzieści... dla życia starca i kobiety!?
 Ot zdaje się, jak żywo widzę przed oczyma
 To jezioro, te mszary, ten los nieprzebyty,
 Gdzie niegdyś jasných panów na obławę wiedziem,
 Gdzie ludzie i zwierzęta znali mię po głosie,
 Gdzie się nieraz zdarzało borykać z niedźwiedziem,
 Wbijać na sztych odyńce lub wytrapiać łosie...
 Byłem silny jak niedźwiedź, a prędko jak dziecko,
 A ochoczy do łowów! — ani dnia, ni nocy.
 Ej drogoż przyplaciłem ochotę łowiecką!
 Czemuż mi nie dał Pan Bóg przeleżeć w niemocy
 Raczej, niż iść na łowy!?... .

IV.

Raz — było to w zimie —
 Pan łowczy mię przywołał swoim obyczajem,
 (A był to człowiek drobny, lecz ramię olbrzymie,
 Dobrze władał oszczepem, a lepiej nahajem).
 Otóż woła i mówi: „Niech cię Pan Bóg strzeże,
 Abyś miał niesprawnością popsuć polowanie!
 Dajem tutaj obławę wielkiemu Sapięze,
 Jest to hetman litewski — nie żarty mospanie!
 Czy masz w twoim obchodzie coś z bujniejszych zwie-
 [rzy?“
 — Są, panie, dwa kudłacze, przepyszne niedźwiadki.
 -- Otoż na przyszłą środę spraw się, jak należy;
 Wziąć obławę, osaczyć, urządzić połatki,
 Bo pan hetman przybędzie, — staraj się a żwawo,
 Aby mu się zwierzyna pod strzał nawinęła;
 Ja przybędę, mospanie, kierować obławą,
 A tymczasem ty będziesz naczelnikiem dzieła.
 Masz tyńfa na gorzałkę — i spraw mi się gracko!

Bo inaczej, Chodyko, ty znasz moją rękę!
Ja nie umiem żartować z plecionką kozacką:
Dwieście! choćby sam szatan brał cię na porękę.
Marsz! i spraw się! — (Pan łowczy sam nie bywał
[w lesie.

Bo miał młodą małżonkę i bał się niedźwiedzi).

Wyszedłem — mając tynfa — ej pohulać chce się!
Ot powiem szczerą prawdę, jakby na spowiedzi:
Trzy dni piłem gorzałkę. Przyszedł dzień wskazany.
At, myślę, wszak zwierzyna jakoś się osoczy;
Ale niedźwiedź zrozumiał, że strzelec pijany,
Szedł cichaczem z ostępu, uciekł w żywe oczy.
Ja milczę — aż we środę — mój Boże jedyny!
Zebrała się obława, zjechały się pany,
I pan hetman litewski ze swojemi syny,
Strojno, dworno, hałaśnie. Mój domek drewniany
Przemienił się na pałac — oświecono wrota.
Jaki dwór! jaka służba zebrała się wcześniej!
Jaka psiarnia dobrana! co srebra, co złota!
To w bajce nie wygadać, ani przyśnić we śnie.
Ruszyli do ostępu — ja wiem, co się święci —
Ale nie zdradzam siebie mężnemi oczyma.
Obława strzela, huka, trąbi bez pamięci,
Pany ziębną w połatkach, a niedźwiedzia niema.
Ot i słonko już zaszło — już się zmierzchać bierze,
Hetman się zniecierpliwił, jakby Bóg wie o co.
Złajał pana łowczego, a zjadłszy wiecezrę,
Kazał zwinąć swój obóz i ruszył przed nocą.

Tutaj dopiero łowczy, korzystając z pory,
Rozkazał mię pochwycić, przywiązać do drzewa, —
Bito mię harapami, żelaznemi sfory.
Próżno człowiek krwią spłynął, daremnie omdlewa,
Daremnie stary ojciec po ziemi się tarza,
Daremnie żona płacze... Ach ! ten jęk przewlekły
Ponure, leśne echo słyszy i powtarza!
Ale łowczy nie słyszał — tak był gniewem wściekły.

V.

Ot nakoniec oprawcy zbitego puścili...
Wyrwałem się... tu szatan szepnął mi nad uchem.
Miałem topór za pasem, więc, nie tracąc chwili,
Ciałem w głowę łowczego zamasnym obuchem,

A potem w piersi ostrzem...

Padł... krew mu lunęła...

Trysnęła w moje oczy, zalała sukmanę.

Ot jeszcze na odzieży pamięć mego dzieła!

Czy widzisz, mości Książę, plamy niezmazane?

Zbutwiała mi siermięga, choć się raz w rok bierze,

Straciła swoją barwę od czasu i słoty, —

A ślady krwi niewinnej... patrzcie, jakby świeże,

Nie starły się aż dotąd, jak pieczęć sromoty!...

— Uciekaj! — ktoś mi szepnął. — Ujrzałem, że zginę.

Bo strzelcy obces do mnie; — ja z toporem w dłoni

Poleciałem do lasu, skryłem się w gęstwinę.

Ho! w lesie osacznika nie każdy dogoni!

Biegłem nocą i lasem, jak po równej drodze;

Ukryłem się przed ludźmi, zginałem bez wieści.

Żaden mię nie dośledził całe lat trzydzieści,

Aż dzisiaj dobrowolnie z kryjówki wychodzę.

Bo fraszka sądy ludzkie — tam w piersiach głęboko

Gorszy sąd... gdzie sumienie władzę rozpostarło!

Ząb za ząb trzeba oddać, a oko za oko...

Skowajcie mię w łańcuchy, osądźcie na gardło.

Lecz póki kat nadejdzie, poważni sędziowie,

Raczzcie jeszcze posłuchać, radzi czy nie radzi!

Jam człowiek nieuczony, roił czasem w głowie,

Że pokuta i praca moją winę zgładzi.

Otóż jam pokutował jak duch tajemniczy,

Co jęczy w suchej wierzbie i wzdycha do Nieba;

Pracowałem ze łzami, jadłem chleb goryczy...

Gdzie tam chleb?! co ja jadłem za kawałek chleba!

Bo co to kawał chleba w rodzinnym zakątku!

Co to chata! spokojność! i chleb na wieczerzę?!

Bez chleba człek zapomniał, że jeszcze nie zwierzę...

Lecz słuchajcie mię, pany, słuchajcie z początku.

VI.

Darłem się przez gęstwinę, zmykając pogoni:

Czy wiatr w zlodowaciałe gałęzie zadzwoni,

Czy śnieg skrzypnie pod nogą, czy zawadzę o co,

Czy puszczyki na dębach w skrzydła załopocą,

Mnie się widzi tuż pogoń — pod piersią zdrętwiała

Sam w sobie niosłem pogoń, bo sumienie gnało,

Gnała jakaś obawa, jakaś myśl zwierzęca.

A tutaj wiatr ze śniegiem w gęstwinach się skręca,
Zawiewa moje ślady — choć odzieża ciepła,
Cały skrzepłem od chłodu, tylko myśl nie skrzepła.

Wreszcie, choć w głowie szumi, choć pod sercem boli,
Zimny wiatr krew gorącą ostudził powoli.
Spojrzałem wkoło siebie, wspomniałem o strzesie,
Nie pierwszyczna strzelcowi zanocować w lesie!
Patrzę... rozpieczętuję myśli zbieram pomaleńku...
Jest hubka i krzesiwo, jest siekiera w rękę,
Jest strzelba za plecami i mieszek borsuczy.
No — myślę — przez dni kilka nędza nie dokuczy,
Przetułam się dni kilka! a potem?... O Boże!
Śmierć z głodu albo z chłodu na bezludnym borze!...
Ot tutaj ciemna jodła z kudły rzęsistemi
Opuściła gałęzie aż do samej ziemi,
Tu będzie na noc chata! to i cóż, że chata?
Nie zasnę, bo mi serce okropnie kołata, —
Ale trochę wypocznę. — Podsuwam się blisko...
Wtem ogromne wypada z pod nóg niedźwiedzisko,
Ryknął i pobiegł w puszcę. Śledząc go oczyma:
Ej szkoda, myślę sobie, że hetmana niema!
Ej szkoda, że pan łowczy nie wiedział łożyska!...
Krew mu z rozbitych piersi czarnym sznurem tryska,
A młoda jego żona... nieszczęsna kobieta!
Jęczy teraz w rozpacz i zębami zgrzyta!
I tuli się do męża, całuje go w usta...
A mąż... zimny jak kamień i blady jak chusta...
Krew mu obryzgała piersi — o szczęśliwy człeczku!
Krew zakrzepła od zimna w sercu ci nie piecze;
A u mnie w sercu pożar nad wszystkie pożary!
A mojaż biedna żona!... a mój ojciec stary!...

I tak całą noc Bożą zlewałem się potem,
Myśli szumiały w głowie i biły z łoskotem.
Nazajutrz weszła jutrznia, i słońko, jak złoto,
Nie rozpędziło myśli czerniałych zgryzotą!
Wstałem i biegłem dalej, gdzie doniesie oko,
Zabiłem się w gęstwinę i puszcę głęboką —
Tu bezpiecznie od ludzi na głębokiej puszczy.
Ale cóż? gdy sumienie czarną myśl poduszczy,
Nigdzie niema schronienia!

Po gęstwinach sosny
Błąkałem się jak mara aż do ciepłej wiosny.

Kiedy zimno dokuczy, zaczajony w borze
 Wykrzeszę sobie ogień i płomień rozłożę.
 Gdy głodno, nabój prochu i kawał ołowiu:
 Tutaj ptak się nadarzy, tu zwierz w pogotowiu.
 Gdy wyszedł proch i kule, jadłem drzewną korę,
 Czasem z zębów wilkowi zająca odbiorę,
 Czasem pułacz wyparty z wypróchniałej choi,
 Albo skoczna wiewiórka głód mój zaspokoi,
 A czasem... głód dni kilka.

Gdy nic nie znachodzę:
 — Ej Chodyko — czart szeptał — siądź tylko przy dro-
 A tam bitym gościńcem idą karawany, [dze,
 Jeżdżą pieniądze kupcy i wielmożne pany:
 Wyskoczysz na przesmyku... i zdobycz bogata;
 Wszak twój topór stalowy niezawodnie płata!
 Zdobędziesz kawał chleba, jak doma we żniwie,
 Toż rozkosz chleb pieczony pożerać łapczywie!
 A nie chcesz? zamiast cierpieć, zamiast znosić nędzę,
 Czy widzisz sznur rzemienny na twojej poprędze?
 Zrób stryczek i odważ się, — skończysz w samą porę...
 A ja ci co najlepszą osinę wybiorę. —
 Tak mi szeptał kusiciel — daremne staranie!
 — Krzyż na cię Chrystusowy! odczep się, szatanie!
 Idź kusić suche wierzby, albo dzikie skały! —
 Czart uciekł — a głód został i myśli zostały.
 I tak do samej wiosny, pod niebem otwartem,
 Walczyłem z głodem, chłodem, sumieniem i czartem.

VII.

Ot zawiośniato, pocieplało w lesie,
 Woda z pagórków sparła się w dolinie,
 Szumno i huczno lód i śniegi niesie,
 Po mokrych mszarach jakby morze płynie...
 Nielepsze życie miałem i na wiosnę:
 Rozpacz rozrywa, głód człowieka suszy,
 Lecz czasem myśli nadpłyną radosne,
 Rzewniej na sercu i nadziejniej w duszy.
 Czasem się ocknę przy jakiej zatoce,
 Gdzie woda huczy i ptactwo strzekoce,
 A tam straciwszy i zmysły, i wiedzę,
 W głuchych dumaniach całe dni przesiedzę!
 Czasem w bagnistej oczeretnej trawie

Wierzbowy węcierz na ryby postawię
I chwytam, świętą upojony ciszą,
Pluskanie rybek, albo fali dźwięki,
Lub, nie zważając, że ludzie posłyszają,
Tnę bezprzytomny rodzime piosenki.

Dotąd, bywało, gdy wieczór się zbliża,
Nie mogłem biedny odważyć się dosyć
Zmówić pacierza lub położyć krzyża,
Albo spojrzenie do Niebios podnosić.
A wiosną, panie, samemu i w lesie,
Ot, nie wytrzymasz bez modlitwy Bożej!
Tak ci zapłakać i pomodlić chce się,
Że krzyż na piersiach nie chcąc się położyć.
O! wam nie pojąć, jak się zbrodniarz modli,
Kiedy mu w sercu odezwie się skrucza!
Choć szatan szepce, że się człek upodli,
Wzywają Ojca i Syna i Ducha,
Że trzeba hardo postawić się Bogu,
Gdy już nadziei w miłosierdziu niema, —
Poczniesz modlitwę, jak gdyby z nałogu,
A skończysz płaczem, aż serce się wzdyma.
Tak było ze mną...

Tymczasem od słonka

Wiosenne listki puściły na drzewie,
Począłem słyszeć śpiewanie skowronka,
Już po zaroślach tokują cietrzewie;
Zaśpiewał słowik — już częściej się spotka
Borowy kwiatek, lub grzyb i jagoda.
Lecz zły to pokarm, choć zebrać tak blisko:
Człek, jako zwierzę, pragnie krwi i mięsa;
Nieraz bywało, jak głodne wilczyisko,
Człek się za mięsną zdobyczą wałęsa...
Lecz trudno zdobyć! — nie służą dla człeka
Ni orle skrzydła, ani rysie szpony;
Nieraz, zwiędzawszy zwierzynę z daleka,
Trzeba fortelić, jak kot zaczajony.
Czasem się ptaszki usidlą jak więźnie,
Czasem mój topór w łeb wilczy zagrzęźnie, —
O! wtenczas ucztą! przy takiej biesiadzie
Ze stosu łomów ogień się nakładzie —
A tam śpiewając i ćwiertując zwierzę,
Przybieram myśli weselsze i żwawsze...

Lecz rzadkie, rzadkie zbytkowne wieczerze,
Głód co najczęściej, a złe myśli — zawsze.

VIII.

Przyszło lato — spalone od słońca powietrze,
Ledwie daje odetchnąć osłabionej sile;
Był to pewnie sianokos, czas po świętym Pietrze,
Bo leśny bąk i owad dokuczał nietyłe.
Błąkałem się w gęstwinach, snadź blisko gdzie błoto,
Bo obecność szatana czuła się jak plaga;
Złe myśli tak mi czoło, tak mi serce gniotą —
Chciałem je spędzić krzyżem, i krzyż nie pomaga.
Nuda, głód, czarna rozpacz i zwątpienie ducha,
Nawet topór wypadł z osłabionej ręki.

— A widzisz — szeptał szatan — jak źle, kto nie słu-
Już dzisiaj, stary głupcze, nie znosiłbyś męki! [cha!
Wszak tobie trzeba wisieć, bo któż tego nie wie?
Zbrodnia się prędzej później wyjawি przed rzeszą,
Lepiej na szubienicy wisieć, niż na drzewie?
Kiedy lepiej — to czekaj, aż ciebie powieszą!

— Nie — rzekłem — czekać nie chcę, bo życie tak
Ot, poszukam gałęzi, co się nie obłamie... [dręczy!
Podniosłem w górę oczy — coś huczy, coś brzęczy,
Aż tu pszczołka lecąca ukłóła mię w ramię.
Patrzę, a tu na drzewo rój spuścił się pszczelny,
Piękny rój... krew poleska wzięła swoją władzę...
Czekajcie... nim pomyślę o drodze śmieretnej,
Pierwej rój ten obiorę i w ulu osadzę.
Bo wy, państwo, nie znacie poleskiego rodu:
U nas pszczoła to rozkosz, to bogactwo człeka,
I mój dziad, mój ojciec, i ja sam za młodu
Znałem się na pszczelnictwie. — Ot będzie pasieka!
Skoczyłem do roboty żwawo i radośnie,
Zebrałem rój do czapki, jak powiedzieć słowo,
I wydrażywszy kłodę w niedalekiej sośnie,
Wpuściłem moje pszczołki na siedzibę nową.

To mi zabrało czasu cały dzień wesoly;
Wieczorem już do śmierci ochota nie bierze,
Chce się jutro obaczyć, czy przyjmą się pszczoły?
Więc przeżegnałem pszczoły, zmówiłem pacierze,
I począłem rozmyślać: Kiedy Bóg pozwoli,
Może się więcej rojów nadybać gdzie zdarzy;

Zaprowadzę pasiekę, i w mojej niedoli
Będę leśny gospodarz, cudo gospodarzy!
Nie dla siebie, bo gdzież mi ? nie предаwać w mieście
Miodu z mojej pasieki; to ciekawość wzbudzi, —
Lecz dla pracy, pożytku... ot tak sobie wreszcie...
Praca dla Pana Boga, pożytek dla ludzi.
Teraz człowiek bez pracy wałęsać się musi,
I karmić brzydkie myśli, ażby serce zgniło...
Nad błotem krzyż postawię, to czart nie spokusi,
A pod krzyżem niekiedy pomodlić się miło;
A jak głód mię pokona, albo zmrozi zima,
Ktoś znajdzie moje kości i zapłacze może —
Zapłacze ani wątpić, bo w spadku otrzyma
Całą pszczelną pasiekę — dopomagaj Boże!

IX.

A nasze lasy, to jak koniec świata,
Ciemna, wysoka i rozległa puszcza;
Tam nie objechać przez całe trzy lata,
A tam zabłądzić — niech Bóg nie dopuszcza.
Nie zhukasz ludzi, nie trafisz do domu,
Echo zamiera, choć puka i stuka;
Tam całe życie przesiedzisz kryjomu,
A nikt i z psiarnią ciebie nie odszuka,
Szerokie mszary i mokre bagniska,
Jak okiem rzucić, ścielą się z daleka;
Gęstą olszyną ocieniona rzeka
Pomiędzy karcze, jak loch, się przeciska.
Nikt cię nie znajdzie, — chyba czasem w lecie
Syknie gadzina w mokrym oczerecie,
Chyba przy zdroju u mokrych wybrzeży
Niedźwiedź zamruczy, albo lis przebieży;
A zresztą cicho — sam jeno bór stary
Szumi odwiecznie i chwieje konary.
O! w takich borach urodzaj bogaty
Na wonne zioła i miodowe kwiaty!
W spróchniałych drzewach, bez ludzkiej opieki,
Pszczół co niemiara lęgnie się i roi;
Więc by je zebrać do przyszłej pasieki,
Chodzę uważnie od choi do choi —
I tuż przy pierwszym dalsze ule żłobię,
I tam osadzam me jeńce skrzydlate;

I sam jak pszczoła na zimę już sobie
W ogromnym dębie wydrążyłem chatę.
Przy niej zrąbawszy jodłowe polana,
Krzyż postawiłem — tarczę od szatana.

Ej wiercie pany! gdzie modły i praca,
Ze złemi myślmi szatan nie powraca.
Ot nic bywało nie przyjdzie do głowy,
Kiedy pracuję cały dzionek Boży,
Tępą siekierą rąbię pień sosnowy,
Lub się wieczorne ognisko nałoży,
I tam się modłę, — żal mi tylko szczerze,
Że mało modłów umiałem z pamięci,
Jeden O j c z e n a s z, ot całe pacierze.
Ten wciąż powtarzam, a tu łza się kręci,
Serce klekocę, i w rozlicznych głosach
Szepcę: „Ojcie nasz, któryś jest w Niebiosach!“

Nadeszła zima, mój leśny zakątek
W pośrodku mszarów zakwitnął jak wianek.
Zliczyłem ule, było ich dziesiątek,
Tu nowa praca: jak przyjdzie poranek,
Tam się oczyszcza, ówdzie brzęku bada,
Czy silne pszczołki? czy karmu nie mało?
Czy się gdzie żoła lub szczur nie zakrada?
Czy się otulić od zimna udało?

Czasem zapłaczę, widząc, jak przy matce
Tulą się pszczołki w wesołej gromadce;
Bo moja chatka w pamięci mi stoi,
Mój ojciec, żona, sąsiedzi wioskowi,
Jakbym ich widział: O serdeczni moi!
Jak się miewacie? czy żywi? czy zdrowi!? —
O! z jakim szczęściem, o! z jaką pociechą
Gwarzyłbym, gwarzył, gdzie ludzi gramada!
A tutaj gwarzysz, to zamruczy echo,
Hukniesz — odhuknie, samo nie zagada.

Czy jęczysz we łzach, czy pracujesz w pocie,
Mógłbyś tu przebyć od wieku do wieku,
Echo nie przyjdzie osłodzić w robocie,
Nie powie tobie: „Pomagaj Bóg, człeku!“ ...
Lecz poco żądać, co stać się nie może?
Plakałem długo, wkońcu... mniejsza o to,
Człek się odziczył borową głuchotą,
Jakby się w wilezej wyhodował norze.

X.

Tak przeżyłem na puszczy całe lat trzydzieści:
Prędko w myśli podumać, wygwarzyć w powieści —
Ale przeżyć nieprędko! mocna dusza człeka
Z wyniszczającego cielska niełatwo ucieka!
Na pracy i pokucie, na głodzie i zimnie,
Kiedy wszystko starzało, umierało przy mnie,
Gdy dęby, które pomnę z zieleniuchnem czołem,
Poschły i poginęły — a ja nie zginałem.
Nieraz sosnę, co była świadkiem mojej pracy.
Wypróchniła zgnilizna, podgryźli robacy:
A mój robak, co trupa wietrzył już z daleka,
Dotąd się spragnionego żeru nie doczeka.
Już oniemiały język przyschnął mi do gardła,
Mój się topór wyszczerbił, siermięga podarła.
Cóż począć? — myślę sobie — zgon idzie powoli,
Lecz trzeba żyć dla pracy i pokucie gwoli.
Nie rzucę cię sam przez się, mój dobry pszczelniku!
Siekiera się jakkolwiek zostrzy na kamyku,
A zakrwawiony łachman niech już w kącie leży,
Bo mi kudłacz zabity dostarczy odzieży.
Nie trzeba było szukać, bo nieraz otwarcie
Przychodził straszny niedźwiedź wydzierać mi barcie.
I cóż państwo powiecie? — ot zajdę mu drogę,
I kijem lub toporem na śmierć go przemogę!
Nie nosiłem na piersiach, jak ty, książę, zbroi:
Nieraz mię okaleczył... lecz to się zagoi;
Nieraz w szponach niedźwiedziach jak przyczaję ducha,
On mię łapą potrąci, obwacha, posłucha,
A sądząc, żem nieżywy, już zemsty nie szuka,
Och! człowiek odziczały, to przemyślna sztuka...
Co tam wam opowiadać? bo któż mi uwierzy,
Jakem ja się przyczajał do ptactwa i zwierzy,
Jakem dostrzegł z daleka, jak nacierał z bliska?
Ściągnąć orla z obłoków, zwierza z legowiska,
Zdławić łosia w objęciach — na co tu narzędzie?
Głód rozumu nauczy i siły dobedzie!

Co rok, gdy śnieg wypadnie w jednostajnej porze,
Kreskę na moim dębie wyciosam na korze —
I tak znaczyłem lata — ej niemiłe dzieło,
Nim się dwadzieścia karbów na korze wycięło!
Czas płynie — a ja ufny w Najwyższej opiece,

Modłę się, zbieram roje, albo barci klecę.
Moje pszczołki kochane znały moją władzę:
Wyjdzie rój — ot i czeka, nim go sam osadzę;
Wiedziały, że wsadzone rękami mojemi,
Czy wysoko na drzewie, czy nisko na ziemi,
Znajdą dobrą siedzibę; — gdy karmu niewiele,
Od starych miód odetnę, a młodszym udzieli.
I tak co rok, a co rok.

Od ziarnka do ziarnka
Mnożyła się i ręką szła mi gospodarka; —
W lat dwadzieścia i kilka — w szerokim zakresie
Trzy kopy moich barci naliczyłem w lesie.

XI.

Ależ trzeba nieszczęścia! Wszak mówiłem o tem,
Żem niegdyś krzyż drewniany postawił nad błotem,
Jak tarczę od szatana; — ot niszczał leciuchno.
Podgnił, upadł na ziemię, rozbił się na próchno,
I już trawa zarosła na ubitej drodze.
Gdzie bywało wieczorem pomodlić się chodzę.
Więc znowu, Boże odpuść! byłem w sidłach djabła —
Mój topór się potrzaskal — i ręka osłabła,
Nie miałem sił na nowo odbudować krzyża,
A już czułem, jak starość, jak śmierć się przybliża,
I zapragnąłem śmierci. — Nie sposób żyć dłużej —
Kiedy już drżąca ręka do pracy nie służy,
Kiedy nie mam siekiery — ej nie przeżyć wcale!
Czem ja kłodę rozrąbię? czem zwierza powalę?
Wszak już i głód dokucza — już niedźwiedź kudłaty,
Co mi służył za odzież, podarł się na szmaty.
Cóż począć? śmierć nadchodzi — ot szepcąć pacierze,
W mojej dębowej klatce do śmierci przeleżę.
Więc powlokłem kościska w wypróchniałą jamę;
Lecz tu poczęły dręczyć okropności same,
Tutaj czarna tęsknota do świata i ludzi,
Tu pragnienie rozpali, tu się głód obudzi,
Szatan po zgniciu krzyża, ufny w swej potędze,
Przeszkadzał mi w modlitwie i wyśmiewał nędzę.
W oczy się naigrawał: to wychodzi z błota,
To huczy w oczerecie, to dziko chichota,
To wejdzie mi do serca, i tam ślad swój znaczy
Ponuremi myślami grzechu i rozpaczy.

Gdy ja myślę o Bogu, chcę pokrzepić ducha,
On mi ogień sumienia pod sercem rozdmucha,
I krew mi przypomina, albo ryczy wściekle:
„Żegnaj się, czy nie żegnaj, obaczmy się w piekle!”

Och! wtenczas, jasne pany, ucierpiałem dosyć.
Nie! — rzekłem — niepodobna takich mąk przenosić!
Czyż zniosłem tyle pokus i prac nadaremno,
Aby wkońcu duch czarny wziął górę nade mną?
Nie zdołałem się mu oprzeć, ratuj Matko święta!
Bo w tej puszczy przed śmiercią szatan mię opęta,
I weźmie duszę moją. — Wyjdę z tej gęstwini,
Niech się już sądom ludzkim zadosyć uczyni.
Może, kiedy mię spotka zasłużona plaga,
Szatan się ulagodzi, albo Bóg przebłaga!...

I wziąłem moją zgniłą, podartą sukmanę,
Pożegnałem pasiekę i pszczołki kochane,
I płacząc po mým lesie i klnąc moją dolę,
Poszedłem, by jakkolwiek wybląkać się w pole.

XII.

Błądziłem długo... aż jednego ranka,
Las się przerzedził nad szeroką rzeką,
I zawidniała piaszczysta polanka,
A dalej wzgórek i wieś niedaleko.
Wszedłem na wzgórek, las zniknął w oddali:
Było mi straszno, gdy wyszedłem w pole...
Drżałem z obawy, że mię wiatr obali,
Że zbytńia jasność oczy mi wykoł...
Powiodłem okiem po błękitnem niebie,
Potem spojrzalem na ustroń wieśniaczą:
Mży się w żrenicach, widzę wkoło siebie,
Dęby i sosny na powietrzu skaczą...
Wszedłem do wioski, strach ogarnął piersi,
Lecz razem w piersiach tak słodko, tak rzewnie!
Ludzie — mój Boże — to bracia najszczerzi!
Ja wszystkich ludzi uściskałbym pewnie!

Lecz wszyscy ludzie, na całej ulicy,
Z krzykiem, ze strachem, uciekli ode mnie,
Dzieci i starsi, wszyscy bez różnicy,
Wołam ich, płacę, wszystko nadaremnie.
Czy to twarz moja zniszczona przez nędzę,
Czy leśna postać straszyla z daleka?
Czy krew błyszcząca na zgnilej siermiedze?

Czy ślady w oczach, że zabiłem czleka?
 Gorzko mi było, że ludzkie postacie
 Stronią odeninie jakby od zarazy —
 Każdy mnie zdala żegna po trzy razy
 I bieży z krzykiem zamykać się w chacie.

Pierwszy z ulicy stał domek schylony,
 Puknąłem w okno, zakrzyczano z chaty.
 Ja się oparłem na mój kij sękaty,
 Rzekłem: „Niech będzie Chrystus pochwalony!“
 Nikt się nie ozwał, ale drżące dziecko
 Kawalek chleba rzuciło mi w ręce...
 Oj pany! pany! nigdy tak zbójcecko
 Wilk nie poglądał na zwłoki jagnięce,
 Ani połykał tak żarłocznem gardłem
 Krwawej zdobyczy na wioskowej niwie,
 Jak ja na chleb ten patrzałem łapczywie,
 I jak go żarłem...

Z wioski do wioski błąkam się mizerny,
 Ludzie się lękli jak dzikiego gadu;
 Nakoniec człowiek jakiś miłosierny
 Spytał się u mnie: „Kto ty jesteś, dziadu?“
 I wezwał na noc, i dał ciepłej strawy,
 Starą sukmanę dał mi na przykrycie,
 I gwarzył ze mną — o Boże łaskawy,
 Szcześć temu człeku całe jego życie!
 (Najlepszy datek — o wierście mi, wierście!
 Kto swoim sercem biedaka obdarzy).
 On mi powiedział: że w tutejszem mieście
 Zasiadłeś, książę, by sądzić zbrodniarzy,
 Więc tu przyszedłem.

Jak zbrodniarze warci,
 Każ mię ukarać przykładnie a srodze,
 A ja cię za to sownie nagrodzę:
 Weź moje pszczoły, — te trzy kopy barci!
 Jam je hodował na bezludnym borze,
 Strzegłem, czy letnia, czy zimowa pora;
 Dziś tego miejsca nie znalazłbym może,
 Lecz każ wyszukać, gdzieś koło jeziora,
 Las jakby wyspa — bagna idą w kółko,
 Przy jednym bagnie jest krzyża ułomek,
 A w środku wyspy, nad samą rzeczulką
 W spróchniałym dębie wydrażony domek.

Nie gardź podarkiem, miłościwy książę!
 A mnie na gardle skarać jak mordercę;
 Może się śmiercią sumienie rozwiąże,
 Może ciężaru pozbędzie się serce! —

XIII.

Chodyka zamilkł, — a ciżba mileżąca
 Patrzy na dziada okiem zadumania. —
 Książę z powagą wysłuchał do końca,
 Westchnął ukradkiem i oczy zasłania.
 Cóż to? czy książę myślami się troska,
 Że zakrył oczy i poruszył głową? —
 Łza mu spłynęła... O! Iza Radziwiłłowska
 Łacno złagodzi srogość statutową. —
 Radziwiłł dumal — powstał naostatek.
 Uderzył w dzwonek, szmer rozległ się w tłumie.
 — „Mości panowie!” — krzyknął woźny u kratak —
 „Solvitur sessio na jutro po sumie!”

XIV.

Nie wiem końca powieści. We dwa lata blisko
 Umarł jakiś pokutnik w słuckim monasterze;
 A dzwonnik rozповідаł, dzwoniąc na pacierze,
 Że podobno Chodyka było mu nazwiśko. —
 Że aż strach było patrzeć, jak pokutę czyni,
 Jak o chlebie i wodzie stare kości suszy;
 Że podobno coś zgrzeszył, że był na pustyni,
 A zresztą Bóg go tam wie — pokój jego duszy!
 A w lesie między mszarem jest wysepka dzika,
 Na niej ogromny pszczelnik — pasieka nielada, —
 A naród o tej wyspie dziwy rozповіда.
 A ten pszczelnik od wieków nazwano Chodyka.

17 września 1844 roku.

K R A D Z I O N E.

PRZYPOWIEŚĆ SZLACHECKA.

(Podsłuchano).

W ręce aspana, panie Jakobie!
 Mówisz: k r a d z i o n e l e p s z e, i chcesz tego dowieść;
 Ja sobie rozmaite przypowieści lubię,
 Powiem aspanu przypowieść:

W samym końcu zaścianku, pilnując swej niwy,
Żył sobie szlachcic pocziwy, —

A miał syna wyrostka z wąsem wyżej nosa.

Chłopiec dobre miał serce, ale w głowie za to

Okropnie było pstrokato,

Zwyczajnie jak u młokosa.

A tuż, mój mospaneńku, obok ich stodoły

Ciągnął się wygon sąsiada,

Na którym pasły się stada:

Konie, owieczki i woły.

— Czy wiecie co, tatulu? — tak mówił raz młody —

Fraszki to — praca i cnota.

U nas, panie, pocziwość, trudy, niewygody,

A w domu wieczna hołota.

Czy to Pan Bóg uważa, że ludziska giną?

Pocziwym nie da talarka,

Dla jednego pomyślność odmierza ośminą,

Drugiemu liczy na ziarnka.

Naprzykład choćby u nas: ot idą zapusty,

A w domu ni to, ni owo;

Hola! jakby to dobrze, by na Czwartek Tłusty

Utuczyć pieczeń wołową!

A skądże weźmiesz wołu?

Czy to wielka sztuka?

Niby to dostać nie możemy!

Chodzą woły sąsiada — po gardlisku nożem,

Niech potem sąsiad poszuka.

— Cóż to! — zawołał ojciec — to kradzież wyraźnie,

To jakaś sztuka zbójecka;

A siódme przykazanie? a sumienie? błaźnie!

A nasza wiara szlachecka?...

— At myśleć, co się godzi, a co się nie godzi?

Za cóż my biedni i głodni?

Nas jeden wół przeżywi przez kilka tygodni;

Czy to po ludziach nie chodzi?

Na takie argumentum ojciec mruknął z cicha:

Cóż robić? szatan cię uczy;

Ukradniem jutro wołu, lecz pomnij do licha,

Nigdy kradzione nie•tuczy!

Wieczorem stary ojciec poszedł do sąsiada,

Cichaczem kupił wołu, napił się borysza:

Nazajutrz bierze syna, niby się podkrada,
 I z wolem... het! do zacisza.
 Zaraz nożem po gardle nieszczęsnego byka,
 Rozćwiartowali w stodole,

I jak słowo powiedzieć, już u czynszownika
 Wołowa pieczeń na stole.

— Wiesz co teraz, mój synku? — odmierzym się w pa-
 Zjadając mięsko tak cudnie, [sic:

Będziem wiedzieć, mospanie, po niejakim czasie,
 Kto z nas utyje? kto schudnie? —

Zmierzyli się i każdy na swojej popręde
 Nazначzył kreskę czerwoną.

Co to gadać, tatulu! schudzeni przez nędzę,
 Teraz utuczym się pono!

Przez całe trzy tygodnie gody u szlachcica,
 Codziennie przysmaczek od wołu:

Dzisiaj rura do barszczu, jutro polędwica,
 Pojutrze pieczeń u stołu.

A tu rozruch w zaścianku, sąsiad niby jęczy,
 Niby to szuka wołu, niby ludzi zowie...

Syn dręczy się obawą, jak duch potępieńczy,
 Już mu i jadło nie w głowie.

Czy kto skrzypnie we wrotach — on w nocy i we dnie
 Marzy o przyjściu sąsiada;

W obiedzie... strach, zgryzota, co chwila poblednie,
 A ojciec smaczno zajada.

Syn był młody i zdrowy, jak dębina krzepka,
 Ojca wiek zniszczył i znoje;

Lecz kiedy zjedli wołu, syn wysechl jak szczepka,
 A ojciec utył we dwoje.

— A co, błażnie — rzekł stary — pamiętaj przysłowie,
 Że małe parta do czarta.

Ja zakupiłem wołu, — toć mi szło na zdrowie,
 Ty, kradnąc, schudłeś na charta.

*

*

*

— A cóż, panie Jakobie, jak przypowieść zda się?
 — Moralna! sens na wierzchu jakby gwiazda świeci.
 — Ja umiem jeszcze lepsze — a w swobodnym czasie
 Więcej opowiem waszeci.

ZALOTNICY.

GAWĘDA.

Onego czasu, młodziuchna, słodka,
Żył dziewczica, niebios pieszczotka,
Piękna jak gwiazda na niebie;
Cóż więc dziwnego, że serca żarzy,
Że wszyscy młodzi, że wszyscy starzy
Skarbia jej względy dla siebie?

Młodzi poeci, starzy statyści,
Ludzie rycerscy i biuraliści
Króla Popieła czy Piasta,
Na jej spojrzenie biegli zawodem,
Jak gdyby muchy do czary z miodem,
Wolali: „Cudo niewiasta!”

Wolali chórem: „O krasna dziewo!
Spojrzyj na prawo, spojrzyj na lewo.
My wszyscy twoi poddani!
Dla twoich wdzięków, dla twych przymiotów
Każdy choć w ogniu polecieć gotów,
Daj dobre słówko, o pani!

Który z nas godzien (choć wszyscy życzą)
Posiadać twoją miłość dziewczęzą,
Wybierz po dobrym rozmyśle;
A gdy jednego z grona wybiorą,
Reszta nieszczęsnych pójdzie z pokorą,
Pójdzie — utopić się w Wiśle!”

Jęczą, wzdychają, czysto warjaci —
Biedna dziewczica przytomność traci,
Spuściła oczki i słucha;
Nie wie, jak pozbyć czułą gromadę,
Więc prosi w myślach o dobrą radę
Ojca i Syna i Ducha.

Duch święty radą wspomógł dziewicę:
Przez jej urocze, lecz blade lice
Przebiegły krasne kolory;
Skinęła rączką drobną i białą,
I wznosząc oczki, rzekła nieśmiało:
„Moje wy czule amory!

Jak was nie kochać, powiedzcie sami?
Każdy o miłość prosi ze łzami,

Każdy jak z wosku odlany;
A taki kształtny, hoży, stateczny,
A taki dobry, a taki grzeczny,
Choćby przyłożyć do rany.

Lecz jak was kochać, moi panowie?
Dziś wiecie sami, że Tatarowie

Kraj najechali w drużynie —
Mieczem i ogniem grozą ojczyźnie,
We krwi niewinnej i w spaleniźnie
Biedna ojczyzna zaginie.

Dziś właśnie pora wesprzeć brat brata,
A wy, mężczyźni, obrońcy świata,

Wznosicie jeno toasty!
A zamiast spieszyć ojczyźnie gwoli,
Ubrani w atlas i puch soboli,

Kłęczycie u stóp niewiasty!

Chcecie miłości? któż was pokocha?
Chyba kobieta wietrzna i płochą

Takim zachwyci się mężem;
Dać komu rękę — cóż gdy się zdarzy,
Że domowisko najdą Tatarzy,

A mąż nie włada orężem?

Kto chce miłości, wnet mu uwierzę:
Zrzućcie złotogłów, włóżcie pancerze,

Na koń i przeciw Tatara!
Wszak wasza liczba dosyć jest mnoga,
Moich kochanków pułk przeciw wroga
Niech się odznaczyć postara.

Kto więcej szczerbów na swem żelezie,
Kto więcej znaków i ran przywiezie,

Choćby zrąbany, kaleki, —
Niech jeno weźmie triumf nad wrogiem,
Ja go przysięgam przed Panem Bogiem
Kochać na wieki, na wieki!"

Tupnęła nóżką — ogień uroczy,
Ogień zapału wstąpił w jej oczy

I padł na ciźbę w iskierce;
I zapłomienił ciźbę zdumioną —
Duch bohaterski wstąpił w ich łono,
Jak proch buchnęło ich serce.

I wzniosł się okrzyk w prawo i w lewo:
„Cześć, bohaterko! cześć tobie, dziewo!
Spełnią się twoje zamiary!” —
Rzekli, wybiegli, chwycili bronie,
Wdziali pancerze, siedli na konie,
I cwałem walczyć z Tatary!

Pomimo siły, mimo przemocy.
Walczyli z wrogiem trzy dni, trzy nocy,
Zbili zastępów trzydzieści;
Lecz sława przyszła drogim okupem,
Bo wkońcu wszyscy polegli trupem
Na polu walki i cześci.

Tylko pozostał jeden z ich grona,
Przez niego bratnia klęska pomszczona,
Przez niego Tatarzyn ginie.
Jednych rozdzielił z życiem lub bronią,
Drugich zapędził dzielną pogonią
Gdzieś na dalekie pustynie.

Jeńcem tatarskim zmurował mury,
Ustroił ściany w łup armatury,
Wzięty własnymi rękoma;
A wystroiwszy zamek po pańsku,
Dwie beczki wina zakupił w Gdańsku,
Dwie beczki miodu miał doma.

I z dziewosłębą szedł do niebogi,
„Nagródź zwycięzcę, pobite wrogi,
Ja wszędzie byłem na czele!” —
Dziewica oczkiem przyjaznem błyska,
Rękę rycerza w swych rączkach ściska,
I wkrótce było wesle.

Wesle luźne — i ja tam byłem,
I miodek słodki, i wino piłem,
Lecz mi nie wiedzie się wszędzie;
Bo smakowity miodek i wino

Po brodzie ciekną, do ust nie płyną, —
Ot i po całej gawędzie.

1849. Żalucze.

URODZONY

JAN DĘBORÓG.

DZIEJE JEGO RODU, GŁOWY I SERCA, PRZEZ NIEGO SAMEGO.
OPOWIADANE.

Przedśpiewek.

DO LITEWSKIEGO CZYTELNIKA.

Ziemio moja rodzona, Litwo moja święta,
Żółtym piaskiem i drobną trawą przytrząśnięta!
Niepokażne na oko dzikie twe zacisze,
Nie tak jak u Auzońców i Helwetów słyszę,
Gdzie pola jak raj ziemski, jako świata dziwo,
Gdzie lasy zarastają mirtom i oliwą,
Gdzie góry od Ponarskich wyższe tysiąc razy,
Takie cudne co chwila stawi krajobrazy,
Takie rzeki, kaskady i jeziora tworzą,
Że je Włosi malują i na dziw rozwożą
Po litewskich jarmarkach, gdzie je naród chwyta...
Ty nie dojdiesz tej sławy, Litwo rodowita!
Twoja ziemia posepna, twe niebo bez blasku,
Ciebie do Włoch na pokaz nie powieźć w obrazku,
Nie spada w katarakty twoja woda sina,
Na twych wzgórkach jałowiec, po lasach sośnina. —
Z nieociosanych bierwion klecone twe domy,
Kwitnie mech zielonawy na strzechach ze słomy,
A pod strzechą lud pełen prostoty i dziczy,
Rzekłbyś, patrząc na niego, że do trzech nie zliczy.

A jednak do twej treści gdy zajrzeć głęboko,
Litwo! tyś więcej warta, niż zda się na oko:
Pieszczota oceanu, dziwowisko świata,
Z twych sosen wyciosana brytańska fregata;
Siermiężny syn twych wiosek po to ziemię kopie,
Aby głodno nie było pięknej Europie;
Nie zląkł się prosty szlachcic, karmiony twem żytem,
Ani Turków pod Wiedniem, ni skał pod Madrytem.
Cicho Niemen przebiega rodzinne siedziby,
Nie straszny dla żeglarza i spokojny niby,

Pozwala sobie łodziom deptać całe lato,
Zimą da się w ciemnicę zakuć lodowatą;
Nie stawia groźno czoła — nie rwie się, nie ryczy,
Taki zda się pokorny, taki niewolniczy!
O! nie wierz tej pokorze — i patrz kiedy łaska,
Gdy się na wiosnę wzburzy i lody potrzaska, —
Biada! ocknął się olbrzym — wie, kto go znieważa:
Gruchoce dom rybaka i statek żeglarza,
Fala zalewa błonie, echem grzmi po borze,
A gdyby jeszcze chwila — świat zniszczyłby może.
Lecz gniew jego przekipiał, już krzywd zapomina...
Ot tak samo jak Niemen i serce Litwina.
Tu gdzie Niebo posępne, gdzie chłodnawe klima,
Zda się żadna namiętność wrząca nie wytrzyma,
Zda się ludzie drzemali, a całe ich życie
Upływało powoli i nierozmaicie.
Tak Litwin niepoczesny, tak zwiesił coś głowę.
Ho! ho! zapytaj dziejów, zbierz wieści domow.,
I co mędrzec zapisał, i co prządka gwarzy,
A poznasz, jak na zimnej i spokojnej twarzy
Odkryć gorącej myśli tajemnicze piętno.

O! i poważna Litwa umie być namiętną:
Tutaj chrobrym zapalem pierś męża oddycha,
Tutaj miłość dziewicza gorąca, choć cicha.
Tutaj znać burze życia na obliczu starem...
Kolejno z pługiem, z krzyżem, z mieczem, lub z puha-
To rąbiąc się wzajemnie, jak rozkazą starszy, [rem,
To wiodąc w gronie dziatwy żywot patryarszy,
To w modlitwie, to doma, to między cudzemi
Ruchawe pędził chwile mieszkaniem tej ziemi.
A ile doznał przygód! — i sam nie spamięta.
Czasem bywa ich powieść serdeczna i święta,
Czasem wypadek krwawy lub tchnący swawolą,
Niekiedy taki śmieszny, że aż boki kołają.
A pamiątka tych przygód — co krok to znachodzę!
Każdy kopiec na gruncie, każdy krzyż przy drodze,
Stos łomów na gościńcu, kaplica, gospoda,
Wszystko tu jest pamiątką — i wszystko ci poda
Jakaś ciekawą powieść o życiu Litwina.
A ileż się tych podań codzien zapomina,
Albo widząc nie widzi, a słysząc nie słucha,
Kto rodzinnem powietrzem nie napoił ducha?!

Ej, bolesno, bolesno! — Czemuż to, mój Boże,
 Lirników i gęślarzów miało Zaporoże?
 Czemu na naszych polach nie zjawią się tacy,
 Jak bardy kaledońscy, jak greccy żebracy,
 Co to każdą pamiątkę w rodzinnym zakresie
 Zaraz w pieśnię ułoży i na świat rozniesie?...
 Nas Pan Bóg nie obdarzył talentem śpiewaczym.
 My domowe pamiątki kamieniami znaczym.
 Co ten kamień?? — zaginie, jako ziemia marna.
 Zarośnie mchem zgrzybiałym lub pójdzie na żarna,
 A podanie zginęło. — Ejże, jako żywo!
 Lirnik miałby tu piękne i bogate żniwo:
 Opiewać nasze krzyże, kurhany i groby,
 Od czasów Mendogowych do dzisiejszej doby,
 Od baszty w krewskim zamku, gdzie leży Kiejstut stary,
 Aż do krzyża nad brzegiem Prypeci lub Szczary,
 Co wzniosła po topielcu wioskowa gromada
 I dotąd o tym krzyżu cuda rozpowiada.
 Ej, każda taka powieść dla piewcy ciekawa!
 Z każdej ludziom nauka, płacz albo zabawa;
 A pamiątka i pieśnia, przywiązana do niej,
 Zawsze duszy litewskiej choć cząstkę odsłoni.

*

*

Otóż podanie z jednej litewskiej mogiły
 Składałam dzisiaj w twe ręce, czytelniku miły.
 Choć kształtem rymowanym oblokłam to dzieło,
 Nic się gwoli końcówce prawdzie nie ujęło.
 Prawdziwa, w rymotwórcze koncepta uboga,
 Powieść urodzonego Jana Dęboroga:
 O rotmistrzu pancernym i jego mogile,
 I jako się upiorem błakał przez lat tyle;
 O starym Dęborogów z Brochwicami sporze
 I o zgodzie serdecznej, — o definitorze,
 O świętych jego cnotach, nauce i pracy,
 (Czemuż częściej kapłani nie bywają tacy?),
 Słowem, całą gawędę z upłynionej chwili,
 Jako niżej ujrzyście, czytelnicy mili,
 Powiadał mi obszernie i w niedawnym czasie
 Urodzony Dęboróg, kiedy na popasie
 Poznałam go raz pierwszy. — Zda się człek statysta,

Z oczu widać szlachetność, mina zawieszona,
A dziś już obywatel, małżonek i ojciec.
Ale czy prawdę mówił — skąd ja mogę dociec?
Więc nie chcąc odpowiedzi brać na własną głowę,
Żem coś zmyślił lub dodał w powieści ośnowę,
A pragnąc w całym kształcie oddać tę gawędę,
Własnymi jego słowy opowiadać będę.

URODZONY JAN DĘBORÓG.

I.

Pod niegminną i niepodłą
Urodziliśmy się gwiazdą:
Herb Dęboróg nasze godło,
Stary Poleś nasze gniazdo.
Z dziadów, z ojców w naszym rodzie
Zawsze były łaski Boże;
Szlachta drobna, lecz zasobna,
Krzywo pisze, prosto orze,
Procesuje, strzeże kopców,
Lasy pali, Boga chwali
I hoduje walnych chłopców.
W naszym rodzie, jak w ogrodzie,
Pełno główek, jak makówek;
Znają ludzie każdą głowę.
I urzędów mamy dosyć;
Ale cóż się z nich wynosić,
Kiedy wszystko powiatowe?
Każdy urząd, chociaż ludzki,
Ani grzmiący ani groźny,
Rotmistrz lidzki lub oboźny,
Albo cześnik nowogródzki,
Herb się naszej parenteli
Ani razu nie doporał,
By po mieczu lub kądzieli
Wziął buławę lub pastorał,
Albo mitrę; — naszej tarczy
Taki luksus nie obarczy
Prosto sobie herb dziadowski,
Przy nim sztandar i armata,
Helm lub czapeczka rogata,

Albo biret proboszczowski, —
Ot i basta.

 Protoplasta,
Od którego my pochodzim,
Za Chrobrego czy za Wazy,
Deputatem był dwa razy
I wileńskim podwojwodzin.
Ale z takich antenatów
Niema poco dać się w pysze:
Bo nasz przodek, był to, słyszę,
Mimo sławę wiekopomną,
Curtum visum do stu katów!
Więc nie lubim gdy go wspomną.
Za to w rodzie naszym słynie
Ów pancerny rotmistrz stary,
Który walczył w Ukrainie
Z hajdamaki i Tatary,
A ugodzon kulą w głowę,
Jak bohater zginął śmiało.
O nim podanie domowe
Taką powieść zachowało:

 Ze ostatnią czyniąc wolę,
Kazał przewieźć swoje kości
Do ojczystej posiadłości,
Na wioskową naszą rolę;
Ze pogrzebu kościom życzy
Nie we sklepie lub w kościele,
Lecz gdzie żytni łąn się ścięle,
Gdzie z sąsiadem grunt graniczy;
Aby kurhan nad mogiłą.
Niby kopiec stał ochrończy,
A na wieki znacznie było,
Gdzie poletek nasz się kończy.
Jego wola uroczysta
Wypełniona, jak należy.
Przeminęło lat ze trzysta,
A od starca do młodzieży
Każdy jeszcze dziś pamięta
Grób rotmistrza — kopiec z darni;
A sąsiedzi gospodarni
Wiedzą, że to miedza święta,

Że przywłaszczyć stąd nie wolno
Choćby jedną skibę rolną.

Tuż za kopcem stał dwór cudzy,
Ale gruntów nam nie spaszą:
Bo panowie i ich słudzy
Szanowali własność naszą,
Bo wiadano, że wybrzeże
Stary dziedzic z grobu strzeże.

II.

Jak mogę zapamiętać — od najrańszej chwili
Z sąsiadami z za kopca nigdyśmy nie żyli;
Nigdy na naszych ucztach nie byli przytomni,
Mój ojciec nigdy o nich i słówkiem nie wspomni:
Dwa dworki, choć od siebie w mecie niedalekiej,
Zdaje się grób rotmistrza rozdzielił na wieki.

Jeszcze dzieckiem pamiętam, jak to było gwarno,
Kiedy ściany domowe gości nie ogarną:
Tam przy matce matrony, tu przy ojcu mężu,
Wre gwar, brzęczą kielichy, stukają oręże;
Wije się krasnych strojów barwa uroczysta,
Jako kwiaty na łące, gdy je wietrzyk chysta.
Ojciec wesół, że strzecha ożywiona nasza,
Miód i wino rozlewa i gości zaprasza:
A sam z gośćmi zasiadłszy przy winie lub miodzie,
Rozповіда o panu trockim wojewodzie,
Przy którym, jak zwyczajnie szlachta niebogata,
Szukając klienteli, spędził młode lata.
I promienieje starzec, kiedy gwarzyć zacznie...
Niechże kto o sąsiadach przypomni niebacznie,
Lub o grobie rotmistrza — wnet się ojciec zmienia,
Jak gdyby go ubodły ciężkie przypomnienia.
Wnet poblednie jak ściana, głowę spuści smutnie,
I oblicze nachmurzy, i rozmowę utnie,
I gryzie gniewnie wargi — nudzą go przytomni;
Chyba że ktoś trockiego wojewodę wspomni,
Wtedy ojciec, nie bacząc, że go serce boli,
Odzyskiwa wesołość powoli... powoli...

Wkońcu umarł nasz sąsiad — cóż państwo powiecie?
Ojciec, co go nie lubił, póki żył na świecie.
Po śmierci mu wypłacał, jak gdyby hołd dłużny,
Zapomogę z modlitwy, postu i jałmużny;

Zakupił msze żałobne, krył się od gromady,
A chodził zamyślony, ponury i blady.
Bywało, kto w sąsiedztwie zaniknie w Panu oczy,
Mój ojciec, w uczynności braterskiej ochoczy,
Spieszy i losem sierot troska się najczulej,
Owdzie wdowę pocieszy, tam dziatwę utuli,
Zajmuje się pogrzebem, gospodarzy w stypie,
I gawędki o trockim wojewodzie sypie;
A tutaj, chociaż smutek wpił się mu do głowy,
Nie pojechał na pogrzeb, nie pocieszył wdowy,
I odzywał się słowy gniewnego rankoru,
Kiedy wspomną nazwisko sąsiada lub dworu.
Raz, widząc, że ochłonął z gniewu i rozpaczy,
Spytałem go nieśmiało: — Co to wszystko znaczy?
Czemu zwykle tak dobry, ochoczy z usługą,
Na sąsiadów z za kopca gniewa się tak długo?
Dlaczego, gdy się gniewa w jednostajnej mierze,
Umarłego sąsiada żałuje tak szczerze?
Dlaczego, gdy żałuje, dwór omija zdala,
Nic o zmarłym nie wspomni i nam nie pozwala? —

Tu się ojciec zapłonił, potem zbladł jak ściana:
— A skądże ta ciekawość? At, proszę aspana.
Młokos jesteś i kwita, wścibiasz nosa wszędzie!
Jak ci z laty rozumu do głowy przybędzie,
Jak na skórze zużyjesz różeg całą puszcę,
Wtenczas, proszę aspana, całą rzecz wyluszcę;
A tymczasem wiedz, błaznie, i zapisz to w głowie,
Że nie ja, ani sąsiad, lecz nasi przodkowie,
Może to prapradziady, mieli z sobą waśnie,
I wnukom przekazali gniew, co nie wygaśnie
Póty z naszego serca, dopóki wystarczy
Naszych imion szlacheckich i herbów na tarczy.
Wiele wody upłynie, długie przejdą lata,
Nim się wkońcu Dębóróg z Brochwiczem pobrata;
A o tamtych zatargach pamięć i nauka
Z ojca pójdzie na syna, a z syna na wnuka,
I chyba który z rodu... At i gadać szkoda!
Coby to rzekł, mospanie, trocki wojewoda,
Że się młokos u starca tak zuchwale pyta?
Nie rozumiesz tych rzeczy — więc milczeć i kwita. —

III.

Byłem już sobie rosłe pacholę,
Runiał mi wąsik na krasnej twarzy;
Czas był do szkoły, ale o szkole
Mojemu ojcu ani się marzy.
A kiedy wspomni, to zawsze w gniewie:
— Proszę aspana, czas wyśmienity.
Młodzież głupieje, nic a nic nie wie,
A gdzie się uczyć bez jezuity?
Minęła wiara i karność stara.
Po szkołach jakieś nowotne dzieło,
Nie masz łaciny, nie masz Alwara,
Równy z Alwarem — wszystko zginęło.
Książd jezuita niegdyś dobitnie
Wrażał łacinę i karność w dziecię;
Przetoż bywało i mądrość kwitnie,
I lepiej jakoś było na świecie.
Przodkowie nasi stąd mieli ducha,
Stąd wiekopomne tworzyli cuda;
Dzisiaj bez różgi moralność krucha,
Z pijarskich książek łacina chuda.
Syna bym w domu nie trzymał dłużej,
Lecz Pan Bóg widzi, że pusto w kiesie:
Dać do konwiktu możność nie służy,
Uczyć przy farze jakoś nie chce się;
Zwłaszcza gdy człowiek z dawna pamięta,
Że dom nasz bywał w świetniejszym stanie:
Byliśmy w szkole między panięta,
Chłostę na perskim brali dywanie.
A dziś... mój dziedzic... biada nam, biada!
Daremno człowiek ratunku szuka:
Codzień to ciężej ród podupada
Z ojca na syna, z syna na wnuka.
Proszę aspana, uczyć się pora,
Lecz nie masz za co, nie masz widocznie.
Uproszę księdza definitora,
Niech bakałarzyć nad tobą pocznie.
Kształć się w łacinie i świętej wierze,
Nim pójdziesz do szkół wedle zwyczaju —
Może się u mnie grosiwo zbierze
I jezuici wrócą do kraju.

IV.

O miłe w wiosce był dom plebana:
Mała świetlica w ziemię schowana,
Krzyżyk się wznosił na facyacie,
I człowiek Boży mieszkał w tej chacie.
Ksiądz definitor, święty, wymowny,
Poważny wiekiem, szlachcic herbowny,
Przybył z klasztoru w wioskowe progi,
I wziął w opiekę kościół ubogi,
Wziął półwłócz gruntu — i na tej ziemi
Pracował równo z owieczki swemi.
Czy raz bywało widzieć się zdarza,
Jak święty starzec w porannej porze,
Czytając hymny z kart brewiarza,
Bronuje zagon lub sieje zboże!
Dwa chromiejące kościelne dziady —
To była jego cała posługa.
Ksiądz definitor, ojciec gromady,
Jedzie do lasu, kołków nastruga,
Ogrodzi cmentarz, przywlecze drzewa,
Nosi wiadrami wodę ze strugi,
A idąc, pacierz łaciński śpiewa.
Gdy chcesz mu oddać jakie posługi,
Nigdy nie przyjmie — uchyli głowę:
— Za dobre chęci zapłać ci, Chryste,
Masz waszeć, bratku, prace domowe,
Ja sam chcę, orać pole ojczyste! —
I tak modlitwę szepcąc pobożnie,
Sam sobie zorze, zasieje, później.

Na jego sznurach najlepiej rodzi,
Jego przekosów nie znosi woda;
Gdy on na łąkę z kosą wychodzi,
Pewno dni kilka będzie pogoda.
Z długich doświadczeń jego żywota
Jakby wyrocznie mieli kmiotkowie:
Drożyzna, pomór, pogoda, słońce.
Ksiądz definitor zawsze przepowie.
I coś dziwnego? — wszak jego oko
Na firmamencie tkwiło zwyczajnie,
Myślami w niebo wsiąknął głęboko,
Podpatrzył, przeczuł niebieskie tajnie;

Może mu nawet w samotnej celi
I Święci Pańscy coś poszepnęli.
Kiedy śpiew starca zadrżał w kościele,
Jakoś cię zawsze skrucha ogarnie.
Rzekłbyś: „Apostol” — kiedy w niedzielę
Prostemi słowy uczył owczarnię.
Kiedy tłumaczył ze świętej księgi:
Jak to pokorny Zbawiciel świata
Skląda majestat Bożej potęgi
I w ciele ludzkim z czełkiem się brata,
Bóg z nędzarzami żyje pospół,
Między grzeszniki siada do stołu.
I daje Siebie przybić do krzyża,
I składa ciało w człowieczym grobie.
Bóg się do ludzkiej postaci zniża,
By nas uzacnił, podniósł ku Sobie;
A u nas, szlachcie — jasne wielmożę,
Rad, że mu herby dała ojczyzna,
Bóg został czełkiem, a on nie może.
Kmiotków za bliźnich swoich nie przyzna;
Wstyd mu z wieśniaki bawić pospół;
Hańba z rolnikiem siadać do stołu.
Gdy hardy panek w zbytkach swawoli,
Za jeden puhar starego wina
Głodna i chłodna chłopska rodzina
Na rokby miała chleba i soli.
Za jedno słówko w najmniejszej rzeczy
Pany się waśnią, idą na noże;
Wieśniak pod chłostą jęknąć nie może,
Bo nie dla niego honor człowieczy!

Tak to, bywało, głośno i śmieie
Ksiądz definitor gadał w kościele.
Słów jego świętych nigdy nie zaćmi
Żadna nienawiść lub dzikość sroga;
W oczach — do braci prośba za braćmi,
Albo za ludźmi prośba do Boga.
Ani przeklina, ani się dąsa,
Lecz z płaczem przyszłość stawia przed oczy.
Szlachta coś mruczy, najeża wąsa,
Lecz do spowiedzi hurmem się tłoczy.
A spowiedź jego — wieczna nauka!
Nim rozgrzeszenia krzyżyk nakreśli.

Nim w trybunału kratkę zapuka,
Wynajdzie nitkę najskrytszych myśli
I tak przekona i tak poruszy,
Tak wpoi miłość, wiarę, nadzieję,
Że choćby grzesznik miał skałę w duszy,
Łzami z pod serca trzykroć się zleje.
A po spowiedzi długo, ach! długo
Będzie spokojne sumienie twoje, —
Będiesz skwapliwy z bratnią usługą,
Krzywdę bliźniemu wrócisz we troje;
Wesołe serce... och! popamięta,
Że w niem złożona Hostja święta!

Kiedy wieczorna szarzeje pora,
On pieszo zwiedzał pobliskie domy.
Zdała poznałeś definitora
Po kapeluszu z zielonej słomy.
Za cieniem wzniosłej świętej postawy
Szło zawsze wierne, pieszczone psisko.
Jak owca, biały i kędzierzawy,
Pamiętam. Servus jego nazwisko.
A ksiądz czeczotką kroki podpira,
Idzie powoli i kwiatki zbiera.
On i w pałacu i w prostej chacie
Pamagał, radził, krzepił na duchu;
Z panem i z chłopem za-panie-bracie,
Jakby ogniwo w bratnim łańcuchu.

V.

Ksiądz definitor był kapłanów wzorem —
Ojciec mój chodził najpocziwszą drogą;
Rzecz jednak dziwna, że z definitorem
Nigdy bywało zgodzić się nie mogą.
Ojciec mój w mieście zawsze się spowiada,
Ksiądz definitor wiecznie nas ominie,
A gdy się zejda trafem u sąsiada,
Zawsze się z sobą kłóca po łacinie.
A ojciec mówi:

— At, proszę aspana.

Ksiądz i pocziwy, lecz pożał się Boże,
Tak mu do grzbietu przyrosła sutana,
Że o szlacheckim zapomniał honorze.

Nie sztuka zrzedzić — ale Bogu dzięki,
Moje sumienie nieskalane wcale;
Gdyby przynajmniej statut wziął do ręki,
Proszę aspana, tam w czwartym rozdziale,
Jak wolem pisze o ziemskiej dawności:
Kto przez lat dziesięć dóbr się nie dopomni,
Niech później do nich i prawa nie rości,
Ni on, ni dzieci, ni dalsi potomni.
A toż, mospanie, od początku dzieła
Może dziesiąta dawność upłynęła.
Z dziadów, z prawnuków szło dalej i dalej,
Czemuż się pierwwej nie upominali?
Co wziętem z ojców, muszę strzec jak głowy.
Muszę w całości przekazać mej dziatwie
Grunta po miedzę, gdzie grób rotmistrzowy.
I całą sprawę, której nie załatwię, —
Bo jest przysłowie: że do końca świata
Herb się Dęboróg z Brochwiczem nie zbrata.
Ksiądz definitor napomina srode,
Bym oddał grunta aż do samej rzeki;
Proszę aspana, toż minęły wieki!
Nie jam ukrzywdził, nie ja wynagrodzę.
Przodkowie nasi graniczyli miedzą
I mieli proces o sąsiednie niwy;
Przodkowie nasi Bogu odpowiedzą,
Pan Bóg rozezna, kto prawy, kto krzywy.
Może już dotąd gdzieś przed Panem Bogiem
Dawno się Brochwicz zbratał z Dęborogiem;
Lecz tu na ziemi... to wcale inaczej.
Proszę aspana, i honor coś znaczy.
Honor szlachecki.

Ale to najgorzej,
Że ksiądz tak żywo bierze sprawę wdowy,
Puka mi w serce swojemi namowy
W imię sumienia i bojaźni Pożej.
Bym zwrócił grunta; — ja gruntów nie zwrócę.
Proszę aspana, lecz tu sęk u licha,
Że trzeba z prośbą udać się do mnicha,
By chciał mi syna przyjąć ku nauce.
Bo już, co prawda, to wyznać potrzeba,
Że jego głowa przemądra choć stara, —
Łaciny jeszcze uczył się z Alwara,

A cnoty — chyba od samego Nieba;
 Uczony, skromny, pracowity, szczery.
 Czysto jak święty Franciszek Ksawery.
 O! dla młodego taki mistrz nielada,
 Święte w tych rękach boćkowskie narzędzie...
 Lecz iść i prosić, nie wiem, czy wypada,
 Bo jak odmówi, to jeno wstyd będzie. —
 Taka w mym ojcę toczyła się walka,
 Wreszcie kabała rozstrzygnie ją może;
 Więc ujął karty, liczy: tuz... król... kralka...
 Z kart wyszło dobre — idźmy w imię Boże.

VI.

Ksiądz definitór próśby wysłuchał wesóło,
 Ścisnął ojca, mnie ścisnął, ucałował w czoło,
 I rzekł: — Zostań tu, chłopcze, ucz się w imię Boże!
 Wszystką miłością w sercu, chlebem, co w komorze,
 I nauką, co w głowie — choć jej tak niewiele,
 Co Bóg dał, wszystkiem chętnie z tobą się podzielę! —
 Tylko że widzi waszmość — rzekł do ojca dalej —
 Ja stary mam narowy, a szlachcice mali
 Zwyczajnie przynoszą z domu dwa początki liche,
 Bo dwa grzechy śmiertelne: lenistwo i pychę;
 A u mnie chleb pożywać trzeba w ciężkim trudzie,
 Przekonać się, że równi sobie wszyscy ludzie,
 Czy kto ma herb, czy nie ma — braciaśmy po prostu,
 Czy kto żyje w pałacu, czy w lepiance z chróstu,
 Chłopyśmy i parobki przed Bożem obliczem! —
 Nikt cię tutaj nie będzie nazywał paniczem,
 Jeść będziesz razem ze mną, z nami czeladź jada,
 W zakrystji wywierać kulawego dziada,
 Na polu mnie się w pracy nieraz dopomoże:
 Ja będę żał, ty w snopy związywał mi zboże;
 A żeby się nie nudzić, to na pole ruszym
 Z gramatyką łacińską i Wirgiliuszem,
 Z konwią mleka i z chlebem. Toż to będzie cudnie,
 Siadłszy pod kopą żyta we znojne południe,
 Posilając się sobie, póki skwaru chwila,
 Titire! tu patulae... tłumaczyć z Wirgila!
 Bo sielanki najlepiej w polu się wydadzą, —
 A szlachcic, co ma dzierżyć lud Boży pod władzą,
 Gdy sam pozna w rolnictwie i róże, i osty,

Nie będzie się tak lekko porywał do chłosty;
A gdy razem z czeladzią swą sochę zaprzęże,
Równiejsze będą skiiby. —

VII.

— Miłościwy księże! —

Tak mu przerwał mój ojciec nadąsany srodze —
Na to, proszę aspana, nigdy się nie zgodzę.
Pracować to pracować, lecz herbowne dziecko
Winno zawsze zachować powagę szlachecką
Wobec gminnych plebejów, co z wioski ród wiodą.
Ot powiem jegomości — z trockim wojewodą
Raz taki był przypadek: Jak jegomość wiecie,
Na poleskich jeziorach, w bujnym oczerecie,
Lęgną się stada kaczek. Panu wojewodzie
Zamarzyło się z wioski sprowadzić dwie łodzie
I ruszyć na jezioro. W jednej szuhalei
Byłem ja, pan Belina i dojeżdżacz z kniei;
A w drugim czołnie, starem i popsutem wielce,
Jechał sam wojewoda, wyżeł i dwa strzelce.
Wpływamy na głębiny, — wtem... zawietrzył w stronę
Wyżeł, psisko niekarne, a wielce pieszczone,
Zobaczył stado kaczek — więc bestya skora
Machnął tylko kosmykiem... i buch do jeziora!...
Stara łódź się pochyła, już złopnęła wody,
Tonie... gwałtu! ratujcie! nie masz wojewody!
Jeno kędyś pluchoczą w rozhukanej fali
I on sam, i myśliwcy, którzy z nim jechali. —
Jeno, proszę aspana, z falami się miesza
Jego suta, zielona ze srebrem bekiesza. —
Pan nie pływał, bo tusza była na przeszkodzie;
Lecz Poleszuk, jak ryba, nie zatonie w wodzie.
Strzelcy się wydobyli za wspólną pomocą,
Nogami depcą fale, pięściami je grzmocą.
Płyną, proszą aspana, że aż widok miły.
Jeden z nich, jak dziś pomnę, Hryćko, syn Kiryły,
Wynurył się... odetchnął... dał nurka na nowo...
I jako zgryźć orzecha, jak powiedzieć słowo,
Wybrnął z głębi i za czub wojewodę wlecze,
Na którym ledwie piętno rozpoznać człowiecze.

My wplaw i do topielca... silami wszystkiemi
 Dawaj na brzeg wynosić i tarzać po ziemi.
 Aż struga z wojewody leje się jak z kadzi.
 Pan bez zmysłów, bez pulsu — więc w całej czeladzi
 Przerazenie i popłoch; aż po długiej męce,
 Wojewoda odetchnął, wzniosł do góry ręce,
 I choć zaledwie żyje, zaledwie oddycha,
 Te Deum laudamus zabełkotał z cicha.
 Zaraz go nieść do zamku na barkiśmy wzięli
 Nazajutrz wojewoda był zdrów po kąpieli,
 I wydał dla nas ucztę.

Kiedysmy przy miodzie
 Wszystko opowiedzieli panu wojewodzie:
 Jak się czółen wywrócił, jak on wpadł do toni.
 Jak go fala unosi, jak go Hryćko goni,
 Jak nakoniec (niech będą wielbione Niebiosy)
 Strzelec go z topieliska wyciągnął za włosy;
 — Jakto (krzyknął gniewliwie, nasrożywszy minę)
 Śmiała mię chamska ręka dzierżeć za czuprynę!
 Trockiego wojewodę! pana! dygnitarza!
 Gdzie ów śmiałek? — Sto batów! niech się nie odważa
 Na podobne zuchwalstwa — bo krew szlachty święta.
 Sto batów myśliwcowi! — niechaj zapamięta,
 Że szlachcic, chociaż w ogniu, albo w wodzie ginie,
 Wara przedsię chłopowi ku jego czuprynie! —
 Wkońcu nieco ochłonął — musnął się po głowie:
 Ale żem ja niewdzięczen, niechaj nikt nie powie.
 Panie rządzco! ja Hryckę kwituję z pańszczyzną —
 Dać mu na całe życie włokę gruntu żyzną,
 Niechaj wiedzą włościanie, że jeden w ich rodzie
 Trockiego wojewodę salwował w przygodzie!
 Lecz że za czub mię dzierżał swoją chamską dłonią,
 Sto batów niech wyliczą, a liczby nie ronią.

Więc Hryćko syn Kiryły wziął sute nahaje,
 A nam szlachcie na wieki nauka zostaje,
 Co rozumieć o naszym szlacheckim splendorze.
 Lecz jegomość się zżymasz?... Ej definitorze!
 Wybij z szanownej głowy swe dziwne pochopy,
 I dziecka szlacheckiego nie zrównywjaj z chłopcy,
 Bo na to nie pozwolę. Łaska Waszmościna
 Za mój grosz jako tako poduczyć mi syna:

Dobrze, proszę aspana; lecz jeśli mój Janek
Ma się uczyć przy snopach łacińskich sielanek,
Razem z chłopstwem zasiadać do misy i chleba,
Dziękuję, — mnie łaciny takiej nie potrzeba.
Niechaj się sobie w domu choć po prostu modli,
Lepiej niech będzie głupim, — a rodu nie spodli. —

VIII.

— Znam, panie Pawle, te szlacheckie pieśni —
Rzekł definitor, śmiejąc się boleśnie —
Lecz pozwól waszmość... — Co tam mówił dalej.
Mogli zrozumieć chyba wszyscy święci:
Bo po łacinie starce już gadali,
Obadwaj żwawi, obadwaj zawzięci.
Ksiądz głową kiwa, ojciec ręką trzęsie,
Godzina, druga upływa na skwarze;
Wkońcu przy piwku i przy sztukamięsie
Podali sobie ręce adwersarze.

Snadź się mój ojciec wysilił w gawędzie,
Dał się pokonać chociaż z wielką biedą.
Bo tylko mówił: *Concedo! concedo!*
Proszę aspana, niech już i tak będzie. —
Potem rzekł do mnie: Tutaj cię porzucę;
Słuchaj i kochaj cnotliwego księdza,
Sprawiaj się pilno w pracy i nauce.
Honor szlachecki niechaj cię napędza,
Zresztą leniwca ksiądz niech smaga batem,
Bo mu paternam zdaję potestatem! —
To mówiąc, ręką do kieszeni zmierza, —
Spojrzałem, zbladłem, zadrżałem od mrowi:
Boćkowski rzemień zwinął do talerza
I przez stół podał definitorowi.
A ów rzekł, biorąc straszliwe narzędzie:
— Ufam, że nigdy potrzebny nie będzie. —

IX.

Nie taki szatan straszny, za jakiego słynie,
Jak go czasem malują węglem na kominie, —
Tak i z moją nauką. Pojętność, pokora,
Prędko jakoś trafiły w myśl definitora:
Nie posłyszałem nigdy ostrego wyrazu,
Rzemień boćkowski nie był w robocie ni razu...

Bywało, skoro jutrznia błysnie na lazurze,
Stary ksiądz już w kościele — ja mu do mszy służę,
Potem dziady grzanego piwka nam przyniosą,
I ruszamy na łąkę z grabiami i z kosą,
Albo wzięwszy wścierze, idziem ku zatoce
Patrząc, gdzie hula płotka, gdzie szczupak pluchoce.
Poranek lekki, rzeźwy, a woda tak cicha,
Fala falę ugania i naprzód popycha,
Snuje się nad wodami obłok tajemniczy,
W obłoku słowik śpiewa lub żóraw zakrzyczy.
Wtedy mi starzec siwy, jakby duch z nad wody,
Objaśnia tajemnice i cuda przyrody.
Wprzódy uniosłszy ducha, wspomina imiona
I prace Kopernika, Lineja, Newtona,
I tłumaczy mniej z książki a więcej z pamięci:
Wedle jakich praw ruchu nasz globus się kręci?
Jak snują się w przestrzeni światów mirjady?
Co jest grom, błyskawica, i śniegi i grady?
Jak się obiega ziemię w żeglarskiej podróży?
Jak się ów ptak nazywa? k'czemu kwiat ten służy? —
A ja, siedząc oparty o kłodę olchową,
Piję łapczywem uchem każde starca słowo
I pilno każde słowo w pamięci zasklepie.
A tymczasem już szczupak w wścierzku się trzepie. —
Więc wyciągamy kosze, powracam do chaty;
Z pełnem sercem i w nową wiadomość bogaty;
A starzec kontent ze mnie, na końcu mi gwarzy,
Z jakimi przyprawami szczupak się uwarzy,
Aby smaczny był obiad. Dalej kształcąc wiedzę,
Godzinę albo drugą nad książką przesiedzę
I znowu do roboty na łąkę zieloną,
Lub na pole szerokie z sierpami lub broną.
Tam dla mnie wszystko nowość kędy okiem rzuć;
Starzec wszystko obracał ku mojej nauce,
Opowiadał dobitnie, jasno a powoli,
O własnościach powietrza, klimatu i roli,
O pracach ludzkiej ręki i bydłęcej szyje,
Ile się jeszcze bogactw w łonie ziemi kryje...

Na takich pogadankach płynie chwila chyża,
Ani ujrzysz, jak słońce ku ziemi się zniża,
Jak całodzienna praca już do końca blisko,

Jako się snop przy snopie składa na ściernisko.
 Wtedy, złożywszy kopy, wracamy do wczasu,
 Nucąc psalm staroświecki Jana z Czarnolasu;
 Wtórują nam dziadowie i żniwiarze z wioski,
 Aż się puszcza rozlega od hucznej pogłoski.

X.

Niekiedy w nocy, gdy maj się pocznie,
 Słowik wieczorną piosnkę zadzwoni,
 Z wiejskimi chłopcy, z tabunem koni,
 Lecim na nocleg śpiewając skocznie.

Aż za wioskę, aż za zboże,

Na wygonie lub ugorze,

Konie w paszę z rąk, —

I już chłopcy w jednej chwili

Stosy chróstu naznosili

I zasiedli w krag;

I ziemniaki w żarze pieką, —

Płomień bucha — ej daleko

Widać ogień nasz!

Co tam śmiechu, co tam wrzasku!

Ktoś upiorem straszy z lasku, —

O to ani dbasz.

Choć kto w dzień się namozoli,

Choć drugiego serce boli,

To najmniejsza rzecz.

Bo gdy ludno, pusto, gwarnie,

Smutek duszy nie ogarnie,

Wszelka bojaźń precz.

Na rosnej trawie rozścielamy suknie,

Zjemy ziemniaki i chleba po kęsie,

I chór: „Dobranoc o Jezu!” — jak huknie,

Tak aż się echo w olszniaku zatrząsie.

I daleko po równinie

Świętej pieśni echo płynie.

Czasem słowik wtór nam poda,

W sercu rzewność tak głęboka,

Ani ujrzysz, gdy ci z oka

Łzy poleją się jak woda.

Człowiek rzeświejszy po świętej pieśni

Do nowych śmiechów, do pogadanek;

We wsi już kury pieją poranek,

A o spoczynku żaden z nas nie śni.
Bo jakże usnąć w majowe noce?
Tu konie zarzą, tu ogień błysnie,
A tutaj ptactwo, jak naumyślnie,
Na tysiąc tonów piosnkę szczebioce.

Chróst na stosie, ogień bucha,
Księżyc świeci, — a gromada
Pieśni, gadki opowiada,
Gadek, pieśni baczenie słucha.
Miłoś w kółku sięść na ziemię!
Gwarzyć w ptactwa słodkiej wrzawie!
Jeden, drugi niby zdrzemie, —
Miłoś drzemać na murawie!
Ptactwo milknie po kolei,
Ogień zwolna gasnąć zaczyna,
A nam sen powieki klei,
Ale czujnie, ale baczenie!
Każdy słyszy jako żywo,
Czy koń parsknie, czy podskoczy,
Brzęknie trzęzłą, wstrząśnie grzywą,
Albo zarzy na uboczy.

Po chwilce drzemki oko się przetrze,
Blisko poranek, znać już po wietrze,
Znać już po gwiazdach, po szumie rzeczki,
Po głosie drozda i przepióreczki;
I koń już częściej stuka w kopyta,
Zroszoną trawę pospieszniej chwytą.
Cyt! już i słowik strzela piosenką,
Już i skowronek wita się z dzionkiem;
My za słowikiem i za skowronkiem
Nucim: „Zawitaj ranna Jutrzenko!”

Ot i szaro, ot i dnieje,
Ot i gaśnie blask księżyca,
Ot i zorza jak dziewica
Miłą barwą rumienieje;
Ot i we wsi ruch niedzielny,
Kogut głosi czas świtania;
Ranny ptaszek, dziad kościelny
Na pacierze już wydzwania.
Jakże pięknie dzwon daleki
W mgłach porannych się rozplywa!

Rzeźwy chłodek wieje z rzeki,
Z oczu resztę snu obmywa!

Słońce ognistym błysło promieniem,
Oblało ziemię światłem i cieniem,
A niebo w złocie, w różach, w błękicie,
Ziemia w zieloność strojna wesolą,
A człowiek wtedy, patrząc w około,
Stalby, jak wryty, przez całe życie.
Z pacierzem w duszy, łzami zalany,
Ani by sobie przypomniał kiedy,
Że gdzieś jest ziemia i ziemskie biedy,
Że on nic więcej — zlepek gliniany.

Hej! do domu czas już pewnie:
Konie syte nocną paszą. —
My weseli, hukniem śpiewnie
I porzucim łakę naszą.
I wtórując trąbką z rogu,
Na wyścigi, hej przez rowy! —
Ot i nocleg nasz majowy, —
Spieszmy oddać chwałę Bogu.

XI.

A kiedy święto, lub deszcz z pola spędza
Chłopcy się tłoczym, ile chata zmieści.
I ciasnem kółkiem otaczamy księdza.
By nam gawędził odwieczne powieści.
A jego pamięć uczona, bogata,
Odsłania dzieje biblijne, najstarsze,
Kreśli nam potop lub stworzenie świata,
Albo szczęśliwe wieki patryarsze.
Jesteśmy, zda się, w rozmarzeniu złotem
Pod Abrahama pasterskim namiotem,
Płaczem z Józefem, gdy się więźniem czyni
Błądzim z Mojżeszem w arabskiej pustyni.
Dopieroż słuchaj, kiedy głos podnasza,
Gdy stare piersi zapalem odżyją,
Głosząc z proroków przyjście Mesyasza!
Aż się radujem z anioły, z Maryą.
Tężymy słuch nasz, jak zgłodniała rzesza,
Gdy tysiącami za Chrystem pospiesza.

My w wieczerniku, my z Panem w ogrodzie,
Z Matką pod krzyżem nasza dusza gości, —
W świętej boleści, co nam duszę bodzie,
Uczym się ducha niebiańskiej miłości.
Tak nas ów obraz do Niebios przybliża,
Człekby się chętnie dał przybić do krzyża...
Niekiedy starzec, na dłoni oparty,
Rzekłbyś Herodot wśród pokoleń nowych,
Kreśli nam dzieje Aten albo Sparty,
Czasów Likurga lub Peryklesowych.
Gdy kreśli przeszłość, to w takim kolorze,
Że tylko westchniesz: O ześlij mi, Boże!
Życie Solona, albo Arystyda! —
Ileż to razy w długą noc zimową
Słyszane dzieje stawały mi we śnie!
Upior przeszłości latał nad mą głową.
Było mi błogo, a czasem boleśnie.
Strach! gdy się głowa, gdy serce rozmarzył!
We krwi gorącej wre jakby w ukropie.
To śnię zborzysko italskich zbrodniarzy,
Jak wieczne Rzymu fundamenta kopie:
To zda się widzę, że krok ku mnie czyni
Pobożny Numa lub hardy Tarkwini;
Lub się w kościele Jowiszowym baczę,
Rzym jeszcze nie jest zepsutym służalcem,
W krzesłach senatu zasiedli brodacze,
Cycero zdrajców ukazuje palcem:
Drży Katylina... A tam złoto ważą,
I leżą trupy, pływają krwi fale.
Na rzymskiem forum Gale gospodarzą,
Kwiryci złoto niosą im na szalę,
A na tem złocie arcydziełem dłuta
Twarz rzymskich bogów i przodków wykuta.
Wtem szczęk żelaza, otwarły się wrota,
Nowa kohorta Rzymian się przeciska,
Kamilus wpada i szalę gruchota,
I dzikich Galów spędza z targowiska;
Słychać, jak gina, jak pierzchają dzicy,
Słychać szczęk mieczów po stalnej zbroicy.
A owo widzę, jakby wiejska chata,
I widzę starca, co orze z daleka.
Idę — poznaję Kwinta Cyncynata.

Przy nim miecz we krwi i konewka mleka.
Póki się woły popasły pod lasem,
On wrogów Rzymu zwyciężył tymczasem;
Precz zrzucił pancerz, znowu wziął opończę,
Śmieje się stary w wesołej gawędzie:
Ot jeszcze dzisiaj zagonu dokończę,
Posięję żyto — i niezgorsze będzie. —
Rzymski szlachcicu, dopomóż ci Boże!
Tak sobie myślę i znowu śpię smaczno.
Wtem nowe mary na młodzieńcze łoże
W innych postaciach nalatywać zaczęą.
Wiją się hufce i obcych i braci,
Płynie krew, pole trupami się ściele,
A wtem dziewica anielskiej postaci
Rękę przez Niemen podaje Jagielle;
Słychać organy, i mężowie w bieli
Z pięknem rycerstwem bratnio się objęli.
Wtem nowe widmo: wśród blasku oręży
Siedzą poważni państwa dostojnicy,
I w obrzędowej dalmatyce księżej,
W koronie, z berłem, na ojców stolicy
Siadł Zygmunt August z postawą młodzieńczą.
W koło tłum ludzi daleko, daleko;
Swoi coś gwarzą, a wrogowie klęczą,
A u stóp tronu płynie miód i mleko...
Ten piękny widok pobledniał i skonał,
Zniknęły tłumy, wrogowie, pancerni;
Na miejscu tronu stoi konfesjonał,
W nim siedzi postać obleczone w czerni,
Postać zbiedniona, pokorna i blada,
A Zygmunt Trzeci przed nią się spowiada...
I tak kolejno myśli mojej głowy
Na tysiąc sennych widziadeł się dziela.
Wtem przeraźliwie ach! sen mój dziejowy
Rozproszył kogut, piejąc nad pościelą.
— Czas do roboty! — poznaję głos dziada,
Co zwykł mię budzić, gdy godzina szara;
Ksiądz definitor dawno już spowiada,
Czas do mszy służyć — sen mara, Bóg wiara.

XII.

Biegły me dni jak w Niebie na takiej nauce.
Mniemałem, że już księdza nigdy nie porzucę;

Bo przeznąć całą mądrość, którą starzec głosił,
A przejąć wszystkie cnoty, które w sercu nosił,
I za rok i za drugi to jeszcze niewiele.

Ojciec przychodził do nas prawie co niedzielę,
Zaczeptał mię z łaciny — znać było po minie,
Że się cieszył, że widział, jak postępy czynię;
Ale gdyśmy sam na sam, strach co wygadywa
Na owe z wieśniakami noclegi i żniwa!

— Muszę, proszę aspana, oddać cię do miasta,
Bo tutaj twe szlachectwo na nic się rozszysta,
A tarcza z Dęborogiem, wśród chłopstwa wytarta,
Co kapelusz żydowski, tyle będzie warta.
Kiedy ksiądz definitor żąda natarczywie,
Ażebyś z prostakami pracował na niwie,
Staremu trzeba ulec, bo mi zrzędzić zacznie;
Lecz pamiętaj w robocie zostać się nieznacznie
I folgować swym rękom — by znał gmin ciekawy,
Że pracujesz nie z musu, jeno dla zabawy.
Dłoń szlachcica stworzona do miecza, nie żniwa,
Krom rycerskiej zabawy niech wolno spoczywa. —

Tak zacni dwaj starcowie w niezgodnej rozterce
Każdy w inną krainę ciągnął moje serce.
W krainie herbów jakoś i zimno i ciemno;
Inszy świat definitor rozjaśniał przedemną,
Tam dla duszy przestronniej i sercu weselej.
Ojciec to zauważył, — więc jednej niedzieli
Na mszę przyjechał wózkiem i oświadczył żywo,
Że mię oddać do szkoły zebrał już grosiwo,
I syna już zabierze. — Ja w płacz — nic nie służy:
Już wybiła bolesna godzina podróży.

Ksiądz mnie rzewnie uściskał, a tknięty mym płą-
Zie ze starego oka dał płynąć cichaczem; [czem,
Żegnał i błogosławił ojcowskimi słowy,
I dał mi poświęcony medal z Częstochowy,
Przeprowadził z pół mili aż ku wielkiej sośnie;
Stary Servus zaszczekał, zaskomlił żałośnie
Po dobrym towarzyszu — ruszyliśmy drogą,
Skrył się za górą domek, gdzie przeżył tak błogo,
Tylko krzyżyk kościelny z za lasu migota,
Jakby błogosławieństwo na drogę żywota.

XIII.

Czem w polu zasiew, czem zawiązek w kwiecie,
Tem w życiu męża szkolne sześćciolecie.
Trudno dziś skupić te drogie obrazy,
Choć się ich tyle do wspomnienia ciśnie,
Choć jeszcze teraz, po ileż to razy!
Szkolną ławicę albo dzwonek przyśnię!
Niekiedy marzę, że nie umiem składowi.
A tu za chwilę wejdzie ksiądz Łacina.
Szydzą z mej biedy uczniowie przykładni,
Truchleję — błedną, aż krew mi się ścina,
Aż się rozbudzę, — ale gdy na jawie
Ochłonę nieco ze strachu szkolara,
To w gorzkim życiu słodko się zabawię,
Pierś orzeźwioną wspomnienie rozmarza.
Tak w skwarne lato oddychamy miło
Pod ciemnym klonem lub brzozą pochyłą.

Pomnę, raz pierwszy gdym jechał do szkoły,
Jaką się trwogę w sercu przezwycięża!
A ojciec prawi w gawędzie wesołej,
Jak to chłostali jezuitcy księża.
Przed rozognioną wyobraźnią dziecka
Stał jezuita i poglądał srogo,
Ukrywał kańczug pod wełnianą togą,
A w jego rękach gramatyka grecka.
Takiemi strachy napelnia się głowa,
Chór jezuitów groźnie mię otacza.
Tak gdy niebaczna piastunka wioskowa
Postraszy dziadem małego krzykacza,
To dziecko płacze, gdy go w cerkiew wiodą,
Choć tam Pan Jezus we złocie i srebrze,
Lecz strach u progu — dziad z torbą i brodą
Wyciąga rękę i śpiewając żebrze.
Od tego dziecka nie weselszy zgoła,
Ujrzałem mury, gdzie klasztor i szkoła,
Kędy mnie wiedli. Z bojaźliwą trwogą
Wszedłem za ojcem za furtę klasztorną...

Na kurytarzach nie było nikogo;
Przyległe cele godziną wieczorną
Grzmiały w sto głosów; widać, żeśmy w szkole, —
Owdzie nauki, tam śmiech i swawole.

Tedyśmy weszli do jednej z tych celi.
Tutaj ksiądz prefekt mego ojca wita,
Z miłym uśmiechem, obleczony w bieli,
Całkiem nie taki, jak ów jezuita,
Co w czarnej szacie i z groźbą na twarzy
Od kilku nocy w moich snach się marzy.
Pewno wyczytał przestrasz z mojej miny,
Bo mię pod brodę pogłaskał łaskawie,
Potem z nienacka zapytał z łaciny,
Ja mu pijarską gramatykę prawię,
Jakby przed ojcem, odważnie, tak samo,
Bo wzrok łaskawy rozbudził mą wenę —
Odmieniam terra, konjuguję amo,
Ksiądz prefekt chwali: Bene, puer bene!
Aż ojciec wesół, że syn tak rozbiera
Nomen, pronomen, verbum, et caetera.
A jaka szkoda, o Boże mój, Boże!
Że tu nie wszyscy, kogo serce kocha!
Czemuż cię niema, o definitorze!
Moim triumfem pocieszyć się trocha!
Widzieć, jak rośnie, rośnie mi odwaga,
Jak mi się czoło rozjaśnia, choć potnie...
Ksiądz prefekt bada — Bóg mi dopomaga,
Ja odpowiadam przytomnie i lotnie,
Przebiegł tablice Pytagorasowe,
Kazał Rzym święty znaleźć na atlasie,
I rzekł poważnie, całując mię w głowę:
„Wybornie chłopcze — będziesz w drugiej klasie!“
Ojciec wesoły, że nam w jednej chwili
Koszt całoroczny i honor ocalał,
Wziął mię w objęcia — do swych piersi chyli:
— Proszę aspana!... — i łzami się zalał.

XIV.

Gdzie wy jasne dni moje, moje szkolne czasy,
Kiedy serce dziecinne z wiarą i otuchą
Do grona towarzyszków i do murów klasy
Przylgło, przyrosło na głucho?!

Gdzie wy drobne a wzniosłe mojej pychy cele,
By zrównać i prześcignąć najpierwszych w nauce?
Gdzie owo wśród igraszek serdeczne wesele,
Kiedy piłkę wysoko... wysoko wyrzucę?
Kiedy w gronie swawolnem po równinach lecę,
By schwytać wyrzuconą albo odbić w górze?
Gdzie pobożność i wiara w najwyższej opiece,
Gdy się modłę w kaplicy albo do mszy służę?
Czy dzisiaj świat postarzał, czy w oczach ściemniało,
Bóg to wie — krew po sercu ślizga się powoli,
Serce wiele wymaga, a wrażeń tak mało,
Dobre nie bardzo cieszy, złe nie bardzo boli.
Gdy się dusza zbłąkana w niepewnościach miota,
A książka ich objaśnić, zwalczyć nie pomoże,
Zapłaczesz: gdzie jest owa dziecinna prostota?
Gdzie wiara w twoją mądrość, księżu profesorze?
Wiara, z jaką słuchałem na szkolnej ławicy,
Kiedy ksiądz Matematyk zadanie rozbiera,
Lub kiedy ksiądz Łacina, mistrz na kazalnicy,
W błoto strąca Buffona, Russa i Woltera?
Lub kiedy najdziwniejszą zagadkę przyrody
Ksiądz Fizyk wnet objaśni przez płyny i gazy?
Przysięgłbyś, że to prawda, wychowańcze młody!
Że Pan Bóg księdzowskimi przemawia wyrazy.
Dziś, gdy człowiek sam nie wie, choć usilnie bada,
Co jest białe? co czarno? co prosto? co krzywo?
Jako chmiel bez podpory na ziemię upada,
Aż zginie przygłuszony ostem i pokrzywą.
Gdy ludzkość bolejąca zgodzić się nie może,
Co jest fałsz, a co prawda? co szpetne, co piękne?
Co mi trzeba podeptać a przed czem uklęknę?
Bogdaj to szkolna wiara i nadzieja szkolna,
Kiedy wierzyłem w przyszłość płomienistą duszą,
Że choć nauka trudna, choć praca męczolna,
Lecz cele nasze wielkie i spełnić się muszą!
A tu młodzież ochocza bada, czyta, pisze,
Złote bryły nauki wydobywa w trudzie;
Jeno spojrzysz na siebie i na towarzysze,
I pomyślisz: Doprawdy, będziem wielcy ludzie! —
Jeden — dziecię pobożne, z zapalem na twarzy,

Będzie doktor kościelny — tak Pismo przenika;
Drugi biegły w rachunku, o przyrodzie marzy,
Przejdzie z czasem Newtona, dojdzie Kopernika;
To będzie Archimedes, cześć tutejszej ziemi,
On kwadraturę koła zgłębi i rozwiąże;
Inszy słynie na ławach wierszyki zręcznemi,
Będzie nowy Krasicki, rymotwórców książę.

Gdzie wy teraz jesteście, towarzysze moi?
Cicho o was na świecie! bo świat ciężka próba!
Żal się Boże bywało, co ksiądz prefekt roi,
Że przybędzie krajowi światło i ozdoba.
Spotkasz czasem którego — spojrzysz na oblicze:
Nie on, nie on szlachetne spodziewania ziści!
Porwany w namiętności koło tajemnicze,
Oddał przyszłość za marne obecne korzyści!
Zszargały mu oblicze nałogi lub nędza, —
Ów, co miał drogę słońca odmienić na niebie,
Ów, co miał zostać wieszczem — w śnie życie przepędza,
Chodzi mrówczemi drogi — i kontent sam z siebie.
A toż bywało o nim ksiądz Retoryk szepce,
Że ów chłopiec rozwija olbrzymie talenta,
Że Pan Bóg wielkich ludzi naznacza w kolebce,
Że Cezar dzieckiem jaśniał nad rzymskie chłopięta.
A ów teraz bohater poluje na zwierza,
Miłość go rozbydłęca, kielich z nóg obala,
Pan wioski — srogie chłosty wieśniakom wymierza,
Albo drzemie po uczcie Heliogabala.
Aż ci się serce ściśnie; aż się łza poleje...
Precz te smutne uwagi o człowieczej doli!
Ja miałem opowiadać moje szkolne dzieje,
Teraz siła nie starczy i żal nie pozwoli...

Ot sześć latek przebiegło jakby chwila cicha.
Corocznie nowe trudy i nowe rozkosze,
Co rok głowa bogatsza a serce usycha,
Co rok nowe świadectwa na mądrość przynoszę.
A gdy po chlubnym roku przyjadę na lato,
Niebem mi się wydaje nasza wieś uboga;
Skladam ojcu świadectwa — dziękuje mi za to,
I mówi, żem dostojen herbu Dęboroga.
W niedzielę idziem z ojcem do starego mnicha —
Tam, gdy gradem mądrości na przytomnych rzuć,

Aż się ojciec raduje i wesół uśmiecha,
Aż się dziady kościelne dziwią mej nauce.

Tylko ksiądz definitor na te korowody
Potrząsa siwą głową — więc ojciec go pyta:
— Nie prawdaż, zacny księże, iż Dęboróg młody
Skończy szkoły uczony jakby jezuita? —
— Tak — rzecze definitor — zna wszystko po trosze,
A gdzie nie ma zdolności, tam pracą okupi;
Braknie mu jednej rzeczy... — A czegoż to proszę? —
— Mądrości sokratycznej — poznania, że głupi.
Lecz z czasem i to przyjdzie — duma zniży rogi,
Kiedy prawdziwa mądrość przetrawi się w głowie...
Tymczasem daj mi rękę, wychowańcze drogi,
Nie gniewaj się na starca, gdy ci prawdę powie.

XV.

Gdym skończył szkołę — po świętym Pietrze,
Ojciec mię lekko trzepiąc po grzbiecie:
Słuchaj — rzekł — Janie! nim ci się przetrze
Jakiś tam zawód na Bożym świecie,
Dam ci zabawkę — i co się zowie,
Co przyozdobi herbowne dziecko,
Przez którą starzy Dęborogowie
Zyskali niegdyś godność szlachecką.
Bartosz Paprocki w swych herbów zbiorze
Pisze, skąd nasze godło urasta:
Jak na Zygmunta Augusta dworze
Był quonda m strzelcem nasz protoplasta;
(Proszę aspana, dzielny myśliwy
Na pańskich dworach zawsze jest w cenie).
Razu jednego znalazł — o dziwy!
Wrosło do dębu rogi jelenie.
Rzecz taka rzadka i niewiadoma.
Więc gdy ją złożył królowi w darze,
Król mu szlacheckie nadał dyploma
I Dęborogiem nazwać się każe.
I od tej pory chętką myśliwska
Szła w naszym rodzie z ojca na dziecię;
Każdy Dęboróg chlubny z nazwiska,
Choć nie senator, venator przecię.
Ja sam za młodu strzelałem dużo,
Świadkiem nieboszczyk trocki wojwoda.

Dzisiaj, mospanie, oczy nie służą,
A jednak pola zależeć szkoda;
Więc się chowają, proszę aspana,
Strzelby i pieski dobre do pola,
Stara myśliwska szkapa bułana,
Wojewodzińska trąbka bawola
I zasłużona torba borsucza.
Otóż ta cała strzelcza spuścizna
Dziś się waściny ręką porucza,
Ześ ty Dęboróg, świat niechaj przyzna.
Mamyć tu przecię las jaki taki,
W zatoce kaczek bywają stada,
W naszych zaroślach skaczą szaraki,
Czasem z pod żyta wilk się wykrada.
Będiesz polował, — wy młodzieniaszki
Winniście wprawiać oko do strzału;
Proszę aspana — tylko po mału,
Strzeż się jak ognia dziewcząt i flaszki.
Za naszych czasów, za jezuitą,
I kiedy pańskie świetniały dwory,
Proszę aspana, tego nas bito
Za gorzalinę i za amory.
Kiedy to trocki żył wojewoda,
Ja sam, pamiętam, cięgę dostałem;
Proszę aspana... krew była młoda
A jam okropnym był sowizdrzałem.
Otóż... —

Lecz dalszą powieść jak z karty
Ojciec już gadał do głuchej ściany:
Bom z podarunku uradowany
Zwawo poleciał oglądać charty,
Tropić w zaroślach prześlad zajęczy,
Konno to pieszo zwijam się szlakiem,
Bułany tętni, a trąbka brzęczy,
I strzał po strzale wstrząsa chróśniakiem.

XVI.

Moja rusznica pali donośnie,
Bije zające, kaczki, cietrzewie;
Ojcu z radości aż dusza rośnie,
Jak mię uściskać sam stary nie wie.
— Proszę aspana, ej szkoda, szkoda!

Gdyby to trocki żył wojewoda,
Ty byłbyś w łaskach: bo jako żywo
On szczerze kochał młodzież myśliwą,
A nawet z każdym, co pewien w strzale,
Lubił, mospanie, żyć poufale.
Proszę aspana, na jego dworze
Raz pan Belina w dobrym humorze
Prawił, jak skakał do głuszca w toku,
A wojewoda słuchał go z boku.
Ten pan Belina, człowiek ruchawy,
Gdy o myśliwstwie rozprawiać pocznie,
To choćbyś głuchy, poznasz widocznie
Z jego podskoków, ruchów, postawy.
To w dłoń zatrąbi — psy nawoływa,
To się, jak zając, czai do ziela,
To niby tropi, prześlad okrywa,
Nabija, pełźnie, mierzy się, strzela.
Otóż z tym głuszcem kiedy się chwali,
Czasem tokuje, podskoczy czasem,
Tak się uwinął, że w pańskiej sali
Wielkie zwierciadło strzaskał obcasem.
Pan się nasrożył, uczuł nad szkodą,
Lecz pan Belina, jakby w igrzysku,
Z cicha mu szepnął: „Cyt wojewodo!
Bo spłoszysz głuszca na tokowisku“. —
My w śmiech — pan także, nawet mu za to
Darował pyszną strzelbę turecką,
Puścił w niepamięć szkodę bogatą
I długo, długo śmiał się jak dziecko.
Czasyż to były!!

Otóż mospanie,
Gdybyś za czasów żył wojewody...
Lecz może jeszcze — wszak jesteś młody...
Ruszajże sobie na polowanie.

XVII.

Hejże znowu ja do kniei!
Raz zabiegłem po kolei
Aż na wzgórek rotmistrzowy,
Aż na kopce cudzych granic.
Była wiosna — zachód słońca,
Jesień — zima — wciąż na łowy.

Lecz niezwykłym zważać na nic
Kiedy ruszą psy zająca.

Dalej, dalej, — a tu ciemno,
Czas do domu, zmrok zapada;
Patrzę wkoło — tuż przedemną
Dwór sąsiadki czy sąsiada.
Tu Brochwiczów gniazdo rodu,
Ród szlachecki, choć ubogi.
Nasłuchałem się za młodu,
Żeśmy sobie wieczne wrogі,
Że Dęboróg — póki świata,
Z Brochwiczami się nie zbrata.
Grób rotmistrzów, jakieś pole,
Były źródłem wiecznej waśni;
Lecz o całym tym warchole
Kiedyż ojciec mię objaśni?
Dziś nieprzyjaźń nie jest jawną,
Tylko zawsze siebie stronim —
Stary Brochwicz umarł dawno,
A tu mieszka wdowa po nim.
Ojciec mówi, że Brochwicze
To wrogowie nam wieczyści;
Coś im jednak źle nie życzę,
Żadnej nie mam nienawiści;
Coś mi szepce — pomóż Boże,
A ja rankor ten umorzę.

Dworzec mały — a tak schludno,
Tak coś miło w każdej stronie,
Że źle trzymać o nich trudno,
Pocziwością zewsząd wionie.
Stary domek, stara strzecha,
Kędy mieszka stara wdowa,
A do okna się uśmiecha
Stara gałąź topolowa.
Lecz w ogrodzie — ach, mój Boże!
Same kwiaty, same róże,
Pięknie w okół — przez częstokół
Patrzę, aż tu hoża dziewa
Sadzi kwiaty i polewa,
I piosenkę, jakąś śpiewa.
Słucham... słucham, serce gubię,
Za jej głosem myślą idę;

Ona śpiewa, jak na biedę,
Tę piosenkę, co ja lubię.
Długom patrzył między liście,
Coraz baczniej, coraz milej...
Krótko mówiąc — od tej chwili
Zakochałem się ogniście...

Gdym obchodził, pokryjomu,
Aby znak zostawić jaki,
Na topoli koło domu
Zawiesilem dwa szaraki.

XVIII.

Codzieli w pole, — ej! nie w pole,
Lecz do dworku pod topole.
Już znajomość — cóż za dziwy,
Bliski sąsiad i myśliwy,
Że zajedzie niedaleko
Na poziomki i na mleko?
Że zwierzynę mamie nosi
I zagłada w oczki Zosi?
Ej poziomki! ej to mleko!
Ej ten dworek niedaleko!
Ej te oczki! — mówiąc krótko,
Poglądały tak słodziutko,
Tak miluchno! — Z wolna... z wolna...
Już w nas chętką zobopólna
Spojrzeć razem, westchnąć razem,
Poszczebiotać półwyrazem,
Przyjacielsko ścisnąć dłonie,
Razem wybiec na ustronie,
Pisać kartki potajemnie
I o sobie śnić wzajemnie
Cicho, z wolna, niewidomie
Gore dusza, gdy spodoba;
Z małej iskry bucha płomień
I zażęga serca oba.
Mgnienie oka, śmiech, swawole,
Zadumanie, gniew i zgoda,
Zda się fraszki — daj im wolę,
A zgubiona dusza młoda!
Taka biedna, tak szczęśliwa,
Gdy w tych fraszkach się rozplywa!

„Już dla świata żyć nie może,
Jedną myślą się otoczy,
By wciąż patrzeć w lube oczy,
By żyć w lubym rozhoworze
Wieki wieków. Czas przeleci
Stokroć chyżej od motyla:
Bo szczęśliwi, to jak dzieci,
Dni ich lecą, jako chwila.
Precz godziny! gdy słodyczą
Młoda dusza się rozmarzy;
Jedna bieda — że ci starzy
Na zegarek czas swój liczą.
Ani śni się ojcu, matce,
Co ci miło? co cię bodzie?
Dusza rwie się, jak ptak w klatce,
A tu gadaj o pogodzie.
Dobra matka karty kładnie
Na los dziecka — lecz nie zgadnie,
Co tam dziecka myśl kołycha?
Czego dziewczę ciągle wzdycha?
Czego młodzian smutny bladnie?
Na niepokój snu twojego
Dają leki, warzą ziele,
A broń Boże, gdy postrzegą,
Gdzie najczęściej oko strzela!
Wnet witają chmurną twarzą,
Dają rady i przestrogi,
I zachmurzą dzień twój błogi,
I uczuciom zmilknąć każą.
Zimnem okiem wrzące łono
Chcą przemierzyć aż do głębi;
Przyzwoitym chłodem wioną,
Aż ci serce się wyiębi.

Matka Zosi — święta dusza!
Polubiła mię, jak syna,
Jednak czasem głową rusza:
Częsta moja tam gościna
Snadź się matce nie podoba.
Gdzie tam częsta? — trudno w drogę!
Czasem przejdzie cała doba,
A ja wymknąć się nie mogę.
Ho! ho! gdyby ojciec wiedział,

Gdzie mnie codzień kroki wioda,
Wnetby z trockim wojewodą
Dał mi uczuć cały przedział,
Co rozróżnia nasze domy
Z wieków wiecznych, od pradziada.
Koniec rzeczy już wiadomy:
Bo przysłowie zapowiada,
Że Dęboróg, póki świata,
Z Brochwiczami się nie zbrata.
At zwyczajnie ludzie starzy!
Ale miłość, pełna szału,
Nie zagłada do herbarzy.
Ni w dekreta trybunału.
Po swojemu łączy pary,
Innym taktem pieśń zaczyna;
Stary proces lub herb stary:
Fraszka w oczach Kupidyna.
Dzisiaj szczęśno!

Lecz niestety!

Jaka przyszłość? serce boli:
Upór starca lub kobiety
Na nasz związek nie pozwoli.
Bo mój ojciec nigdy zgoła;
O Brochwiczach ani gada;
Matka Zosi niewesoła,
Bo żal czuje do sąsiada.
Jakieś kłótnie tajemnicze
Dzierżą starych pod swą władzą.
Dęborogi i Brochwicze
Ręki sobie nie podadzą.
A cóż dla mnie — śmierć z rozpaczy!,...
Precz te mary zapaleńcze!
Choć przycierpię, choć się zdręcę,
Lecz zapomnę... nie inaczej.

Ot na sercu rękę kładę
I tamuję jego bicie:
Nigdy... nigdy... póki życie,
Już na łowy nie pojedę,
Ani spojrzę k'tamtej stronie,
Ani myślą nie pogonię.
Co jest w sercu, to się zatrze,
I zapomnieć jestem gotów;

Nie usłyszę jej szczebiotów,
Co to płyną dźwięcznie, z cicha,
Aż się serce rozkołysa...

Takem roił zamyślony,
Ciągłe patrząc w lube strony;
Potem kojąc serca bole,
Marsz do dworku pod topole!
A przed bramą wiem, że spotka
Niespodzianka jaka słodka,
Albo wianek na brzezynie,
Albo kartka na tyczynie,
Albo czasem, gdy podchodzę,
Zosia spotka mię na drodze.
Wtedy smutek się rozproszy,
Wstrząśnie duszę miłość święta,
Duch, pijany od rozkoszy,
Rannych zakłęb nie pamięta.

XIX.

Raz, jak dziś pomnę — wieczór był świeży,
Szedłem dumając pod lube sioło,
Zosia jak zwykle spotkać mię bieży,
Ale w jej oczach coś nie wesoło.

— Czy wiesz? — mówiła ze łzami dziewa —
Niedobre wieści: mama się gniewa.
Ja wczora, licząc na dobroć mamy,
A chąc ją zdziwić niespodziewanie,
Szczерze wyznałam, że się kochamy,
Jak tylko serce pokochać w stanie.
Mama mi rzekła, że się nie dziwi,
Lecz pragnie płochość wstrzymać w zapędzie,
Bo cóż, że młodzi dzisiaj szczęśliwi?
Rozdrażnią serce i gorzko hędzie.
Trzeba się rozstać, choć serce pęka:
Bo ty mię kochasz bez ojca wiedzy,
A moje serce... i moja ręka
Nie dla sąsiadów z za waszej miedzy.
Tak mówi matka (przebacz mój drogi!),
Że my odwieczne dla siebie wrogi,
Że lat ze trzysta od owej chwili,
Jak z Brochwiczami Dęborogowie

O jakieś grunta się pokłócili,
I proces spadał po męskiej głowie
Z ojca na syna, jak powieść niesie.
Ach cóż te grunta? nie dopuść Boże!
Ot tylko śmiać się i płakać chce się;
Miłość grunt rzeczy — nie prawda może?
Wielkie mi święto, że spór się toczy!
Śmieszne te sądy i trybunały... —
I z głośnym śmiechem zakryła oczy,
Bo z modrych oczu łzy się polały.

Jam drżącą ręką schwycił jej dłonie,
Gorąca głowa zwiśla mi z szyje,
Czuję — w jej rękach twarz moja płonie,
A serce w piersiach z łoskotem bije.

— O Zosiu moja! — rzekłem w rozpaczy —
Przed tobą młodość, życia rozkosze,
Ty mię zapomnisz... Bóg mi przebaczy,
Ja żyć nie mogę...

— O! bardzo proszę;
To coś jak w książce — my chrześcijanie,
Ufać nam, ufać w Pańską opiekę!
Jest Bóg, jest przyszłość — ej panie Janie!
Gdy będziesz płakał, to wnet uciekę.
Spieszę do matki, matka się gniewa,
A my tu marnie kwilim jak dzieci.
Kto na kominek przyniesie drzewa?
Kto jej tak jasno ogień nanieci?
Kto ją bezemnie do snu ugada?
Ja kocham mamę jak własną duszę;
Dziś mi na wieki pana sąsiada
Każe pożegnać — i spełnić muszę.
Bo tam źli ludzie jeszcze powiedzą,
Żeśmy znęciły młodego ptaszka,
By wam wyludzić pole za miedzą,
Że nasza miłość — at sobie... fraszka.
Piękna to fraszka... serce tak boli.
Matce się zdaje, że to daremno!...
Czyż nigdy ojciec twój nie dozwoli.
Aby Dęboróg łączył się ze mną,
Z córką Brochwicza?... Ej te przestrogi!
Niby twój ojciec taki już srogi,
Niby ja nie wiem, że ciebie pieści.

Chociaż się zdaje trzymać na wodzy?
Ej ci rodzice! niby to srodzy,
A znieść nie mogą naszych boleści.
Ot jestem pewna — o rękę Zosi
Ojciec przyjedzie i sam poprosi.
Wtedy się chyba... wtedy obaczym!...
Bądź zdrow — nie traćmy dobrej nadziei. —

I tak szczebiocąc z śmiechem i płaczem,
Znikła w zaroślach ciemnej alei;
Tylko jej piosnkę słysząc z daleka —
Czy chce łąz pokryć? czy marzy świetnie?
Może ode mnie rada ucieka —
O serce! serce szesnastoletnie!

Jak bezprzytomny padłem na ziemię
I bolejące szarpałem łono.
Księżyc, co dotąd za lasem drzemie,
Wychylił na świat głowę czerwoną
I drżącym światłem trysnąwszy w oczy,
Trochę mi ulżył cierpień ogromu.
Choć w piersiach ciężar, głowa się mroczy,
Niepewnym krokiem szedłem do domu.

XX.

Księżyc z za chmury przyświeca mgławo,
Gdzieś tam ogniska błyszczą za milę,
A tutaj sterczą w lewo i w prawo
Drzew i chat wiejskich czarne profile.
Droga znajoma, ach! i jak jeszcze...
Znam każdą trawkę, w nocnej pomroce,
Wiem jak tutejsza olcha szeleszcze,
Jak tu pod olchą strumień pluchoce.
Tu każda trawka, fala i listek
Zda się żegnają, coś do mnie kwilą.
Tyle wspomnienia! tu świat mój wszystek,
Tu moje niebo było przed chwilą!
A teraz, teraz... piekielne bole
Nad memi pierśmi pastwią się srodze...

Idę jak martwy — wbiegam na pole,
Pod rotmistrzowy kurhan przychodzę.
Wśród czarnej nocy brnę nieprzytomnie, —
Wtem coś jęknęło — dreszcz przebiegł po mnie.
Spojrzę: dziad jakiś... biały, wysoki,

Stoi odemnie tuż o dwa kroki.
 „Kto tu? i poco?” krzyknę do dziada,
 A w trwożnych piersiach zamiera słowo.
 Starzec jak martwy nie odpowiada,
 A tylko głośniej jęknął grobowo.
 Wzrostem jak olbrzym — jak leśna jodła,
 Ubrany w białej, grubej opończy,
 Snadź kula czoło jego przebodła,
 Po białych włosach krew mu się sączy,
 Na piersiach stalna błyszczy się łuska,
 Szeroką ręką po wąsach muska;
 A taki starszny wyraz oblicza,
 Że gdy go przyśnie i dziś mi trwożno...
 Wskazał prawicą na dwór Brochwicza.
 Potem na naszą miedzę przydrożną,
 Otworzył usta, wlepił wzrok we mnie
 I trzy wyrazy jęknął podziemnie:
 „Redde quod debes!!”

„Kto tu?!“ krzyknąłem.

Choć pierś zamarła ledwie kołata,
 Czuję pot zimny leje się czołem —
 Wtem zniknął upiór z tamtego świata.
 Lecz wyobraźnia, strachem nabita,
 Jeszcze go widzi na ciemnej błoni!
 Uciekam polem, ot zda się goni
 I trupa ręką za szyję chwyta.

Wbiegłem do domu — wszyscy już spali,
 Więc bez pamięci na łożu padłem.
 Chłód mię przejmuję, gorączka pali —
 To zda się walczę z jakimś widziadłem,
 To widzę matkę Zosi surową,
 To mię mój ojciec przeklina marnie,
 To zważam każde kochanki słowo,
 A w każdym słowie nowe męczarnie.
 W takich torturach duszy i ciała
 Chciałem gdzieś uciec, lecz się nie dźwignę. —
 Nakoniec jutrznia gdy zaświtała,
 Sen ukołysał ciężką malignę...

XXI.

Przespałem tydzień — strach co mi się marzy!
 Ciało jak kamień, a dusza — jak w piekle,

Modłę się we śnie, to przeklinam wściekle,
I widzę ojca, domowych, lekarzy,
A choć się ocknę, to w myślach nie sprawię,
Co było we śnie, co było na jawie.

Gdym wreszcie oczy otworzył przytomnie,
Dwóch dobrych starców przy mem łożu baczę:
Ksiądz definitor modli się koło mnie,
A ojciec ręce załamał i płacze.

Gdym przemknął oczy i pot otarł z czoła,
Ojciec wznosił ręce i głośno zawoła:

— Witaj nam z grobu młody Dębogu!
Proszę aspana — siedem dni jak chwila
Byłeś w gorączce — ale dzięki Bogu,
Dziś się choroba stanowczo przesila.
Boże mych przodków, o wielki Jehowo!
Puść mię w pokój! niech starzec już skona,
Kiedy żyć będzie na świetność herbową
Mojego domu latorośl zielona.
A ja o mojem rozpaczalem dziecku,
Że w tych męczarniach rozstanie się z duszą,
Ja umrę z żalu — i po staroświecku
Herb mego rodu przy trumnie pokruszą...
Dziś jest nadzieja, że mię syn pochowa
I weźmie po mnie zaszczyty ojczyste.
Dzięki Ci, Matko święta z Poczajowa!
Dziękuję cudowny boromelski Chryste!
Lecz dosyć stękać nad twoją mogiłą;
Wyszedłeś we dnie, powróciłeś w nocy,
Proszę aspana. powiedz, jak to było,
Kto ci napędził tak ciężkiej niemocy?

— A dajcież pokój, a bądźcież uważni! —
Rzekł definitor, ocierając oczy,
— Jeszcze go powieść na nowo rozdrażni,
I znów gorączka głowę mu zamroczy.

— Nie, Ojcie — rzekłem — pozwala mi zdrowie,
Mogę przypomnieć minione obrazy,
A gdy przed wami wszystko się rozpowie,
To lżej mi będzie, lżej będzie sto razy.

Ot kiedym z łowów powracał w noc ciemną,
Z grobu rotmistrza opadły mię strachy, —
Straszny dziad jakiś stanął tuż przedemną,
Wielkiego wzrostu i w odzieniu z blachy;

A krew mu ciekła po twarzy i brodzie,
 A kiedy jęknie, to aż w serce bodzie.
 Tchnie groźbą cała postać tajemnicza,
 I skinął ręką przed oczami memi
 Na nasze grunta i na dwór Brochwicza:
 „Redde quod debes!” — wyjąknął z pod ziemi.
 A jam bez ducha uciekał po błoni,
 A tutaj zda się, że dziad za mną goni.
 Wbiegłem do domu o samej północy,
 Krew lodem krzepnie, to żarem się pali,
 Padłem jak martwy na łożo niemocy,
 I nie pamiętam, co już było dalej;
 Tylko w gorączce ani chwili niema,
 Aby mi starzec nie stał przed oczyma.
 — No, dosyć tego — rzekł mi ojciec smutno —
 Zapomnij widma, bo ci to niezdrowo. —
 Ale widziałem, że zbledniał jak płótno,
 Wzniósł w górę oczy, a kiwając głową
 Szeptał z westchnieniem: „Miłosierny Panie!
 Kiedyż to widmo dręczyć nas przestanie?”

Coś moje ozdrowienie szło krokiem niesporym:
 Ojciec i definitor troszczą się nad chorym,
 Ów przez czułość rodzica i względy herbowe,
 Drugi, pełniąc po prostu prawo Chrystusowe.
 Czy mi gorzej, czy lepiej, czy usnę, czy wstanę,
 Przy mnie dobrzy starcowie byli na przemianę,
 A straszne moje dumki chąc rozpędzić szczerze,
 Grali ze mną w arcaby, mówili pacierze.
 Lecz ojciec coś mi nie zdrów, coś twarz jego blada,
 O trockim wojewodzie nic nie opowiada,
 Gdy siądzie do marjasza, choć to gra tak łatwa.
 Zamiast bić ze czterdziestu. Bóg wie jak się gmatwa;
 A ponnę, jak to dawniej było z nim inaczej,
 Okładał pacierzami najzawieśszych graczy.
 Dzisiaj snadź jego duszę tłoczą jakieś bole,
 Nawet puharek miodu, co pijał przy stole,
 Stoi czasem nietknięty aż do jutra rana,
 A miód stary od szwedzkich wojen Sudermana
 Wiekował w naszym lochu.

XXII.

Ach, co mu się stało!
 W oczy definitora pogląda nieśmiało,

Zamyśla się, i widać po całej postaci,
Że chciałby o coś pytać — a odwagę traci.

— Księżę definitorze! — wreszcie go zagadnie —
Żyjesz, proszę aspana, święcie i przykładowie,
Spieszysz z usługą bliźnim, ilekroć się zdarza,
Ot i tu od tygodnia pilnujesz Łazarza,
Uciekasz od podzięki, jakby od napaści.
Ale stary Dęboróg modli się za waści,
A pomimo dawniejsze z waszmością zatargi,
Wyznam, żeś taki święty, jak w „Żywotach“ Skargi.
Nie żymaj się, nie bluźnię — niech mię Bóg zachowa!
Bo to, proszę aspana... lecz nie o tem mowa...
Chciałem mówić, żeś kapłan ze słowa i czynu,
A teolog zawzięty, jak Tomasz z Akwinu,
A łacinnik, mospanie, to jak jezuita;
Jednak... proszę nie śmiej się... gdy cię prostak spyta:
Czy waszmość wierzysz w strachy i nocne upiory,
O których Jaś mój gada... zwyczajnie jak chory?
Wierzysz mu, czy nie wierzysz? —

Książd na to odpowie:

— Są cuda, panie Pawle, o których mędrcom
Ani śnili na jawie — jest gra wyobraźni,
Czasem szatan widmami do złego nas drażni,
Tak piszą stare księgi — liczyć je nie pora;
Ot, prosto z duszy naszej wyrobi upióra
I postawi przed oczy — nie dziw, że przestrasza!
A są widma i święte: czytaj Tobiasza,
Czytaj o świętym Pawle, toć twój Patron przecie.
Są marne przywidzenia, są cuda na świecie,
Poznacie je z owoców — Bóg jest miłosierny.

— A ja wierzę! — rzekł ojciec — że rotmistrz pan-
Wyszedł z grobu i stanął przed Jasia oczyma. [czerny
Dziś, wyznam jegomości... wszak nikogo niema:
Ot! jak chciałbym bez zmazy przejść niebieską bramą
Że ze trzy razy w życiu widmo takie samo
Widziałem, jak was widzę — krew mu płynie z czoła,
Jęcząc, Redde quod debes! po łacinie woła,
Wskazuje dwór Brochwicza i na nasze miedze.
Mniemałem, że to figiel, że sprawcę dośledzę,
Ale nie było czasu — bo to owej daty
Ciągnęła mię krew młoda iść z konfederaty.
Myślę sobie: na wojnie nim kulą w łeb palną,

Bezpieczniej będzie odbyć spowiedź generalną.
Przed spowiedzią, wieczorem, kiedy grzechy liczę.
Mignęło się na polu widmo tajemnicze.

Upłynęło lat kilka, przeszły wojen burze,
Ja na dworze trockiego wojewody służę,
Parzę zęby, jak mówią, na dworackiej kaszy;
Kiedy umarł mój ojciec, słonimski strukczaszy.
Więc przyjechałem tutaj w wiosennej coś porze,
By gniazdo Dęborogów, dworzec Dęboroże,
Objąć w moje dziedzictwo naturali jure.
Późnym jakoś wieczorem wyszedłem na górę,
Patrzę na grób rotmistrza, — aż przy grobie stoi
Widmo wzniosłej postaci i w żelaznej zbroi,
Muska wąsy skrwawione i swą brodę białą,
Znowu: Redde quod debes! z jękiem zawołało.
Zbladłem... serce zamarło... i trwożliwie puka;
Lecz mówię sam do siebie: To znów czyjaś sztuka!
A nawet się domyślam...

Lat kilka omija,
Zapomniałem o strachach — bo krasna Maryja
Herbu Łabędź, łowczanka zakroczymskiej ziemi,
Snula się jako widmo przed oczyma memi.
Począłem konkurować — zezwolili starzy —
Szczęśliwym się sukcesem nasz związek kojarzy.
Tu wesele, tu miłość, tam trud gospodarczy.
Tylu różnym kłopotom ledwie człek wystarczy;
Nie dziw, proszę aspana, że w tak ważnej dobie
Wieczyście zapomniałem o rotmistrza grobie.
Lecz oto... w rok po ślubie, w dzień Jana Chrzciciela.
Pan Bóg nową radością mój dom uwesela:
Bo nam się syn urodził zdrowo i pomyślnie.
Do rozrzewnionej duszy modlitwa się ciśnie.
Więc wyszedłem w noc letnią pomodlić się Panu,
I znowu słyszę jęki od strony kurhanu,
I znowu takie widmo, z tymże groźnym głosem:
Redde, redde quod debes! — aż echem gro-
[bowem
Zadrgał las wśród północnej uroczystej głuszy...
Choćby kazano przysiąc na zbawienie duszy,
To przysięgnę, że głos ten nie z naszego świata...
Struchlały padłem na twarz.

XXIII.

Przyszły starsze lata.

Z razu dobrze się wiodło — potem źle najczęściej.
Człowiek jak wół pracuje, a Pan Bóg nie szczęści;
To mi żona umarła, to grad wybił zboże.
Straszna nędza poczęła ścisnąć Dęborozę.
Dawniej, proszę aspana, człek uczył wydawał,
Dziś na kufel podpiwka i na chleba kawał
Ledwie starczy staremu — dajże radę biedzie!
Ot nic, proszę aspana, ręką się nie wiedzie.
Idzie od śmierci żony jesień siedemnasta.
Ja stary bezsilnieję — a tu syn podrasta.
On młodszy, mógłby kiedyś za pomocą Boga
Okryć nową świetnością tarczę Dęboroga;
Ale coś zły prognostyk od ojca na syna:
Widmo się ukazywać młodemu pocyna.
I grozi, że mu wszystkie zamiary rozprzeże...
Czy wasze wierzysz w strachy, miłościwy księże?
— Wierzę — rzekł definitor — wierzę całą duszą!
W waszmościnej fortunie ludzkie lzy być muszą.
Gospodarstwo nie idzie, giną urodzaje.
Widmo jakieś czyścowe zasnąć wam nie daje;
Może to grzechy przodków — wiadomo waszeci:
Za nieprawości ojców pokutują dzieci, —
Może herb Dęborogów w czasie niepamiętnym
Nieszlachetnego czynu pokalany piętnem.

— Jakto, proszę aspana!!...

— Powoli! powoli!

Ja jestem ksiądz i starzec, mój wiek nie pozwoli
Grać ze szlachtą w szablice, — bić się rzecz człowiecza,
A kto mieczem wojuje, ten zginie od miecza.
Tak stoi w Piśmie świętem. Nie rwij się z zapalem:
Waszmościnego herbu obmawiać nie chciałem;
Lecz memu posłannictwu i przyjaźni gwoli
Pragnę położyć koniec tej waszej niedoli.
Wielkie są skutki złego, choć początek marny. —
Tak mówił definitor — a uśmiech figlarny
Przebiegł po jego uśmiechach.

Nie gniewaj się wasze,

Że ci sen mój rozpowiem i może nastraszę.
Oto wczora wieczorem, zmówiwszy pacierze,
Chciałem zasnąć, lecz starca zawsze sen nie bierze;

Więc poczęłem rozmyślać... od nudów... tak sobie...
O domu Dęborogów, o rotmistrza grobie,
Poczęłem przypominać, co doszło mej wiedzy,
Za co on kazał siebie pochować na miedzy,
Dlaczego mara jego błąka się u drogi?
Proces co z Brochwiczami toczą Dęborogi —
Wszystko, coś mi powiadał o starej intrydze
I co ze staroświeckich dokumentów widzę.
Ot tak mi się te myśli po głowie dziwaczą,
Że przyśniłem rotmistrza i wojnę kozaczą.

Usnąłem... widzę zastęp na zastęp uderza.
Dęboróg wiedzie hufce Jana Kazimierza;
Łamią tabor Dnieprówców pancernicy młodzi.
Których dziad siwobrody choragwią dowodzi.
Wtem k'niemu Zaporoziec mierzy z samopału,
Wystrzelił — siwy rotmistrz zachwiał się pomału,
Podjął kratę od hełmu z wejrzeniem ponurem.
Z czoła jego krew czarna wytrysnęła sznurem.
Upadł, ale nie jęknął, jak gdyby był z glazu...
Lecz walka się usuwa niby w głąb obrazu.
Błyska ogień wystrzałów, migają pałasze,
I widziałem zgon starca — posłuchaj mię wasze.

XXIV.

SEN DEFINITORA.

Ze wzgórza widać, jak dym się czerni.
Słychać z daleka strzelbę armatnią,
A na pagórku bracia pancerni
Oddają komuś posługę bratnią;
Kształtem namiotu rozpięli płótno.
Stanęli kołem i gwarzą smutno.
A pod namiotem, z głową u siodła,
Leży dziad siwy w grubej oponczy;
Kula mu stare czoło przebodła.
Po białych włosach krew mu się sączy;
Na piersiach stalna błyszczy się łuska,
A starzec z dumą po wąsach muska.
A w koło starca cisz uroczysta.
Trzech zbrojnej szlachty otacza łoże:
Jeden coś pisze — pewno jurysta;
Drugi puls maca — to lekarz może;
A trzeci skłonił głowę do łona, —
To syn żałosny tego, co kona.

— Cóż? — jęknął chory — mijają chwile,
A księdza niema, ach! ani blisko:
Jeden Bernardyn a rannych tyle.
Pewno obchodzi pobożowisko...
O duszo moja, o duszo biedna!
Któż cię rozgrzeszy, z Bogiem pojedna?

— Bredzisz rotmistrzu, ot byle skrucha,
Bylebyś w sercu nie miał rozpaczy,
Sam Bóg spowiedzi twojej wysłucha,
Sam Bóg i grzechy twoje przebaczy;
Odbyłeś spowiedź tuż przed potrzebą,
Umierasz w boju — toć pewne niebo. —

Tak to jurysta cieszył chorego.
Temu rumieńcem zaszła twarz błada,
Po siwych rzęsach łzy ze krwią biega,
Oczy w niebiosach — snadź się spowiada.
Nagle dostojne oblicze zmienia,
Wyrazem bólu czy przypomnienia.
I głucho jęknął: Grzeszyłem dosyć,
Lecz żal otwiera niebieskie wrota.
Umiałem ciernie życia przenosić
Jako ofiarę grzechów żywota,
Strzegłem jak mogłem grzesznego łona,
Reszty niech męka Pańska dokona.
Jeden grzech tylko, grzech to nie świeży,
Moją śmiertelną godzinę plami,
Ciężkim kamieniem na sercu leży
I stawia piekło tuż przed oczami.
Któż mię rozgrzeszy, kto mi przebaczy?
Boże mój, Boże! chroń mnie rozpaczy.
Zbliźcie się tutaj dopóki pora,
Głośno go wyznam, o bracia moi!
Może skruszona moja pokora
Gniewne oblicze Boga rozbroi.
Zbliź się mój synu, zważ każde słowo:
Bo waść nagrodzisz winę ojcową.

*

*

*

Burzliwy byłem w młodości mojej —
Jeno przy czarce, jeno we zbroid,
Niekiedy tylko znużony szalełem
Litewski Statut w przemian czytałem:

Obcą mi była wszelka zabawa,
Okrom oręża, kufla i prawa.
Z takich rozrywek — z naprawy czarta,
Idzie nieprawość siłą poparta;
Było to grzechem, lecz w owej chwili
Temi grzechami wszyscy grzeszyli.
Ksiądz na spowiedzi, a Pan Bóg w duszy
Wciąż nam szeptali, cośmy powinni;
Lecz choć się człowiek spowiedzią skruszy,
Z młodemi laty, z duchem Sarmaty,
Idzie tak samo jak inni.
Mijały wiosny, mijały lata,
Szumiał jak wichur wiek mój swawolny,
Kiedy mój ojciec zeszedł ze świata,
A ja zostałem ziemianin rolny.
Tutaj zbyt huczno i gwarnie,
Nabyłem sobie nielekkiej sławy:
Nie było psiarni nad moją psiarnię,
Nie było konia jak mój cisawy;
Nie było miodu jako mój lipiec,
Nikt w koło nie miał takiego węża,
A przy odgłosie rżeszystych skrzypiec
Nikt tak polotnie w tanku nie płasza.
A biada temu, kto mi zawczasu
Nie umknął z drogi, — młodzi czy starzy!
A trzykroć biada, kto mi do lasu,
Kto mi do pola wdrzeć się waży,
Kto mi wśród tanka parę odbija,
Albo mi mruknie słówko sromotne!
Bo wnet, jak zmówić Zdrowaś Maryja,
Wyzwę na rękę i uszy otnę.
A jak na biedę, miałem sąsiada:
Pan Maciej Brochwicz o mnie nie stoi.
On mi bywało do lasu wpada,
On się przymila mojej dziewczynie,
A na pałasze bił się tak świetnie,
Że mię i nieraz ciężko obetnie.
Wtem weszli Szwedzi — w wojennej porze
Któż o prywatnym myśli rankorze?
I my z Brochwiczem, bracia koledzy,
Złożyli z serca kłótnię zawziętą:
Nie pora myśleć o swojej miedzy,
Kiedy z miedzami ojczyzny kręto.

Rycerska szlachta na konia siada —
Ja szedłem walczyć obok sąsiada.
A wojna szwedzka waściom wiadoma,
Lecz opowiadać nie pora wcale;
Dość, że po wojnie zasiadłem doma,
A sąsiad jeszcze bije Wandale.

Poczekaj, myślę — póki przyjedzie,
Figiel za figiel, panie sąsiedzie!
Pod ciemną nockę zbieram gromadę,
W kije i rydle uzbrajam chłopcy.
I w dziesięć koni na pole jadę,
Tam gdzie graniczne stały okopy.
Nuż burzyć kopce, przenosić wiechy
Na grunt sąsiada z pracą, z mozołem.
Boże mój, Boże! odpuść mi grzechy,
Za morg zabrany — dziesięć odjąłem;
I nowe kopce (piekielna rada!)
Tuż się przymkęły pod dwór sąsiada.
Nazajutrz tedy o rannym świcie
W sto moich pługów ruszyłem żywo,
Orze się skiba na cudzem życie,
Krusząc z korzeńmi dojrzałe żniwo, —
Kopiec graniczny gdzieindziej stoi,
Miedzę i zboże zorali chłopcy;
Już ani znaku dawniejszej Troi,
Starej granicy nikt nie wytropi.

Lecz myślę sobie: Zabrałem jawnie,
Tylu jest świadków, wszystko widocznie,
Jakże zabory moje uprawnię,
Kiedy mnie sąsiad pozywać pocznie?
Począłem dumać — sprawa szatana
Znowu mi przyszła myśl niespodziana.
Sąsiad miał lamus w środku zagrody.
Co prapradziadów pamiętał jeszcze,
Ściany ciosane z dębowej kłody,
Drzwi kute blachą, zamki jak kleszcze,
Miał postać baszty pięknego gmachu,
Chorągiew z herbem skrzypi na dachu.
W takich lamusach w wojennej chwili
Przodkowie nasi skarby swe kryli.
Sąsiad mój sobie szlachcic biedota,
Perłę, brylantów nie miał i sztuki;
Lecz miał papiery droższe od złota,

Pamiętka dziadów, spadek na wnuki.
A waszmość wiecie, — takiego plika
Szlachcic pilnuje jak serca w łonie:
Tu się szlachecka pewność zamyka,
Że jesteś dziedzic na tym zagonie;
Tu pergaminy odwiecznej daty,
W nich bezpieczeństwo dla twojej głowy,
Że były szlachtą twe antenaty,
Że nosisz prawnie klejnot herbowy.
Zniszczyć papiery — to znaczy może
Zniszczyć na mieniu i na honorze.
A ja w szaleństwie... i z jakim czołem
Ja się na świętą własność targnąłem!
Gdybyż to w zwadzie, albo rozterce,
I po rycersku, zbrojno, otwarcie...
Ale to spodlić szlacheckie serce,
Podłych włóczęgów użyć na wsparcie!

Bo oto w nocy z mojej namowy
Szedł tam z krzesiwem żebrak odarty,
Podpalił głównią lamus dębowy,
I poszły z ogniem odwieczne karty.

Ja stałem w oknie — noc była czarna,
I z niepokojem patrzę k'tej stronie, —
Oto buchnęła luna pożarna,
Pewno graniczny dokument spłonie,
Uprawnię tedy mój zabór cały...
Sumienie jękło... padłem omdlały.

Powraca sąsiad — załamał ręce,
I mnie obwinia sprawcą pożogi;
Ale ja pewien, że się wykręcę,
Hardo stawilem bezzcelne rogi.
Kopce zniesione, ślad jeszcze świeży,
Lecz jakże dowieść nocnej kradzieży?
Jednak zapozwał przed trybunałem,
Żem sprawcą gwałtu i konflagraty:
Ale ja w sądzie sprawę wygrałem —
On bez dowodów, a ja bogaty;
Kopce granicą z obojej strony,
Więc cały zabór mnie przysądzony.

Czułem zgryzoty w sercu i w głowie,
Alem sumienie skałą zawalił.
Powrócić krzywdę — toć każdy powie,
Żem zabrał gruntu i lamus spalił.

A on bez chleba, z proga do proga
Pełzał po sędziach dziesięć lat prawie;
Wkońcu zdał pomstę na Pana Boga,
I tak mi uszło moje bezprawie.

*

*

*

Tak stary rotmistrz prawił swe dzieła —
Głos jego słaby zamrze niedługo;
Krew mu obficie z czoła trysnęła,
Płynie po zbroi czerwoną strugą,
Płynie po wąsach i usta klei,
Trup — tylko w oczach iskra nadziei.
Tchnął — żyje jeszcze, natęży płuca,
Chce jeszcze mówić, co duszę boli,
Ale już słabo, cicho, powoli,
Słówko po słówku ledwie wyrzuca:

— Synu! to moja spowiedź — ty napraw me grzechy,
A wy bracia nademną miłosierdzia proście.
Umieram bez kapłańskiej kościelnej pociechy...
Na święconych mogiłkach nie spoczną me koście.
Synu, wież je do domu — chcesz ulżyć mej duszy?
To je pogrzeb pod lasem, na polu, przy gruszy,
Tam były stare kopce granicy sąsiada.
Dziesięć morgów na prawo — to grunt, co zabrałem,
Oddaj je Brochwiczowi — i biada ci biada,
Jeśli nie tak postąpisz z rodzicielskiem ciałem!
Zburzyłem stare kopce, niechże grób mój przecię
Będzie kopcem granicznym zobopólnej między...
A gdy gruntów sąsiada nie odda me dziecię,
Wnet wyrodka do sądu pozwijcie koledzy;
Rozpowiedźcie rzecz całą ojcowskimi słowy,
A ja go sam oskarżę przed sądem Jehowy...
Synu, oddaj grunt cudzy, zaklinam na życie...
Grób mój... kopiec graniczny... pod gruszką... sły-
Rzekł, uderzył się w piersi i opuścił szyję, [szycie, —
Krew się przestała sączyć... Rotmistrz już nie żyje.
Pokłękli nad umarłym uzbrojeni mężę,
A jam się modląc ocknął.

XXV.

— Bałamucisz, księżel!

Ja poznałem od razu — to nie było we śnie;
Lecz śpiewasz nowym tonem staroświecką pieśnię:

Abym powrócił grunta Brochwiczowej wdowie,
Choć je z kilku pokoleń dzierżę urzędowie,
Chociaż — proszę aspana — rzecz jasna jak złoto...

— Nie sroż się, panie Pawle, tu nie idzie o to,
Czy to sen marny, albo rzeczywista jawa,
Czy grunt dzierżysz bezprawnie, albo wedle prawa;
Ale kapłan cię pyta o sumienne słowo,
Jak kochasz swe zbawienie i tarczę herbową,
Jakoś ojciec, jak szlachcic, jak potomek wierny
Walecznego rotmistrza chorągwi pancernej —
Powiedz mi (boś się nigdy kłamstwami nie zmazał),
Czy ów syn zwrócił grunta, jak mu ojciec kazał?
I czy tam, gdzie kazano, pogrzebił ojca kości?

— Jużci... proszę aspana, — w tem nie masz pewności...
Ów syn... pan Piotr Dęboróg... a mój pradziad prosto,
Był za Jana Trzeciego rzeczyckim starostą
I człkiem wielce skąpym — pokój jego duszy:
Więc może zamiast ojca pochować przy gruszy,
Pochował go za rzeczką dziesięć morgów dalej.
Tam, kędy violenter kopce usypali —
A tak uprawnił zabór. Trudno dociec z dzieła,
Gdzie wtedy gruszka rośła, jak rzeczka płynęła.
Kto to wie? w ciągu wieku wszak przemiana bywa,
Lecz tylko poświadczają domowe archiwa,
Że syn Piotra, Mateusz, piwniczny nadworny,
Miał proces z Brochwiczami o poletek sporny.

I cóż? wygrał czy przegrał? — definitor spyta.

— Ani wygrał, ni przegrał — forsował i kwita.
Bo to, proszę aspana, jest sztuka w palestrze,
Można tworzyć przeszkody wciąż nowe i nowe,
Komportacje papierów, badania miejscowe;
Czas idzie jakoś prędko, a proces pomału
Od sądów podkomorskich do spraw trybunału.
Kiedy mądry obrońca umiejętnie zwleka,
Niełacno się pan Brochwicz dekretu doczeka,
Niełacno się w Temidy dokołatać wrota.
Dęboróg miał pieniądze — a Brochwicz hołota —
Pan Mateusz wziął górę. Za pamięci naszej,
Tymoteusz Dęboróg, słonimski strukczaszy,
Jego syn a mój ojciec — jako ślad znachodzę,
Chciał załatwić rozterki w polubownej drodze;
Lecz potem się rozmyślił — obliczył z chudobą:
Nikt się nie dopomina, dawność miał za sobą,

A grunta tak wybornie zarodziły latem,
 Że zostawił przy sobie ich haereditatem,
 A jam po ojcu objął całe Dęboroże.

— Wielkie — rzekł definitor — miłosierdzie Boże!
 Pociesz się, panie Pawle, twa dola szczęśliwa,
 Wielkich rzeczy dopełnić Bóg cię powoływa:
 Co ciężko praojcowie przed Panem zgrzeszyli,
 Zbrodnię czterech pokoleń zmazać w jednej chwili,
 Rozbroić chmurę gniewu Pańskiego nad domem,
 Co gotowa wybuchnąć piorunem i gromem,
 Ulżyć własnemu sercu, odrzuciwszy z dala
 Kamień grzechu i zgryzot, coć piersi przywała.
 Obaczysz... w twojej duszy jaka będzie zmiana.
 Gdy wrócisz cudze grunta.

— Ot, proszę aspana,
 Któż powiedział, że z taką wystąpię szczodrota?
 Wszak wdowa po Brochwiczu nie prosi mię o to,
 I co powie, mospanie, cnych przodków oblicze,
 Po których Dęboroże ojczyste dziedzicze,
 Żem uszczuplił odwieczną praojców siedzibę
 Choćby o jeden zagon? choć o jedną skibę?...

XXVI.

Tu definitor powstał jak w stanowczej dobie.
 I ojca po bratersku wziął za ręce obie,
 W jego ustach był uśmiech błagalny i słodki:

— Ej, wara, panie Pawle, wspominać twe przodki!
 Bo czy waszmość masz serce, czy masz wasze głowę
 Skazywać twoich przodków na męki czyścowe?
 Widziałeś cień rotmistrza, co cierpi tak srodze:
 Czy myślisz, że on dotąd na zbawiennej drodze?
 Nie pomogły mu cnoty, ni dzielna odwaga:
 O! błaka się po nocach i potomków błaga,
 Aby zwrócili własność sierocie i wdowie,
 Co niesłusznie przywłaszczył. Czyż dalsi przodkowie
 I całe pokolenie parenteli waszej,
 Pan starosta rzeczycki, piwniczny, strukczaszy,
 Sprawę przed Panem Bogiem wygrali przemocą?
 Czy tam nie pokutują za krzywdę sierocą?
 Czy myślisz, panie Pawle, że zbiór ich katuszy
 Nie spadnie na rachunek waszmościnej duszy?
 Syn, wnuk i chrześcijanin, szlachcic jak należy,
 Czyż tobie użytkować z owoców łupieży?

Czy to po chrześcijańsku? pytam: czy to pięknie?

— Dosyć... proszę aspana... bo serce rozmięknie —

Rzekł ojciec, bo go mowa zwyciężyła taka,

I ocierał łzy bujne rękawem kubraka.

Zamyślił się i dodał: Prawda, prawda święta,

Lecz są ważne przeszkody, są *impedimenta*:

Pro primo, trzeba wyznać i powrócić jawnie,

Co ojciec, dziad i pradziad trzymali nieprawnie,

I za grzechy pradziadów mnie świecić oczyma;

Secundo, starych kopców i śladu już niema,

Cudze mogę powrócić, ale swego szkoda:

Oddaj kurowi grzędę, to zechce ogroda.

Potrzenie... grób rotmistrza... święte przodków kości.

Czyż zostawić na gruncie obcych posiadłości?

Potem... proszę aspana... w szlacheckiej chudobie

Dziesięć morgów nie żarty — pomyśl tylko sobie!

Toż i tak Dęboroże już nas nie przeżywi.

Na taką szczodroblliwość i mój syn się skrzywi,

Bo on po mnie dziedziczy — a z czego żyć będzie?

— Gdzie rzecz o cudzą własność, nic nie masz na
[względzie! —

Zawołał definitor ze świętą powagą; —

Bóg dobry, i nikogo nie opuścił nago;

A zresztą choćby żebrzeć przy kościelnej wieży,

Jednak *reddere quod debes*, oddaj co należy!

Ale nie pójdziesz z torbą, już moja w tem rada.

Jest sposób i powrócić gruntu do sąsiada,

I honor twoich przodków ocalić najściślej,

Że grabieży i zwrotu nikt się nie domysli,

I syna zaspokoić zręcznie a korzystnie,

Że na oddanie gruntów i słówka nie piśnie.

Słowem: przebłagasz nieba, a dom twój, widocznie

Zubożon krzywdą ludzką, podnosić się pocznie;

Otrzymasz przebaczenie za twe antenaty,

Zysk w niebie, a na ziemi — ani na grosz straty.

XXVII.

Jakież to dziwny sposób? ot, proszę aspana,

Oto ręka szlachecka niczem, nieskalana,

Oto *nobile verbum*, słowa nie zmitrzę,

Daj tylko dobrą radę, miłościwy księże,

A na wszystko przystanę! Niech odetchnie stary.

Te zgryzoty sumienia, te widma i mary,

Co dawniej mię dręczyły, a dziś mego syna,
Ta domu Dęborogów widzialna ruina —
Och! to mi rani serce okropniej od noża.
Poradź mi!

— Niechaj przyszedł dziedzic Dęboroża
A godny syn waszmości za mnie już dogada,
Czy chce wojny, czy zgody z rodziną sąsiada?
Jeżeli jest za zgodą, to niechże obwieści,
Jak ją spełnić bez ujmy rodowitej cześci,
Wedle Boga, sumienia i słuszości całej,
Aby się dusze przodków w Panu radowały.

— Jak to zrobić — rzekł ojciec — nie widzę dokła-
Gdy ja zgadnąć nie mogę, to jakże syn zgadnie? [dnie,
Wszak starość przed młodością rozumem się szczyci.
Tak trzymali pobożni księża jezuici.

Przy trockim wojewodzie niech-no się odważy
Młodzieniaszek mieć więcej rozumu niż starzy!...

— O! — rzecze definitor — i ja przy tem stoję.
Starość ma swoje prawa, a młodość ma swoje.
My starzy mamy rozum z doświadczeń i biedy,
A oni sercem widzą — i jaśniej niekiedy;
A więc gdy nasze mądre nie wiodą się plany,
Posłuchajmy serc młodych — tam skarb nieprzebrany!
No! śmiało, panie Janie, niepróżno cię dręczę.
W rozterkach z Brochwiczami daj radę, młodzieńcze.
Podśluchałem w gorączce twe marzenia chore,
I dobrze jestem świadom, gdzie twe serce gore.
Wszakże miłość cnotliwa żadnym nie jest grzechem.—
Tak mówił definitor z łagodnym uśmiechem,
Przywołując mię za rękę do ojcowskiej ławy,
A jam błędna i kraśniał i drżałem z obawy
Srożej niżli przed owymrotnistrza widziadłem.
Wreszcie jak bezprzytomny na kolana padłem.

— Ojczy! — rzekłem nieśmiało, jak młode pachole —
Przebac, że bez twej wiedzy dałem sercu wolę:
Kocham córkę Brochwicza — bo chodząc na łowy,
Częstom odwiedzał dworek sieroty i wdowy.
Zawsze mię przyjmowały z uprzejmą słodyczą;
One ród nasz szanują i dobrze nam życzą,
Nie pamiętają krzywdy, co nasi przodkowie...

— Ależ, proszę aspana — co aspanu w głowie? —
Przerwał mi ojciec mowę z uśmiechem, lecz srogo; —
Zdaje się taki sensat... pokochał... i kogo?...

Córkę tych, co od wieków... co może lat dwieście...
 Byli nieprzyjaciołmi... Ej sidła niewieście!!
 Oplatać mi młodzieńca, w którym ród nasz tleje
 I herbu Dęboroga jedyne nadzieje...
 Bratać się z Brochwiczami... O! nie! żart na stronę:
 Musisz puścić per non sunt zapaly szalone.

— Nie, mój ojczy — odpowiem z błagalnym wyrazem:
 — Już nie wydrzeć ich z serca, chyba z sercem razem.
 Dałem słowo — i żadną nie zhańbię się zmianą.
 Ja pierwszy pokochałem... i... mnie pokochano.
 Święte uczucia serca — to nie mądry senne,
 A miłość nasza czysta, jak niebo wiosenne.

— No! zręcznie-ć ułowiono! — to zuch jakaś dziewa.
 Ależ, proszę aspana — przysłowie opiewa.
 Że dopóki dwóch rodów, póki starczy świata.
 Nigdy się z Brochwiczami Dęboróg nie zbrata —
 Co tu począć z przysłowiem?

— Cóż to! czy my dzieci? --
 Zawołał definitor. — Ktoś dwa słowa skleci,
 To dlatego zapomnieć przykazania Boga!
 Cóż to! związek z Brochwiczem skrzywdzi Dęboroga?
 Oba rody szlacheckie przez pokoleń wiele,
 (Tylko oni skrzywdzeni, a wy krzywdziciele),
 W obu domach mieszkańcy poczciwi choć prości,
 Nikt tam nie stawiał sidła na syna waszmości.
 A wdowa po Brochwiczu, gdy się dowiedziała,
 Że serce dwojga młodych wzajemnością pała,
 Jak niewiasta szlachecka i wielce pobożna,
 Dała uczuć swej córce, że odtąd niemożna
 Ani widzieć kochanka, ni się piśmem znosić,
 Chyba przyjdzie Dęboróg sam o rękę prosić
 Dla swego jedynaka. — I cóż waszmość na to?
 Grzechy kończą się karą, a cnota zapłata,
 Pamiętaj, panie Pawle, że kara łupieży,
 Że grzech kilku pokoleń na twej głowie leży.
 Że dom wasz podupada — i niech Bóg zachowa,
 Ostatnia jego gałąź zawiednąć gotowa.
 Młode serce, jak ogień, paląc się wyniszcza —
 Miłyż ci będzie widok domowego zgliszcza?
 Po niem błaka się widmo i przemawia do cie:
 Red de! red de quod debes! — wróc krzywdę
 [sierocie!]

Ojciec zalał się łzami, — za rękę go chwyta:
— Błogosławionyś, księżu, jakby jezuita!
Nawet, proszę aspana, trocki wojewoda
Przyznałby, że masz słuszość... A zgoda już! zgoda!
Niech się młodzi kojarzą, ja sam tego życzę,
Niech się z Dęborogami zbratają Brochwicze. —

To mówiąc, ojciec powstał rzeźwy i ochoczy;
Ucałował mię w czoło i w usta i w oczy,
Modlił się, gdym uściskał rodzicielskie nogi:
„Boże! coś miał w opiece stare Dęborogi,
Błogosław moje dziecię w jego losu zmianie,
Niech szczęsnym i cnotliwym na zawsze zostanie,
Niech będzie godzien swego herbu i nazwiska“.

Potem definitora serdecznie uściska.
Popłakali się rzewnie starcowie weseli
I miodem z czasów szwedzkich tę sprawę zaleli.

XXVIII.

Tak się skończyła sprawa tajemnicza.
Ojciec pojechał do dworku Brochwicza,
Polubił Zosię i jej matkę starą,
Złożył mój afekt — a serca ofiarą
Nie pogardzono. Tak w jednym obchodzie
I młodym sercom i rodowej zgodzie
I ceniom przodków spełniło się zadość,
Było wesele, miód, wino i radość,
I sporne grunta, zarośla i pasze
Zlały się w jedno, jak dwa domy nasze.
Młodzi się sercem bez przeszkody dzielą,
A starzy szczęściem młodych się weselą,
Mówią pacierze, lub grają w družbarta,
A kiedy ojcu poszczęści się karta,
Popija miodek i z ogniem nielada
O wojewodzie trockim rozpowiada.

A gdy już sporna zaorana miedza,
Książd definitor rzadko nas odwiedza,
Choć go błagamy raz, drugi i trzeci,
Aby zamieszkał u nas, jak u dzieci.
Ale ze starcem sprawa nie tak łatwa,
Mówi: że cała społeczność mu dziatwa,
W niejednej wiosce i w niejednym dworze
Są nieszczęśliwi — a któż im pomoże?
Tam sąsiad cierpi niechęć do sąsiada,

Tam ktoś w rozpacz na duchu upada,
 Tam pełno starych i chorych Łazarzy,
 Któż ich nawiedzi, kto ziółek nawarzy?
 A tam już może puka kto we wrota
 O pokarm ciała, lub o Chleb Żywota.
 Ksiądz wszędzie czuwa, zasila i strzeże,
 Bronuje pole i mówi pacierze.

XXIX.

Gdyśmy w miłości i bojaźni Bożej,
 Widmo rotmistrza nigdy nas nie trwoży.
 Gdzie stała jego mogiła wśród pola,
 Dzisiaj kaplica z modrzewiu i sosny.
 Tam, gdy domowa dola lub niedola,
 Idziem się modlić — a Pan Bóg litosny,
 Czy głód, czy wojna, czy grad, czy posucha,
 Zawsze gorącej modlitwy wysłucha,
 Albo odwróci, gdzie groziła szkoda,
 Lub serce wzmocni i otuchy doda.

1847—1850. Załucze.

EPILOGOS DO DRUGIEGO WYDANIA.

Kiedym przed dwoma laty (toć niedawne czasy)
 Oddawał Dęboroga pod drukarskie prasy,
 Nie tuszyłem, że pismu poszczęści się w świecie,
 Że je tak dobrem sercem łaskawie przyjmiecie.
 Dziś, kiedy rozrzewniony jak na dłoni haczę,
 Że warto dla was śpiewać, litewscy słuchacze!
 Że można choć niekształtnie złożonemi rymy
 Zagrać na waszych sercach, kreśląc kraj rodzimy, —
 Rumieniec zawstyżenia do twarzy mi bije,
 Żem tak mało ulepszył drugą edycję.
 Może przynajmniej z łaski posłuchać zechcecie,
 Co się z Dęborogami stało przez dwulecie.

Stary Dęboróg umarł ku powszechnej szkodzie,
 Gwarząc jakąś powiastkę o trockim wojwodzie;
 Ale, proszę aspana, jako człowiek święty,
 Oczyszczony pokutą, wzmocnion Sakramenty,
 Gdzieś na łonie swych przodków, wśród herbowej rze-
 Ze trockim wojewodą pospołu się cieszy. [szy,
 Bo tam już stary Brochwicz, niegdyś wódz pancerny,
 Wymodlił mu w niebiosach dekret miłosierny.

I obaj z wyżyn patrząc na litewską stronę,
Błogosławią swych herbów tarcze skojarzone.
Dąb, godło Dęborogów, jest ozdobą lasa,
Jeleń w herbie Brochwicza posuwisto hasa,
I troje małych wnuków, nowe pokolenie,
Rośnie krzepkie jak dęby, zwinne jak jelenie.

Lecz może pamiętacie, że Dęboróg stary
Miał swoje uprzedzenia, miał dawne przywary;
Naprzykład, wierzył mocno w katechizm jedyny:
Że szlachcic stworzon z inszej, a chłop z inszej gliny.
Przebaczmy starej głowie — przebaczmy tem szczerzej,
Że dziś po jego śmierci nikt temu nie wierzy.
Szlachta na całej Litwie jest bracią swej włości,
Ochronia ją od głodu, od zimna srogości;
W wioskach, słyszę, dostatek wyplenione chwasty,
Zakwitnął bujnem kwieciem nasz wiek dziewiętnasty;
Obruszać się na szlachtę nie miałyby sposobu
Nawet ksiądz definitor, gdyby powstał z grobu.

Och! bo już upłynęła druga wiosna pono,
Jak grób jego porasta darniną zieloną.
Młodzi Dęborogowie i naród z daleka
Odwiedzają mogiłę świętego człowieka.
O nim serdeczna pamięć łączy im sączy z oka;
A jego miłość bratnia i wiara głęboka,
A przykład jego cnoty nie zaginął marnie.
Bo długo jeszcze będzie umacniał owczarnię.
Była to w swoje czasy postać nader rzadka;
Lecz dzisiaj Kościół święty, prawowiernych matka,
Liczy garstkę pasterzów sporą a przykładną,
Co własne swoje dusze za owczarnię kładną,
Co pracują na polu, znoją się w kościele,
Dzielią ze smutnym smutek, z wesołym wesele,
Z ubogim chleb powszedni, a z każdym chleb ducha,
A lud Boży przykładnie ich nauki słucha,
Z ich serca, jak ze źródła, czerpiąc dobre wzory
Dostojnego ubóstwa i świętej pokory.

Grób po grobie pochłania czyjeś stare kości.
Zapadaj dawny wieku, na łono przeszłości;
Ty zasię strojna w barwę różową, tęczową,
Młoda jutrznió postępu, świtaj nad mą głową!
A gdy już twoje słońce u południa stanie
I oświeci grobowej ciemności otchłanie,

Gdy promienni twem światłem zajrzym do podziemi,
 Niechaj się nie zawstydzim przed ojcy naszymi.
 Bo biada naszej głowie i twym blaskom biada,
 Jeśli stanie przed nami postać prapradziada
 I głosem uroczystym zagrobowej mary
 Rzecz: — *Red de quod debes*, płacie dług wasz
 Spuściliśmy prostacy naszą piękną stronę [stary!...
 Na wasze ręce silne, na głowy uczone, —
 Od zgonu waszych przodków do dzisiejszej chwili,
 Obliczcie, coście wzięli, coście przynnożyli?
 Musi być w wasze czasy, które postęp budzi,
 I więcej kwiatów w polu, i cnót w sercach ludzi;
 Lubiliśmy procesa i pieniacze matnie,
 U was pewnie zakwitło miłowanie bratnie,
 Równych synów ludzkości odkupionych z krzyża
 U was pycha herbowna pewno nie poniża;
 Porzuciliście puhar, co ku złemu kusi,
 Z trzeźwych piersi modlitwa gorętsza być musi;
 A skoro Bóg nagradza cnotę zasłużoną,
 Toć i wasze niebiosy błękitniejsze pono...

Och! bolesno posłyszeć taki głos z mogiły:
 Jeszcze nasze zasiewy kłosów nie puściły,
 A choć zda się dokoła zielone przestworza,
 Po trawce nie rozeznąć kąkolu od zboża.
 A pieśniarz, co gotuje piosenkę do żniwa,
 Przebaczenie, że niepewnym tonem pobrząkiwa:
 Bo nie zgadnie do jakiej nastroić się nuty,
 Czy tworzyć pieśń wesela, czy żalu wyrzuty.

7 maja 1855. Borejkowszczyzna.

ZAŚCIANEK PODKOWA.

GAWĘDA SZLACHECKA z 1812 r.

PODRÓŻNY.

Boże, co za spiekota! pot czoło opływa...
 Prędkoż mię do gospody zawiedzie ta ścieżka?
 Ziemia rodzinna moja! szczęsny, kto tu mieszka,
 Biedny, kto podróż odbywa!
 Hop mój koniu! choć pianą i potem okryty,
 Choć pan twój ledwie żyje ze skwaru, z niewczasu!
 Tam za górą, na łące widać jakieś szczyty:
 To może strzecha popasu.

Mylę się... to są gruzy starego kościoła,
Tynk opadł, okna puste, wyszczerbione mury,
Na dachu szkielet krokwi nie nakrytych zgoła,

A w klonie dzwon sygnatury.

Co za rozkoszne miejsce! a pustkami stoi,

Odłogiem leży pasmo pól i sianozęci...

Jak tu pięknie w olszniaku ów strumień się kręci!

On nas spragnionych napoi.

Puszczę konia na trawę, a sam wodą czystą

Orzeźwię się, umyję i ręce i skronie;

A ległszy na murawie, olszyną cienistą

Spaloną głowę osłonię.

ŻEBRAK.

Dzień dobry, mój paniczku! Niech cię Pan Bóg broni.

Niech chowa w Swojej opiece.

Wiedz, że tutaj na łące nie wolno paść koni,

Nie wolno poić w tej rzece.

PODRÓŻNY.

Jak to! mówisz: nie wolno, — a czyjaż to łąka?

Czy jesteś stróżem najętym?

ŻEBRAK.

Tak panie, jestem stróżem, jak pies, co się błąka,

Czując nad skarbem zaklętym.

Stróżem jestem; ten kościół, te spalone krzyże.

Cmentarz, skąd panisko dyha.

Te łąki, te poletki i te wody hyże,

To moich przokdów siedziba,

Czy widzisz za kaplicą gruz pieców ceglasy?

Widzisz ten komin wyniosły?

Czy widzisz stopy węgla, pokrzywy i chwasty,

Co na popiele wyrosły?

Czy widzisz tę w zagonach ziemię nieuprawną?

Nie zawsze była jałową!

Przed trzydziestu latami... niezbyt jeszcze dawno

Tu stał zaścianek Podkowa, —

Tak narzeczon od herbu, co rodu zaszczyty

Głosił z niepamiętnej pory,

Bo my choć biedni, mamy klejnot rodowity,

Co dał nam Stefan Batory.

Bo to za owych czasów nasz przodek Konstanty

Nabył swój klejnot dostojnie:

Kiedy Stefan Batory zdobywał Inflanty,
Zyskał szlachectwo na wojnie.
Od niego to pochodzi parentela nasza,
Drzewo wspaniałej postaci:
Syn Konstantyna Krzysztof zrodził Tobiasza,
Tobiasz zrodził trzech braci:
Najstarszy był Mikołaj, jego gałąź trzyma
W rodzie pierwszeństwo ojczyste,
Mikołaj zrodził Pawła, Paweł Joachima,
Joachim Jana Baptystę;
Jan, mosanie, Baptysta, zbaw mu Boże duszę,
To był mój ojciec rodzony.
Ach! coby on powiedział, że ja spędzać muszę
Gościa, co przybył w te strony!
Pan myślisz, że ja bronie łąki i pastwisko
Z jakiej niehumanitarnej rachuby?
Nieprawda, jak Bóg żywy, nieprawda panisko!
Ja tylko nie chcę twej zguby.
Ho! ho! gdybyś zawitał do tego ustronia.
Gdy tu mieszkalem za młodu.
Miałbyś suto murogu i owsa dla konia,
Miałbyś i piwa, i miodu.
Bo tu była zamożność i wiosna i zima.
Wiesz, jaka była tu cnota?
Każdy, kto tu przyjechał, lub zabłądził mimo,
Nie wyszedł trzeźwy za wrota.
A teraz, gdy zaścianek przyszedł ku zagubie,
Wiesz, jak przeklęty okropnie?
Biada bydłu, co trawy z tej łąki uskubie!
Biada, kto wody tej żłopnie!
A nawet kto tutejszy, mija to bezdroże.
Bo wie, że ziemia zaklęta,
Albo koło się złamanie, lub koń zaniemoże.
Albo go niemoc opęta.
Mnie pan hrabia tutejszy trzyma za zapłatą,
Bym stał jak wiecha przydrożna,
I ostrzegał podróżnych i zima i lato:
Że tedy jechać nie można.
Bywało — zorzą drogę — to jedzie kto nie wie,
I klęskę sobie napyta;
W przeszłym roku, żebraka, ot tu przy tem drzewie,
Roztrzaskał piorun i kwita.

Czy mało? co rok prawie coś się komuś stanie,
Kto w to zabłądzi bezdroże.

PODRÓŻNY.

Cóż to jest? czary jakież?

ŻEBRAK.

Nie czary, mój panie,
Lecz pomsta musi być Boża.

PODRÓŻNY.

Za co?

ŻEBRAK.

Ha! długo gadać, koń trzęzłami dzwoni
Na długie gawędy nasze.
Wiesz pan co? przebrnij rzekę i na tamtej błoni
Puść swego konia na paszę.
Tam już grunt niezakłęty i dobre pastwisko;
Widzisz tę kłodę dębową?
Siądźmy, ja ci opowiem, skąd to uroczysko
Zaklętem i Pomstą zową.

II.

T a n d e m więc, jak mówiłem i jak widzisz ślady,
Tu był zaścianek Podkowa,
Tu żyły moje dziady i moje pradziady,
Pocziwa szlachta czynszowa.
A tam dalej za lasem stał dwór murowany,
Z zamkiem, wałami i fosą;
Tu jeńcowie tatarscy budowali ściany,
Jak dawne powieści niosą.
Pan dzisiejszy zmurował pałac znakomity,
Ślad zamku zarosły chwasty,
Ale jeszcze jest brama, a na niej wryty
Rok tysiąc sześćset szesnasty.
Jeszcze pamiętam zamek i pana starostę,
Kiedy to jedzie na sejmy,
Przysyła tu hajduka i szlachcice proste
Sprasza na obiad uprzejmy.
Było w naszym zaścianku domów ze dwanaście,
Płacących czynsze za ziemię;
Dziedzic jak grunt wydzielił ojcu protoplaście,
Z wiekiem... rozrosło się plemię.

A czynsz, mospanie, lekki, opłacać aż miło,
Lub służyć w bandzie ochoczej;
Najczęściej się do zamku rycersko służyło —
Koń i pacholek z pół-włóczy.
Ale co to za służba? to i znaleźć rzadko!
Wojna, czy sprawa domowa,
Każą jednemu jechać, to całą gromadką
Wali zaścianek Podkowa.
Dziedzic bywało krzyknie: „Pomóżcie mi, chłopcy!“
My lecim z ciałem i duszą,
Czy gdzie karczmę zapalić, czy rozrzucić kopcy,
Wszyscy z zaścianka wyruszą.
Czasem się aż starszyzna rozgniewała nasza,
Kedy w sianokos lub żniwa
Jaśnie wielmożny dziedzic na sejmik zaprasza
Lub na obławę przyzywa.
Któż pogardzi sejmikiem albo polowaniem?
Więc krzyczy młodzież wesola:
„Murem, mospanie! murem naszych piersi staniam,
Gdzie pan starosta powoła!“
Mój ojciec (wieczny pokój!) czasem podziwaczy:
„Ej! młodzi! żnijcie i koście!“
Ale sam się uśmiecha, bo wie, co to znaczy
Wskarbić się w łaskę staroście.
Tylko wolę starosty miej za rozkaz święty,
A wszystko uzyskać można:
Łąka ci nieskoszona, albo morg niezjęty, —
Dworscy włościanie go pozną.
Jedno słowo: „Wy bracia, wy sąsiedzi moi!“
Było na ustach paniska;
Bywało zbierze szlachtę, nakarmi, napoi,
Jeszcze do piersi przyciska.
Czasem, gdy stary szlachcic w uroczystym czasie
Zanadto spełnia wiwaty
I upadnie pod ławę, — to w pańskiej kołasie
Odwiozą starca do chaty.

III.

Tak wiek z wieków, od czasów któregoś Zygmunta,
Szlachta osiadła te grunta;
A ten strumień, co płynie pomiędzy parowy
W kształcie herbowej Podkowy,
Pamięta, choć w koło ślady się zatarły,
Jak dziady i wnuki marły,

Jak prawnuki wzrastały; on powiedzieć może
Wszystkie dopuszczenia Boże,
Wszystkie lata wesołe, wszystkie czarne biedy,
Jak szły Tatary i Szwedy;
W którym roku był pomór, w którym znak niebieski,
Sejm, czy trybunał litewski?
Bo nieraz tu starcowie o wieczornej chwili
Swoje przygody gwarzyli.
Strumień pewno pamięta... dowiedzieć się muszę,
Kto to zaszczepił te grusze,
Które ot tam, usechłszy na zaklętej ziemi,
Sterczą szkielety nagiemi?
A smaczny miały owoc!... aż dotąd mi w duszy
Smak tych jabłoni i gruszy.
Com je niegdyś obijał z tej gałęzi dużej,
Co krukom za gniazdo służy.
Strumień mi kiedyś powie, z jakiej to ofiary
Wzniesiono kościółek stary,
Który tam właśnie sterczał sosnowemi ściany,
Gdzie dzisiaj ten gruz ceglany?
Pamiętam tę kapliczkę drewnianą, nadgniłą,
Gdzie to się do mszy służyło,
Gdziem z pod samej wieżyczki, dla marnej uciechy,
Wykręcał wróble z pod strzechy;
Gdzie z chóru jakby z tronu poglądałem dumnie,
Gdziem ojca zakopał w trumnie,
Gdzie brałem ślub, gdzie dla mnie i starzy i mali
Veni Creator śpiewali.
Jasny był dzień! ej jasny! lecz w oczach mi ciemno...
Panie! zlituj się nademną!
Stare oczy a głupie — wspomnisz dawne dzieje,
To z nich się i łza poleje.
Fraszka łza i wspominek! — tylko duch rozżarzy,
Wypala zmarszczki na twarzy;
A jeszcze cudzy człowiek, widząc, że my płaczem,
Gotów się zaśmiać cichaczem.

IV.

Po starych dobrych czasach — ot przyszedł wiek no-
Nastały czarne lata na szlachtę z Podkowy, [wy,
Przemiął czas sejmików, jak mija sen marny,
Zhardział nasz pan starosta niegdyś popularny,

Zostaliśmy magnatom niezdadni i biedni,
Minęła łaska pańska, minął chleb powszedni.
Tam grad pola wybije, owdzie chata spłonie,
Trudno już było wyżyć na naszym zagonie,
Gdzie się nowe kłopoty zjawiały co chwilę,
Gdzie czynszami obłożono we dwójnasób tyle,
Gdzie, nie bacząc na starca lub niewiastę chorą,
W dzień świętego Marcina okna ci wybiorą.

Ej, te nieszczęsne czynsze! jakby kość do gardła...
Przez nie to w rok po ślubie żona mi umarła,
A gdyśmy wieźli trupa, pacholek pijany
Konia mi z pod śmiertelnej wyprzągł karawany.
Znosili twardą biedę Podkowanie starzy,
Gniew trząsł się na ich wásach i zmarszczkach na
Nieraz pobiec do zamku i rąbać się chcieli; [twarzy,
Do boku! och! na teraz szkodą karabeli!
Szkoda pocziwej broni! Choć cię w sztuki potną,
Cierp, szlachto podkowaniańska, zelżywość sromotną.

Pan starosta, co naszej urągał się biedzie,
Rozumiał, że na niego śmierć nigdy nie przyjdzie;
Śmierć przyszła swoją drogą — pan leży w kościele...
On wiele uszczęśliwił i ukrzywdził wiele;
Niech mu Bóg dobrotliwy jego win nie baczy,
Niech mu jedno nagrodi, a drugie przebaczy!...
Źle nam było pod koniec — lecz gniew nastał Boski,
Gdy syn jego, pan hrabia, odziedziczył wioski:
Sam z człkiem i nie gadał, a dworskie kozaki
Krwawo i łzawo szlachcie dali się we znaki.
Szlachta lubi polować, a tuż las graniczy.
Biada, jeśli ze strzelbą spotkał cię leśniczy!
Biada, jeśli dziewczęta niebaczne, bo młode,
Zerwą kwiatek na łące lub w lesie jagodę!
Biada, jeżeli trzoda za rzeczkę choć wbieży!
Nie unikniesz pogroźek, gwałtów i grabieży!
Kiedyśmy szli do hrabi skarżyć się na zgraję,
Psami szczwały nas z zamku francuskie lokaje;
A pan, jeśli do niego docisnąć się zdarzy,
Obelgą cię nakarmi lub czynem znieważy.

Myślisz — hrabia, co bronił swe lasy i pasze,
Wzajemnie kiedy miedze uszanował nasze?
Gdzie tam! — konno, ze psami, z harapem u pasa,
Codzień po naszych łąkach i pastwiskach hasa,

Nasze zboże tratuje, ponieważ marnie,
Lub na naszych owieczkach zaprawia swe psiarnie.
A jeśli się pożałujesz, to cię sfuka o to:

„A milczeć mi! zuchwała, niewdzięczna hołoto!
Jeżeli wam niedobrze na tutejszej stronie,
Precz mi z mojego gruntu! ja odejść nie bronię!“

Próżno się człowiek modli i litości czeka
Wciąż jedna sprawiedliwość i jedna opieka.

V.

Wtem dziwne wieści krążą po powiecie,
Trąby francuskie poza Niemnem dzwonią,
Dwa groźne wojska stanęły pod bronią,
I hrabia wspomniał, żeśmy ludzie przecie.
Czy to z nadziei, czy z jakiegoś strachu,
Wnet powziął ku nam najżyźliwsze chęci;
Ot! jak chorągiew na zamkowym dachu,
Tak serce hrabi za wiatrem się kręci.
Grzecznie się kłaniał, aż jednej niedzieli
Odwiedził wszystkich czynszowych swej ziemi,
Uściskał młodzież, szeptał ze starszymi,
Kłął przed kaplicą, i wszyscy klękali...
Modlą się, gwarzą — już i noc zapada,
A jeszcze trwają modły i narada.
Nazajutrz, ledwie poranek zabłyska,
Znikła z zaścianku młodzież od wyboru,
Zniknęły konie z naszego pastwiska,
Zniknął pan hrabia ze swojego dworu.
W siedzibach naszych jeno pozostali
Drżący starcowie albo chłopcy mali,
Kobiety słabe, lub kto mimo chęci
Pozostał doma z wiarą i otuchą;
W zaścianku naszym jak w grobowcu głucho,
Nie słyszał brzęku kos na sianozęci,
Nie zarzą konie na wieczornej paszy,
Trwożna niewiasta co godzina błednie,
Bo wyją wilki, których nikt nie straszy,
I puhacz puha czarne przepowiednie,
I smutno jakoś w chmurach się rozbija
Echo od dzwonka na Z d r o w a ś M a r y j a.

VI.

Robocze lato wyzwalało nas z domu.
Po ukraińsku rozrosło się żyto;
Kłós z niebem gada i chleba obfity,
Tylko pracować i jeść niema komu.
Kilka starsuszków — ot cała drużyna:
Dziad chce pracować, lecz mu ręka mdleje,
Tylkoby śpiewał godzinki za syna,
Lub przypominał starodawne dzieje;
Kilku młodzieńców, co niby to skoro
Rwą się do pracy, by rozerwać serce,
Ale na polu do kółka się zbiorą,
Gwarzą o bitwach, mundurach, żołnierce.
A pora schodzi — przeminął czas suszy,
Mgłami jesieni powlokło się słońce.
Zboże nieżżęte sypie się i kruszy,
Trawy stwardniały i zeschły na łące;
Ledwie gdzie niegdzie wytykają głowy
Kopice siana lub mendle zbożowe.
Nastała jesień, cały plon się kwasi,
I tak zmarniała całoroczna praca.
A gdzie pan hrabia? gdzie rycerze nasi?
Nie masz i wieści, gdzie kto się obraca.
Nastała zima o niezwykłej porze,
Pan Bóg na ziemię zagniewał się biedną —
Śniegi głębokie wypadły na dworze,
W białej zawiei i świata niewidno;
A mróz ognisty z jesieni jak chwyci,
To trwa do wiosny ku ludzkiej zagubie;
Niejeden zginął i w rysiowej szubie,
A cóż nędzarze łachmanem okryci?

Włóczą się wszędy i o każdej chwili
Przemarzłe dziady, żołnierze, żydziska,
I częste wieści od pobojowiska:
Tu zbili jednych, tam drudzy pobili,
Owdzie wygrana, owdzie straszna klęska,
Owdzie pod tego, tam owego wodzą,
Z pod Borysowa, Możajska, Smoleńska,
Wieści po wieściach jak gromy dochodzą.
Jeden im wierzy, a drugi nie wierzy,
Lecz pełno westchnień, postów i pacierzy,
Codzień pod kościół ciśnie się gromada,
Modli się z płaczem i ofiary składa.

VII.

W początkach Adwentu, o szarej godzinie,
Do naszej chałupy zeszła się gromada,
I wkoło zasiadłszy przy ciepłym kominie;
Ten szczepie łuczywo, ten wzdycha, ów gada;
Mój ojciec przy oknie, w płóciennnej opończy,
Sieć wiąże na ryby i pacierz swój kończy.
A był to czas mroźnej zamieci i słoty —
Wiatr silny — aż ściany łamią się i trzeszczą,
A wichur śnieg skręca i składa w sumioty,
I świszczę w kominie piosenkę złowieszczą.
Wtem drzwi się rozpadły: ktoś zziębły, wąsaty,
Przy szabli i w burce wtoczył się do chaty.

Przeraził nas wszystkich ten napad z nienacka,
Wiadomo, jak w wojnie żołnierze zuchwali;
Czy banda westfalska, czy sotnia kozacka,
Zrabuje, spustoszy, a może i spali.

— Niech będzie pochwalon! — zawołał przybyły.

— Na wieki i Amen! — odrzekła gromada.

Ot jakoś nieznacznie przybyło nam siły:

— Kto chwali Chrystusa, kto tak do nas gada
Nie może być rabuś, — rzekł ojciec spokojnie.

Ot dzięki Ci, Boże, są wieści o wojnie! —

I zatknął u pasa święcone paciorki

A żołnierz śnieg otrząsł z kaszkieta i burki,

I z lodu ocisnął namarzłe wąsiska...

To Stefan — to brat mój... Z pochmurnem obliczem
Podbieżał do ojca, kolana mu ściska,

I wita się z nami — my bieżym i krzyczym,

Witamy, ściskamy, radością wzruszeni:

— No, cóż tam? jak idzie? jak się wam powodzi? —

Tysiące zapytań, jak z procy kamieni,

Rzucają z pospiechem i starzy i młodzi.

— Źle idzie — rzekł Stefan — skończyła się praca,

Już nasze rojenia minęły, uciekły;

Już Francuz w cieplejsze krainy powraca,

Przemarzły, przelekły, pobity i wściekły.

Bóg z nimi, mój ojcze! ja u was w gościnie,

Konika popasę i ruszam z kopyta:

Za Wisłą, za Niemnem, na cudzej krainie,

Być może, że słońce nam jeszcze zaświta.

O! wtedy to z hrabią rachunek uczynim —

On stchórzył na polu, gdzie ogień się krzesze,

Porzucił nas wszystkich, co byliśmy przy nim,
Zaprzagnął Paryża i powiózł depesze,
I zółd nasz zagarnął na domiar swej zbrodni.
Ej hrabio, nie ujdiesz pałasza lub kija!
My tutaj krew lejem i głodni i chłodni,
A waszeć w Paryżu gdzieś winko popija!
Jedź z Bogiem, pij z Bogiem wesoly i zdrowy,
Nie zginiem bez ciebie, kochany sąsiedzie!
Nas wzięto po pułkach — a szlachcie z Podkowy
Ze strzelbą czy z lancą nieźgorzej się wiedzie,
Bo Pan Bóg nad nami litować się raczy.
Zwyczajnie jak wojna — wszelako się zdarzy:
Piotr został raniony od piki kozaczej.
Jan krzyżyk otrzymał za wzięcie bagaży,
Franciszek w szpitalu, bo rąbał się szczerze,
(Nie lękaj się ojczy, nie będzie kaleką),
Mikołaj kapralem przy głównej kwaterze;
O reszcie ja nie wiem, bo pułki daleko.
Dziś idziem do Niemiec, choć pędzą za nami,
Posłyszycie wkrótce nowiny rozgłosne.
A śladem za wieścią my do was, my sami,
Z jaskółką, z bocianem powrócimy na wiosnę. —

VIII.

Ale wiosna nie chybia, jak człowiecza dola.
Przyszło cieplejsze słońce, śnieg otopniał z pola,
Strumień otrząsł się z lodu i swobodnie płynie,
I bocian zaklekotał... ot na tej olszynie!
I przyleciała czarnych jaskółek gromada,
A każda coś szczebiocze, każda rozpowiada...
Któż tam, proszę, potrafi dowiedzieć się od niej?
Może pokłon przynosi z krainy zachodniej?
Ale gdzie tam... dla Boga! — och! ku naszej strzesie
Czarny kruk chyba z wojny wiadomość przyniesie,
I rozpowie krakaniem żarłocznego gardła;
Matka głos ten pojęła, i szatę rozdarła.
I załamała ręce... Serce matki zgadnie,
Choć wojna za górami, gdzie kula upadnie.
Sprawdził się przestach ojców i matek w Podkowie,
Sprawdziło się, co czarni krakali krukowie:
Bo wszystka niemal młodzież, cała nasza siła
Gdzieś w niemieckiej krainie głowę położyła;

Kilku jeno wróciło poranionych srodze,
Z krzyżykami u piersi, na drewnianej nodze,
Lub na szczudłach żebraczych. Mała z nich usługa,
Okaleczały ręce niezdolne do pługą,
Młode jeszcze, lecz kulą zgruchotane barki
Nie podźwigną ciężaru chatniej gospodarki.
Stary ojciec i matka! to cóż, że wy starzy?
Idźcie na chleb pracować dla biednych nędzarzy, —
Nie każdemu sądzono w jednostajnej mierze
Wypoczywać na starość, szeptać pacierze.
Ojciec, bierz się do pługą, matka, idź do żniwa,
Pracujcie i na syna, co z ran dogorywa,
I na czynsze, dworową zakreślone kartą,
Aby wam w dzień zimowy okien nie wydarto.

— Co tam czynsze? wszak hrabia powrócił już, słyszę,
Wspomni na swojej broni wierne towarzysze —
On niegdyś grosz ich zabrał, dziś w potrzebnej porze
I młodych pożaluje, i starych wspomóże. —

Tak starcy, pocieszając swój frasunek srogi,
Powlekli się do zamku żebrzeć zapomogi.

IX.

Zajrzyj do ula ciemnego kąta:
Jak się rój cały przy matce krząta,
Jako tam w roju z życzliwych dzieci
Jedno drugiego w pracy wyściga.
To niesie matce balsamy z kwieci,
A drugie wody kropelkę dźwiga;
Każde się krząta, ile sił starczy,
A matka wie, gdzie ład gospodarczy.
Tak szlachcic czynszem, a kmiotek znojem
Karmią i poją dziedzica ziemi
Żeby on za to czuwał nad nimi,
Jak matka pszczelna czuwa nad rojem:
Żeby miał litość dla naszej biedy,
Gdy się o litość poprosić zdarza, —
Żeby przynajmniej kiedy niekiedy
Choć dobrem słówkiem wspomógł nędzarza...
Lecz nasze pany to taka matka,
Co tylko miody ssie do ostatka!
A kiedy chciwość wstąpi mu w oczy,
Przed zimą wygna swój rój roboczy.

Więc nasi starcy, pocziwe dusze,
Przyszli do zamku w dobrej otusze,
W dobrej otusze weszli do sali
I za kolana hrabię ściskali.
A gdy się z płaczem boleść przekłada,
Gdy proszą wesprzeć ich biedne siły,
Przerwał im mowę ptaszek nielada,
Pański służebnik z Niemiec przybyły;
Zwał się A g r o n o m (Bóg wiedzieć raczy,
Czy to nazwisko, czy urząd znaczy).
Rzekł do hrabiego: — O! w tej Podkowie
Widziałem jadąc wyborne zboże;
Kiedy nie płacą szlachta panowie,
Wygnawszy szlachtę, folwark założy.

— Zgadzam się na to — odpowie hrabia —
Piękna posiadłość z tego się skleci...
Wypędzić szlachtę, wszak grunt obrabia
Bez żadnych nadań i przywilei.
Wypędzić szlachtę! Aspan w tym względzie
Trafiłeś całkiem po mojej chęci;
Przynajmniej nadal szkody nie będzie
W lasach, na polach i sianożęci.
Tak! idźcie z Bogiem, panowie moi,
Wasze sąsiedztwo w gardle mi stoi! —

Szlachta jęknęła: — Za cóż nam, za co
Nie dają spocząć w ojców mogile
Tu każdy zagon spulchniło pracą,
Oblało potem pokoleń tyle!
Wszak my i w wojnie, wszak my i doma
Biegli na każde pańskie skinienie,
Wierność szlachecka była wiadoma
Od pokolenia na pokolenie;
Niech naszych przodków poświadczą kości
I te portrety przodków waszmości.
Cofnij się, hrabio, w swoim zamiarze,
Nie daj się uwieść namową zdrađną,
Bo za nieludzkość Pan Bóg pokarze,
Bo ci łyż nasze na głowę spadną! —

Tak uroczyście, wznosząc ramiona,
Zawołał głośno najstarszy z grona.
Hrabia się gniewnie nasrożył za to,

A pan Agronom, co bliżej stoi,
Znieważył starca trzcina sękatą
I wygnał za drzwi z pańskich podwoi.

X.

I wypchnięto nas z gruntów rękami przemocy...
Zawitał święty Jerzy w sam dzień Wielkiejnocy,
Gdyśmy zdrowi i chorzy i starzy i mali,
W kaplicy Alleluja radośnie śpiewali.
Któż z nas nie zna tej chwili obfitej rozkoszą,
Gdy z rzewnego wesela aż piersi się wznoszą,
Kiedy dzwony podają uroczyste hasło,
A jeszcze na cmentarzu ognisko nie zgasło?
Lud się ciśnie z kościoła, jak mrowie z mrowiska,
Wszyscy się pozdrawiają, brat brata uściska,
Wszyscy serca z sercami, rękę splekli z ręką,
A skowronek drze piersi radosną piosenką;
Wiatr cię nawet świąteczny uściskiem ogarnie,
Serce ani poczuwa, że idą męczarnie.

Rankiem było na niebie i w sercach różowo,
Wieczorem czarne chmury zwisły nad Podkową:
Oto groźni spojrzeniem a strojem wytworni,
Konno lecą pod kościół pacholćkowie dworni,
Na czele pan Agronom. Ten z karty nam czyta,
Że dzisiaj święty Jerzy i z dzierżawy kwita,
Że grunt nasz już zajęty we dworskim obszarze,
A pan hrabia nam dzisiaj precz wyruszyć każe.
Szlachta gwarno zawrzała: — Krzywda i sromota! —
Lecz hałastra: — Precz! — krzyczy i kijmi nas
Straszy końmi niewiasty i obala dzieci, [grzmota.
Jęk, płacz, jakby w dzień sądu, pod niebiosą leci,
Miesza się z echem dzwonu, ściela się po ziemi;
Starzy zaleli oczy łzami gorącemi,
Oczy żarem błysnęły — a stara i śmiała
Krew szlachecka ukropem w sercach zakipiała.
Mój ojciec siwą czapkę nacisnął u czoła:
— Bij, kto pocziw! — grzmotliwie do swoich zawoła:
I wnet tłumią się w ciżbę bliscy i dalecy,
Starczy ujęli kije, a szczudła kalecy,
I zakipiał bój wściekły; ale trudna rada —
Niemiec uciekł i wrócił, z nim chłopów gromada.
Rzucili się na chaty służalcy zuchwali,
Brzękły okna, sprzęt chatni na dworzec się wali,

Wyganiają dobytek, pastwią się siepacze,
Trzoda ryczy, dzwon jęczy, ciżba niewiast płacze...
Trudno pokonać siłę — więc starzy dokoła
Zbierają się i radzą. Jeden z nich zawoła:

— Oj! piersiami nie przeprzeć, kędy woda płynie!
Sądzono nam na starość iść po żebraniu,
Idźmy, ładujmy wozy i zabierzmy dzieci;
Nie nad samą Podkową słońce Boże świeci.
Na ziemi dobrzy ludzie przygarną nam głowy,
Na niebiosach jest Pan Bóg i grzmot piorunowy.
Oj, te odwieczne grunta, te zielone pasze,
Kaplica naszych ojców i te domy nasze!
Tutaj serce przyrosło... ależ w czarnej doli
Na co wróg ma się cieszyć, że nas serce boli?
Na złość sercu, po męsku, ot tak, w jednej chwili,
Niech i śladu nie będzie, żeśmy tutaj żyli! —

Starzec otarł swe oczy roziskrzzone śmieie,
Whiegl na cmentarz, gdzie ogień tlał jeszcze w popiele,
Rozdmuchał czarną głównię i silnym zamachem
Rzucił ją na kaplicę ze słomianym dachem —
A ciżba przerażona jeno patrzy zdala,
A starzec wybiegl z ogniem i strzechy zapala.
Wiatr się wzdyma, zahuczał, skręca się nad jarem.
Ogień dymi się, czai i buchnął pożarem.
Trzeszczą belki i krokwie pod słupem ogniska,
Chałupa po chałupie w głównię się rozpryska,
Nikt pożaru nie gasi — bo nasza gromada
Krząta się koło wozów i tłumoki składa,
I ucieka z pożaru — a dworna czereda
Nie troszczy się o pożar, bo mu rady nieda.
I ogień coraz słabszy, coraz niżej błyska,
Sterczą kominy z cegieł i stos popieliska,
Sterczą zwęglone drzewa, i jeno do góry
Wspina się kolumnami dym czarny i bury,
I jeno czarny obłok, jak chusta grobowa,
Rozciąga się nad miejscem, gdzie stała Podkowa.

XI.

A mieszkańcy Podkowy za lasem daleko,
Pan Bóg wie, dokąd się wleką —
Dym rodzinnego zgliszczu rozciąga się torem
Za ich sierocym taborem

I głowę ściska holem i przegryza oczy,
Aż łzę z pod serca wytłoczy.
Trzody ryczą, a wozy obarczone srodze
Skrzypią po gleistej drodze.
Mąż smutnie zwiesił głowę, a niewiasta kwili,
Żeśmy zły pory dożyli.
Gdzie się biedni przytulim? oto noc się zbliża...
Chyba pod ramiona krzyża,
Który stoi w równinie i trochę wesela
Biednemu sercu udziela. —
Zatrzymaliśmy wozy, i przed krzyżem z drewna
Kłękła gromadka niepewna,
I piosnkę Alleluja w cześć Wielkiej Niedzieli
Wszyscyśmy sercem huknęli.
Och! tę samą piosenkę jeszcze dzisiaj rano
W naszej kaplicy śpiewano!
Któżby wtedy powiedział, że w wieczór zapłaczem
Nad naszym życiem tułaczem?
Że domy i kaplica i wspomnień tak wiele
Zginą w pożarnym popiele?...
Lunął deszczyk wiosenny — jego święta władza
Zbolałe serca ochładza,
I słońce się przedarło z za obłocznej ściany,
Świat jakby złotem oblany, —
Krzyż zabłysnął, i świętem miłosierdziem płonie
Chrystus w cierniowej koronie!
A nadzieja na każdej zjawiła się twarzy,
Że Pan Bóg wesprze nędzarzy.
Zmówiliśmy pacierze, i siadłszy w oddali,
Chleb wielkanocny łamali,
I spożyli baranka na ucztę ostatnią,
I pożegnali się bratnio.
Cztery drogi rozstajne schodzą się przy krzyżu —
Jeden miał krewnych w pobliżu,
Drugi miał nieco groszy, więc ruszył na wzwiady
Gdzieindziej szukać posady,
Trzeci strzelał bez pudła, więc przy jakim dworze
Myśliwcem zrobić go może...
Inny z nabożną książką kędyś przy plebanie
Może dzwonnikiem zostanie
I będzie uczył dzieci... Tak radząc się w tłumie,
Każdy przypomniał, co umie.

I poszli w cztery strony Podkowanie biedni
Pracować na chleb powszedni.
Tylko starzec bezdzietny, co w ciężkiej chorobie
Oślepnął na oczy obie,
I młodzian, w bitwie lipskiej porąbany srodze,
Siedli pod krzyżem przy drodze,
Czekając dobrych ludzi, którzy, idąc drogą,
Żebraków chlebem wspomogą.

XII.

Hrabia z dwornemi złączył nasze pole
I gospodarzy jako tylko może.
Czasem i piękne udało się zboże,
Lecz z niego nie miał korzyści w stodole;
Bo jakaś klątwa, czy Boża niełaska,
Nie da mu z cudzej pożytkować pracy:
Jednego roku grad kłosy potrząska,
Drugiego roku podgryzą robacy;
Czasem już żniwo i do sterty zwali, -
To grzmotnie piorun i stertę zapali.
I bujno łąki zarastają nasze,
Lecz deszcz ich kosić i zebrać nie dawa;
Hrabia je kazał obrócić na paszę,
Lecz jadowita znalazła się trawa.
Gdzie były chaty, gdzie miejsca cmentarne,
Lęgną się węże i gadziny czarne.
Sumienie przecie skruszyło dziedzica,
Zrozumiał przecie, że to niebios plaga:
Na starem miejscu, gdzie stała kaplica,
Zmurował kościół — i to nie pomaga.
Przypatrzył się jeno tym gruzom kościoła:
Tu grom niebieski powyszczerbiał mury,
Na dachu krokwie niepokryte zgola,
A tylko w drzewie dzwonek sygnatury;
Kiedy się wichur rozhuła po błoni,
Dzwon się kołysze i ponuro dzwoni.

Tak gdy Podkowa przyszła ku zagubie,
Boskie przekleństwo ściga ją okropnie —
Biada, gdy bydło tu trawy uskubie,
Biada człekowi, co tu wody żłopnie!
Gdy kto nieświadom zbłądzi w to bezdroże,
Musi przypłacić lub życiem, lub zdrowiem,
I hrabia uznał dopuszczenie Boże,

Kazał to miejsce zostawić pustkowiem,
 Zaorać drogę i posadzić człeka,
 By tedy stopa nie przeszła niczyja;
 I lud tutejszy trwożliwie ucieka,
 Przychodzień miejsce zakłęte omija,
 I nasza stara podkowieńska niwa
 Dziś Uroczyskiem Pomstą się nazywa.

XIII.

Póki szlachta z zaścianków, święte przodki moje,
 Byli panom potrzebni na sejmy i boje,
 Głaskali nas, poili w uprzejmej postaci,
 I nosiliśmy inię: miłościwych braci.
 Minęły stare czasy, a wśród różnej zmiany,
 I braterstwo, i miłość zapomniały pany.
 Czytasz z pańskich postępków i na pańskiej twarzy
 Pogardę i szyderstwo z herbowych nędzarzy.
 Staroświeckiego szczęścia nieznaczno ni śladu
 Oj panisko! złe lata!...

PODRÓŻNY.

Daj pokój, mój dziadu!
 Wy będziecie na świecie potrzebni na nowo,
 Nie na sejmik z pałaszem, lecz z piórem, lecz z głową.
 Świat — to szerokie pole; pełno na nim chleba;
 Tylko uczyć się trzeba i pracować trzeba,
 Wydobywać hart duszy, co śpi w poniewierce,
 A herbem szlachetności wypiętnować serce...

Bywało, nasza szlachta, czy w wojennej chwili,
 Czy rozprawia na sejmie, czy puhar wychyli, —
 Znał ją świat i podziwiał potęgę olbrzymia.
 Dzisiaj, gdy wojen, sejmów i puharów niema,
 Niech nasz umysł u świata na podziw zasłuży.
 Bądź zdrów, panie Podkowa!

ZEBRAK.

Szczęśliwej podróży!

ŻEBRAK-FUNDATOR.

♥ GAWĘDA KLASZTORNA.

I.

Z torbą na plecach, w wypłowiałej kurcie,
Dziad siwobrody, schylony przez lata,
Staął pokornie przy klasztornej furcie
I drżącą ręką we dzwonek kołata.
Stary kapelusz cienił starą głowę,
Na czarnym sznurku wisiały u szyi
Krzyż Chrystusowy i medal Maryi,
A u popręgi paciorki bukowe.
Żebak czy pielgrzym? — a któż jego zbada?
I któżby zresztą troszczył się o dziada?

Starzec we dzwonek furciany kołata.
Była to furta bernardyńskiej braci —
Snaż musi pomnieć staroświeckie lata.
Snaż i ojcowie tutaj nie bogaci.
Klasztor i kościół budowane z drzewa,
Czasy Witolda pamiętają pono;
Ściany się trzęsą, kiedy wiatr powiewa,
Dachy słomiane zakwitły zielono,
Przy starych ścianach rozrosły się chwasty,
Szorstka pokrzywa i oset kolczasty.
Starzec za sznurek pociągnął po trzecie,
Rozbity dzwonek gdzieś głucho kołata —
Wreszcie ktoś idzie — otwarła się krata —
Odźwierny spytał: A czego tam chcecie?
Dziad się pokłonił, aż brzękły u szyi
Krzyż Chrystusowy i medal Maryi.

II.

I rzekł: — Niech będzie Jezus Chrystus pochwalony!
Oto do miejsc cudownych wybrałem się w drogę,
Ślubem po żebraniu obchodzę te strony,
Ale głodny, schorzały, dalej iść nie mogę.
Mam moje święte wota, chcę czynić im zadość.
Ale cóż? stare nogi nie służą mi sporno,
Stare kościska bolą... ej! starość nie radość;
Ojcowie! chcę gościny za furta klasztorną,
A za dzionek, za drugi, orzeźwiwszy duszę,
Powiem szczerze: Bóg zapłać, i dalej wyruszę.

A może tutaj umrę, no! to zawsze lepiej
Umrzeć w świętym klasztorze, niż na drodze pono;
Przecie kapłańska ręka powieki zaskłępi
I trupa choćby wodą pokropi święconą.
Ojcze! powiedz starszemu, że tu dziad w podróży
Prosi o miszkę strawy i schronienie skromne;
A za to, czyli umrę, czy żyć będę dłużej,
Nigdy w moich modlitwach ojców nie przepomnę.
Uczynność nie stracona — wszak wiesz ksiądz do-
[brodziej,
Kiedy żebrak przychodzi, sam Chrystus przychodzi;
Kropla wody, co podasz ze szczerego łona,
Na sądzie ostatecznym będzie policzona! —

III.

Dziad się pokłonił, aż brzękły u szyi
Krzyż Chrystusowy i medal Maryi.
Odźwierny fuknął: — A tóż co się znaczy?
Nie dobrześ trafił, morałów twych szkoda;
Tu klasztor księży, nie szpital żebraczy,
Ani zajezdna żydowska gospoda;
Tu niemasz chleba i kątka dla ciebie,
U nas ciasnota i ubóstwo wszędzie,
My sami żyjem o żebranym chlebie;
Ruszał stąd, dziadu, nic z tego nie będzie!
A zresztą... zostań, odpocznij za bramą.
A ja się dowiem do starszyńskiej celi,
Możeć jałmużny gwardjan udzieli —
Lecz pewien jestem, że powie to samo. —
I tak odźwierny z niechęcią na twarzy
Odszedł i zniknął w głębi kurytarzy.

Wkrótce powrócił: — Mówilem za pewno,
Że się nie wncisz pod klasztorne szczyty;
Ksiądz przełożony ofuknął mnie gniewno:
Czy my bogacze? czy my jezuitę?
Czy widzą u nas pałace w klasztorze,
Że się włóczęgi chcą wncęć bez pracy?
Na nas poddaństwo nie sieje, nie orze,
Sami jesteśmy w Chrystusie żebracy!
Dziad, mówisz, chory — umrze gdzie pod progiem,
To nowy kłopot, chować go potrzeba.
Dajcie mu piwa i krajanek chleba,
I niech co prędzej wynosi się z Bogiem. —

Tak rzekł odźwierny i z sobą coś radzi.
W środek klasztoru żebraka przyzywa,
I dał mu w izbie klasztornej czeladzi
Krajanę chleba i szklanicę piwa.
Dziad się orzeźwił — i z bożego domu
Wyszedł pokornie cieniem kurytarzy,
I siwym wąsem mrugał pokryjomu, —
Czy to był uśmiech, czy boleść na twarzy?
Potrząsnął głową, aż brzękły u szyi
Krzyż Chrystusowy i medal Maryi.

IV.

Pokulał w miasto — o kroków niewiele
Stała kaplica drewniana i niska,
Z cmentarza brzydkie oczyszczono ziele,
Na dachu krzyżyk jak gwiazda połyska;
Kapliczka nowa, skromna i chędogą,
Że gwałtem pragniesz modlić się do Boga.
Tuż przy kaplicy stoi domek cichy,
Na dachu krzyżyk a u okien kraty,
Znać, że i tutaj zamieszkały mnichy,
Znać, że i tutaj zakon nie bogaty.
Nad furta obraz: wielkimi rozmiary
Skreśleni więźnie, księża i Tatary.
Starzec uklęknął i uchylił głowę;
Snadź do modlitwy zapalony szczerze,
Odpiął od pasa paciorki bukowe,
Bije się w piersi i liczy pacierze;
I słońce zaszło, i ciemno na dworze,
A starzec jeszcze z Bogiem w rozhovorze.

V.

Wtem ktoś mu rękę na ramię położy.
Dziad się obejrzał: oto kapłan przy nim —
Ubrany biało, jakby Anioł Boży,
Krzyż ma na piersi purpurowy z sinim.
— Wybacz mi, dziadu, żeć przerywam modły.
Znać, że odbywasz pielgrzymkę pobożną,
Lecz kiedy ciebie losy tu przywiodły,
Wiedz, że przed nocą odejść stąd nie można.
Nie tobie ziębnąć na wieczornym chłodzie,
Nie jesteś młodziak, krew ci się nie żarzy,
Nie szukać kąta w żydowskiej gospodzie,
Gdy masz pod boki klasztor trynitarzy.

Z łaski Najwyższej, choć dostatków niema,
Lecz nie jesteśmy ubodzy i głodni,
Znajdzie się szklanka wina dla pielgrzyma,
Znajdzie się kątek na noc dla przychodni.
Chodź za mną, stary! dam ci w szczupłej celi
Misę pokarmu i siennik pościeli. —

Dziad się pokłonił i szepnął nieśmiało:

— Ej! chciałbym spocząć we schronieniu świętem!
Miałem już dzwonić, lecz męstwa nie stało,
Człowiek w łachmanach nie chce być natrętem.
Wszak klasztor szczupły, jako z wierzchu baczę,
Och, dobry księże! nieśmiałość mię bierze:
Gdzieby tam miejsce na szmaty zebracze?
Gdzieby tam waszą objadać wieczerzę? —

Ksiądz się ofuknął, i podnosząc ręce:
— Boże! zawołał co ten człowiek plecie?

Myż trynitarze, wykupując jeńce,
I wzdłuż i w poprzek włóczym się po świecie;
Toć w Turecczyźnie i w tatarskim Krymie,
Kiedy obaczą, żeś pielgrzym z daleka,
Proś o gospodę w Chrystusowe imię.
Dadzą ci miskę kobyłego mleka;
A tu, mój bracie, przecie nie Tatary,
Lecz klasztor polski, co w Chrystusa wierzy!
Niema co gadać, chodź ze mną, mój stary,
Resztę modlitew skończysz po wieczerzy. —

Dziad się pokłonił, aż brzękły u szyi
Krzyż Chrystusowy i medal Maryi.

VI.

Nocował z bracią, a nazajutrz rano
Nie poszedł w drogę. Dni za dniami biega,
Dziad nie odchodził, bo i niema czego,
Gdy mu tak dobrze za kratą furcianą.
Pod bokiem kościół, — korzystając z pory,
Starzec się modli od samego ranka,
Dalej obiadek, a dalej nieszpory,
I przyjacielska z ojcy pogadanka.
Ma czysty siennik i wygodną celę,
Ma w refektarzu swój stolik, gdzie jada;
Nawet w drewnianym i szczupłym kościele
Jest wedle kruchty ławeczka dla dziada.
Tydzień i drugi dziad bawi z rozkoszą,

Lecz być natrętnym nie wypada dłużej;
Jużby i poszedł, lecz go księża proszą:
— Pozostań, starcze! wypocznij z podróży! —
I tak do siebie przywykli nawzajem,
Że kiedy przyszło pożegnanie rzewne,
Dziad się nie kłaniał żebrackim zwyczajem,
Lecz ścisnął ojców jakby swe pokrewne —
Przełożonemu oddał ze swej szyi
Krzyż Chrystusowy i medal Maryi.

VII.

Dziad powędrował — i wieść przepada,
I zapomniano starego dziada.

Aż oto... minął miesiąc nie dalej,
Pańska karoca po bruku pali,
A za nią wozów ładownych w zboże
Wąska ulica objąć nie może.
Strojny w bogate z futrem czamary,
W karocy siedzi pan jakiś stary.
On skinął ręką i wozy staną
Przed trynitarą furta drewnianą;
Pan wysiadł z wozu, i przed kościołem
Zdjawszy swój kołpak, uderzył czołem,
A jako dobrze świadom tej strony,
Poszedł do celi, gdzie przełożony.
Widząc, że postać tak znakomita,
Ksiądz przełożony u progu wita.
Prosi do celi, jeżeli łaska;
Pan się uśmiecha i brodę głaska:

Ej, dobry księżu! czyż w nowej szacie
Starych znajomych już nie poznacie?
Patrzaj — jaż przecie żebrak ten samy,
Coś z przed kościelnej przywiódł mię bramy,
Coście tak długo, ojcowie mili,
Chlebem karmili, winem poili;
Dziś znów przychodzę do was gościna,
Lecz niosę z sobą mój chleb i wino,
I was zapraszam do mego stołu;
Co Bóg udzielił, jedzmy pospołu,
A co zostanie, użyjem godnie:
Zjedzą ubodzy albo przychodnie! —

Ksiądz przełożony patrzy ciekawie,
Nie wie, czy we śnie, czy to na jawie,

Nie śmie zadawać pytań starcowi.
Ten się uśmiechnął i dalej mówi:

VIII.

-- Nazwisko moje: Paweł Majkowski,
Bóg mię na długie błogosławił lecie,
Mam piękny dworzec, przy nim cztery wioski,
Miłość u ludzi i urząd w powiecie.
Byłem szczęśliwy wpośród dziatwy grona,
Lecz sądów Bożych nikt nie zna, nikt nie wie;
Umarła dziatwa, umarła mi żona,
Zostałem jeden, jako liść na drzewie.
Gdy drodzy sercu, gdy zmarli jedyni,
Tęskno mi było w mym złożonym gmachu;
Jęczałem smutnie, jak ptak na pustyni,
Jako kruk nocny, co czuwa na dachu.
Irzekłem w duchu: „Dopomóż mi, Panie!
Dolę, niedolę złożyć w Twoje ręce,
Niech dusza moja spokojną zostanie,
Na chwałę Twoją nie włości poświęcę!”
Bóg mię wysłuchał w utrapieniu mojem
I duszę świętym nawiedził spokojem.

A więc skwapliwy ze śluby mojemu,
Przed Sakramentem przysiągłem w kościele,
Grosz mego skarbcza i majątek ziemi
Oddać na dobre dla ludzkości cele:
Na jakiś zakon, co w świętej pokorze,
Z otwartem sercem jako Zbawca stoi,
Pełni nad bliźnim miłosierdzie Boże,
Łaknących karmi, pragnących napoi,
Co garnie ludzi, jako Chrystus dzieci,
Słabych umocni, a ciemnych oświeci.

Jest pełno mnichów, wszystko nie bogaci,
Wszyscy gorliwi i święci być mogą;
Jak zrobić wybór między tylu braci?
I kogo wesprzeć moją zapomogą?
Więc jałem czytać zakonnicze prawa,
I patryarchów klasztornych statuta;
Widzę, że wszędzie zbawienna mistawa,
Jeśli występkiem ludzkim nie popsuta.
Jakiż tu wybór i różnica jaka?
Duch święty środek poszepnął mi na to:
Przywdzieję szmaty prostego żebraka,

Sam się przekonam za klasztorną kratą,
Gdzie ludzie bardziej w zakonie zupełni?
Kto piękniej cnotę miłosierdzia pełni?

IX.

Więc z kijem w rękę, w żebraczej odzieży,
Szedłem do miasta w pokornej postaci;
Zliczyłem krzyże od kościelnych wieży,
I zapukałem do najpierwszych braci.
Ojcze, szanując, ich sukienkę świętą,
Tego klasztoru głośno nie nazowę —
Dość, że mnie stamtąd zelżywie wypchnięto,
Gdym prosił chleba w imię Chrystusowe.
Poszedłem dalej — przed memi oczyma
Staął klasztorzek świętego Bernarda,
I tam do zbytku uprzejmości niema,
I tam mię gorzka spotkała pogarda,
Tylko mi dała ręka litościwa
Krajanek chleba i szklanicę piwa.

Tak mię to zimne przyjęcie odstrasza,
Że w waszą furtę nie pukałem zgola —
Tylko ukląknę, a uprzejmość wasza
Sama żebraka wzięła z pod kościoła;
Wyście mi dali ojcowską gościną
Chleb i gospodę, i serce, i wino.
Ślub mój spełniony — niech w waszym klasztorze
Zostanie moja posiadłość ojczysta;
Tu się wypełnia miłosierdzie Boże,
Tu z moich darów społeczność skorzysta;
Skorzysta więzień, co wykupu czeka,
Stary przechodzień i żebrak kaleka.

X.

Oto, mój ojcze, przyznany w urzędzie
Akt fundacyjny księży trynitarzy.
Ze czterech wiosek dostatecznie będzie
Przyjąć żebraka, kiedy się nadarzy,
I dźwignąć z muru kościelną budowę,
I monasteru kurytarze nowe.
Ja wszystek grosz mój składam w twoje ręce,
To będzie dla mnie starego na kaszę —
Bo ja się do was na gościnność wnęczę.
Dawny znajomy, wiem porządki wasze:
Dacie mi ciepłą choć małątką celę,

I w refektarzu stolik gdzie się jada,
 Nawet pamiętam, że w waszym kościele
 Jest wedle kruchty ławeczka dla dziada.
 Potem mię pogrześć będziecie łaskawi,
 Bo już przeczuwam swój kres niedaleki;
 Niechaj się co rok kilka mszy odprawi
 Za mego życia i w potomne wieki.
 A gdy z mych wiosek będziecie bogaci,
 Spełnić wam jeden warunek potrzeba:
 Złóżcie corocznie bernardyńskiej braci
 Beczułkę piwa i bochenek chleba;
 Bo oni w kuchni swego refektarza
 Chlebem i piwem przyjęli nędzarza.

XI.

Obok zamku, co stare przypomina dzieje,
 Murem obwiedzion kościół i klasztor bieleje.
 Tak tu święcie, tak cicho, że westchniesz z rozkoszą!
 W kruchcie siedzą żebracy, jałmużny proszą.
 Zapytaj ich, przechodniu, a każdy ci powie,
 Kto dał pierwszy początek ceglanej budowie:
 Że bogaty fundator w żebraczym ubiorze,
 Próbując gościnności, był w każdym klasztorze.
 Że zewsząd odepchnięty, choć kłaniał się nisko,
 Tu jeno chrześcijańskie znalazł przytulisko;
 Że przezeń trynitarze zostali bogaci,
 Że włożył obowiązek na zakonnych braci,
 By ojcom bernardynom, jako rok upływa,
 Składali bochen chleba i beczułkę piwa
 Że ten stary obyczaj aż dotąd się trzyma,
 Że dziś ojce gościnnie przyjmują pielgrzymą,
 By snadź bogaty żebrak, jeżeli się zdarzy,
 Nie powędrował dalej szukać trynitarzy.

7 grudnia 1850. Żalucze.

G R A B A R Z.

G A W Ę D A.

W kościele trumna — słyhać organy —
 I śpiew szpitalnych nędzarzy;
 A przy kościele grabarz wpół-pijany
 Wsparł się na rydlu i gwarzy:

— Poczeiwy rydel!... służy mi godnie,
Kopie tu żwirek i kopie;
Raz... dwa... trzy... cztery... przez dwa tygodnie,
Dwie jamy pańskie, dwie chłopie.
I teraz umarł ktoś od waszeci,
Tak mu sądzono — i basta!
Zostawił żonę, zostawił dzieci,
O biedna... biedna niewiasta!...
Co tam niewiasta? póki odwyknie,
Płacze i mówi pacierze;
Potem... filozof... jak człowiek łyknie,
To zdrowiej te rzeczy bierze.
Na przykład... ktoś tam schodzi ze świata —
Grabarz mu jamę otworzy;
Mniej jednym człekiem... zdaje się strata,
A może zresztą niezgorzej!?
Człowiek stworzenie Boskie rozumne,
Toć go nie pogrześć jak bydło.
Szpital za dzwony, stolarz za trumnę,
Za lampy, świece, kadzidło.
Ksiądz za msze święte, psalmy pokutne,
Grabarz, że kopiąc się trudi, —
Każdy grosz weźmie... śmierć — prawo smutne,
A z niej pożytek dla ludzić
Jeden coś traci... to drugi zyska;
Bo wszyscy — boża družyna.
A tam pod ziemią... trupie kościska
Gniją — zwyczajnie jak glina.
Na trupie dziecka wąż się obwije,
Mędrcom — szczur wlezie do ucha,
I gniazdo złoży, i mózg mu wyje,
W piersiach dziewicy — ropucha.
Ej! lzy się kręcą... lecz niema rady;
Nie tylko człeka, co z duszą,
Lecz Pan Bóg stworzył płazy i gady,
I oneż przecie jeść muszą.
A potem z trupa korzysta bliźni,
Bo zgnije trumna i koście,
A od zgnilizny grunt się użyźni,
I bujniej trawa poroście.
Czyż tylko trawa? Na złego grobie
Rosną pokrzywy i chwasty;

A dobry człowiek wyda po sobie
Jagódkę, kwiatek krzewiasty.
Lub piękne drzewko wyskoczy hożo, —
Więc idzie korzyść koleją...
Czasem tak bywa... cmentarz zaorzą,
A na nim żyto posieją.
I kupa kłosów urośnie z ziarnka...
Och! jak to słodko i ładnie?
Na piersiach ojca córka żniwiarka
Mendel zbożowy nakładnie.
To cóż, że cielsko zjedzą robaki,
Kiedy grób chleba przymnaża?
Boże, mój, Boże! gdyby zgon taki
Na przykład... dla mnie nędzarza!
Na chwałę Twoją niech idzie, Panie!
Com ja wycierpiał za młodu;
Teraz na starość w zdartej sukmanie
Ginę od głodu i chłodu.
Wczora tak słodko, tak miłosiernie
Cieszył mię pleban dobrodziej,
Że za łzy moje, za moje ciernie
Pan Bóg mię niebem nagrodzi.
Chcesz mię nagrodzić, Ojczy światłości?
Będę zapłacon obfito:
Niech z moich kości dla potomności
Wyrośnie kwiatek lub żyto.

1851. Załucze.

O SKARBCU ZAKŁĘTYM.

GAWĘDA GMINNA.

I.

Ma swe powieści prostota wioskowa —
A tak im wierzy, że przysiąc gotowa!
Kłamią starcowie, dokłamują młodzi,
I tak się gminne podanie urodzi;
Z ojca na syna, a z syna na wnuka
Idzie naprzykład taka banialuka:

Stał sobie zamek przed dawnemi laty,
Żył sobie w zamku kasztelan bogaty;

Znany po całym Wschodzie i Zachodzie,
Rąbał Tatarów jak zielsko w ogrodzie,
Zmurował kościół z miedzianemi szczyty,
Przy nim osadził ojce jezuity,
Sprawiał dla królów biesiady i łowy,
Wypędzał z gruntów sieroty i wdowy,
Z wielkimi pany żył za panie bracie.
Szlachciców chłostał na perskiej makacie,
Tysiąc mu chłopów uprawiało zboże,
I wielkie skarby zgromadził w komorze.

On żył — zwyczajnie jak ksiązę udzielny,
Umarł — zwyczajnie jak człowiek śmiertelny;
Śladem za dziadem i ród jego ginie,
I groźny zamek stanął w rozwalinie.
Marmur i cegła z wieży wyniosłej
Opadły gruzem i chwastem zarosły;
Po bastjonach, skąd grzmiała potęga,
Szczur się zagnieżdża i żmija wylega.
Bóg jeno tutaj przytułek naznacza
Na noc dla zbójcy, na dzień dla puhacza;
Słowem pustkowie!...

Nie całkiem pustkowie —

Spytaj się ludzi, a każdy ci powie:
Że pod gruzami, trzy sążnie od ziemi,
Jest loch zakuty sztaby żelaznemi,
A w lochu skrzynia zakowana młotem,
A w skrzyni skarbiec ze srebrem i złotem.
A na powietrzu, nad gruzami, nisko,
Sine i błędne pali się ognisko.

II.

Mówią o skarbcu i starzy, i młodzi.
Po całym kraju powieść się rozchodzi;
Zwiedzał to miejsce niejeden ochoczy,
I widział skarbiec na własne swe oczy,
Lecz brać nie można, bo w głębi pieczary
Jęczy duch jakiś czy pokutnik stary.
Twarz jego sucha, jakby trupia głowa,
W sobolą szubę i w kołpak się chowa;
Ma siwe kudły na brwiach i na brodzie,
Oczyrna strzela aż duszę przebodzi;
Iskrzą brylanty u jego kaftana,
Na piersiach zbroja srebrem żywirowana.

On jęczy jękiem żywego człowieka,
A przecie grobem czuć odeń z daleka;
Postać nieznana, krój szaty nieświeży,
Rdza na pancerzu, a pleśń na odzieży.

Brzęcząc w ogniwa rdzawego łańcucha,
Pies z całych piersi groźnym rykiem bucha,
Szczeka i warczy, i pilnuje wniście,
Z oczu mu patrzy krwawo i ogniście.
Niejeden z mieczem i szepcąc pacierze
Był tam w nadziei, że skarby zabierze
Lecz byle trafił na jaskinię czarną,
Grobowe jęki strachem go ogarną;
Brytan się rzuca na piersi, na ramię,
Zakrwawi ręce i oręż połamie,
Aż biedny śmiałek, nie mogąc dać rady,
Ucieka z lochu zraniony i blady.

III.

Mówią o skarbcu i starzy, i młodzi,
Po całym kraju powieść się rozchodzi ---
I mówił prymas do pobożnych księży:
— Niech egzorcyzmem piekło się zwycięży!
Śpiewajcie psalmy i uderzcie w dzwony,
Znać, że ów pieniądz na kościół sądzony.
O r a t e f r a t r e s! tę duszę coś boli;
Od mąk czyśćcowych modlitwa wyzwoli.
Zbrojny w modlitwę i święconą wodę,
Ja sam was, bracia, do zamku powiodę,
I skarb zabierzem. —

I oto kapłani
Wychodzą, w szaty świąteczne przybrani;
Choć po ich czołach pot ocieka zimny,
Biją we dzwony i śpiewają hymny,
Święcą zwaliska, i pełni popłochu,
Przy świetle gromnic tłoczą się do lochu,
I widzą postać zbrojnego widziadła —
Postać jęknęła i na twarz upadła;
Lecz kiedy prymas, za którym szło grono,
Siegnął rękoma, kędy skarb złożono,
Widmo powstaje, rękę mu odpycha,
Pies brzęknął w łańcuch i zawarczał z cicha.
Prymas nie wątpi, że strachy odegna,
Żegna upiora i upiór się żegna;

Świeconą wodą kropi go co chwila,
 Upiór się modli i głowę uchyla,
 Więc chrześcijanin... nie lęka się krzyża,
 Lecz trąca, kto się do skarbu przybliża.

Probują księży wszyscy po kolei,
 Śpiewają psalmy: „Miserere mei!”
 I upiór śpiewa, i ukłęką zdala,
 Jeno do skarbcza tknąć się nie dozwała.
 Jęczy, aż echo odzywa się w gmachu.
 Kapłani zbladli, umilkli ze strachu
 I przerażeni wybiegli z pod ziemi,
 A jęk grobowy ozwał się za niemi.

IV.

Mówią o skarbcu i starzy, i młodzi,
 Po całym kraju powieść się rozchodzi —
 I król zawołał: — Skąd ten postrach płonny?
 Ej, mości panie, podskarbi koronny!
 Znając odwagę waszą nieomylną,
 Wierności waszej polecamy pilno:
 Ruszaj do zamku! to sprawa ojczyzna,
 Rzeczpospolita na skarbie skorzysta;
 A jakieś widmo, co przestrasza księży,
 Mego rycerstwa pewno nie zwycięży. —

Więc uzbroiwszy i piersi, i głowę,
 Lecą pancerni w zwałiska zamkowe,
 Lecą w sto koni, na śmierć obojętni;
 Wesole echo po zwałiskach tętni,
 Mieczami brzęczą, a tu nuta żwawa,
 Bojowa surma serca im dodawa.
 Zsiedli z rumaków i w szykowej parze
 Tłoczą się w wąskiej i ciemnej pieczarze,
 Weszli do lochu — cofnęli się w trwodze...
 Widmo rycerza klęczy na podłodze.

Whiega podskarbi (a śmiały był dosyć),
 Każe rycerstwu cały skarb wynosić...
 Widmo spojrzało strasznemi oczyma,
 Wzniosło prawicę, do boku się ima,
 I z dzikim zgrzytem, coby wzruszył skały,
 Wyciąga z pochwy swój miecz zardzewiały.
 Zwarli się bojem — szczękła stal na stali,
 Trupie żelazo jakby ogniem pali,
 Rąbie pancerze i gruchoce kości,

A brytan skuty wścieka się ze złości.
Skacze rycerstwu na piersi, na ramię,
Zakrwawia ręce i orężę łamie;
Kto się posunie, już na ziemi leży,
Widmo zrabowało secinę rycerzy.

— Nie walczyć z duchem! wykrzyknęli starzy,
Nas nie przemogli Szwedzi ni Tatarzy,
Przemogło widmo, na jawie czy we śnie...
Trudno dotrzymać, gdy rażą boleśnie! —
Więc bladzi, we krwi, wybiegli z podziemi,
A jęk grobowy ozwał się za niemi.

V.

Mówią o skarbcu i starzy i młodzi,
Po całym kraju powieść się rozchodzi;
A lud się dziwi, że nie dany zgola,
Ni dla ojczyzny, ani dla Kościoła.

Jesienną nocą, sierota z pobliska,
Przyszła w ruinach szukać przytuliska.
Wicher się wkładał przez okna i szczyty,
Jęczał od gzymsów ceglanych odbity;
Puhacz wychylił ze strzelnicy głowę
I wydobywał jęki nadgrobowe.
Smutniej nad wichry, smutniej nad puhacze.
Młoda sierota narzeka i płacze:

— O ludzie, ludzie! niech Bóg nie pamięta!
Jestże na ziemi sprawiedliwość święta?
Rodzice zmarli, zgorzał dach mej chaty.
Czyha na cnotę złoczyńca bogaty,
Abym służyła za hańby narzędzie,
Zbrojne pacholki ścigają mię wszędzie!...
Muszę uciekać i tułać się z dali,
Kryć się od ludzi, by mię nie wydali.
Straszno mi w nocy! przypadłam bez znaku
Na grobie matki w cmentarnym sośniaku;
Ach! przed zbrodniarza dzikiemi oczyma,
Nawet na grobie przytuliska niema;
I tam mię ścigał — biegnę na bezdroże,
Te puste gruzы ocalą mię może;
Lecz przyjdzie jutro — ja wyjść stąd się boję.
Umrę od głodu — o losyż wy moje!
Za cóż ja, za co mam cierpieć tak srogo?
Nie mam na świecie nikogo! nikogo!

O! znam ja kogoś, co mi rękę poda:
Jemu dla biednej i życia nie szkoda!
On mię tak kocha, mnie przy nim tak miło.
Jeszczeby szczęście sierocie wróciło!
Lecz biednym myśleć o szczęściu nie wolno,
On sam na chleb swój pracuje mozolno,
Z pracy rąk jego wyżywienia czeka
Zgrzybiały ojciec i matka kaleka.

Och! marnych groszy gdyby choć niewiele,
Wnetbyśiny wiarę przysięgli w kościele,
Potem, gdzie oko, gdzie poniesie noga,
Na krajby świata uciekli od wroga.
W słomianej chacie, na ubogiej niwie,
Wiekby nam płynął, oj płynął szczęśliwie!
Bo niczem praca na polu lub w lesie,
Byle mieć szczęście, jako sercu chce się,
Mało co sercu! kiedy dola nie da...
Ot czeka hańba, albo gorzka bieda!
Wybierz, sieroto, dopóki masz porę —
Nie! ja śmierć głodną w tych gruzach wybiorę! —

VI.

Wtem zagrzemiał tętent donośny i długi...
To prześladowca ze swoimi sługi...
Sierota drgnęła i pełna popłochu
Tuli się w gruzy... i wpadła do lochu
I widzi skrzynię okutą w oddali,
Nad nią w powietrzu ognisko się pali,
Kłęczący człek w starej rycerskiej odzieży
I pies łańcuchem przykowany leży.
Twarz jego sucha, jakby trupia głowa,
W sobolą szubę i w kółpak się chowa;
Ma siwe włosy, grobem z niego wieje,
Lecz w oczach widać słodycz i nadzieję.
Skiął na skrzynię, potem na dziewczoję,
Jak gdyby mówił: „Zabieraj, to twoje!”
I wnet ze skrzyni, jakby cudu dzieło,
Rozpekły sztaby i wieko runęło.

VII.

Sierota w strachu zemdląła, upadła,
I słyszy we śnie, jakby głos widziadła:

— Owo te skarby we srebrze i złocie.
Ja przed wiekami wydarłem sierocie;
Lecz za tom srogą ukaran pokutą,
Bo serce moje do skarbu przykuto.
I po mym zgonie zostawszy upiorem,
Musiałem jęczeć i czuwać nad zbiorem.
Aż nim sierota cnotliwa a biedna,
Zabrawszy złoto, zbawienie mi zjedna.
Zabierz i módl się — bo jest wyrok Boży.
Że twa modlitwa niebiosą otworzy! —

Dziewczę się budzi — i patrzy, i słucha;
Zniknął już upiór, zniknął pies z łańcucha.
Jeno we skrzyni migocą się starej
Czerwone złote i białe talary.
Sierota klęka, i łzami zalana,
Zaduszne psalmy mówiła do rana,
Porankiem wyszła strwożona i blada,
Z płaczem, ze śmiechem swój cud opowiada.

VIII.

Zbiegli się ludzie pocziwi a prości —
Patrzą na złoto, lecz nikt nie zazdrości,
Szeptają owszem i młodzi i starzy:
— Dawny kasztelan ukrzywdzał nędzarzy.
Zgromadził wiele i srebra i złota —
To łyzy sieroce — niech bierze sierota! —

IX.

W niedzielę idą przed ołtarza progi
Biedna sierota i młodzian ubogi,
I świętych ślubów zaprzysięgli słowa,
I była huczna biesiada godowa. —
Zabrali skarbiec i świętym zwyczajem
Dziela się z Bogiem, bliźnimi i krajem,
Sypią jałmużny ku biednych potrzebie,
Murują kościół, że aż widno w niebie;
W kościele zasię modlą się co rana
Za wieczny pokój duszy kasztelana.
Rzeczpospolitej dali na usługi
Hufiec pancerny i jeden i drugi,
A co zostało, to jakoś się sporzy...
Żyli w miłości i w bojaźni Bożej.

X.

Mówią o skarbcu i starzy i młodzi,
W całym się kraju przypowieść rozechodzi, —
A gdy ją każdy powtarzał jak zdoła,
Doszła nakoniec do naszego siola.
By zaś w późniejszej nie zginęła dobie,
Ja wziąłem przed się utrwalić ją sobie,
I wedle ludzi statecznych rozmowy,
Spisałem wszystko rzetelnemi słowy.

25 lutego 1851. Załucze.

HETMAN POLNY.

GAWĘDA STARO-ŻOŁNIERSKA.

„Bo gdy doma lwami okrutnemi będzie-
cie, w potrzebie staniecie się jako na rzeź
owcami”.
P. Skarga.

I.

Poza pagórką, gdzie wioska stara,
Wojsko kwarciane czeka Tatara;
Bo jak ze szpiegów zrozumieć snadnie,
Hordzie w tych miejscach nocleg wypadnie.
— Hej! gdy zawita dziec hajdamacka,
Z poza pagórka wypaść z nienacka,
I broniąc niskie strzechy wioskowe,
Krymskich bandytów pobić na głowę! —
Tak już uradził plan całej sprawy
Wielmożny hetman polnej buławy.

II.

Lecz zabezpieczon w stalowej zbroi,
Nie zawždy rycerz Boga się boi.
Szlachta pancerna i ciurów tłuszcza
Oto po wiosce zagon rozpuszcza:
Rabuje bratnie chaty, śpichlerze,
Robocze woły rznie na wieczerzę,
Znieważa krasne dziewy wieśniacze,
I jeszcze bije, gdy kto zapłacze.
Jeno się śmieje z płaczów i wrzawy
Wielmożny hetman polnej buławy.

III.

A wtem pod wioskę nocną zaciszą
Naszli Tatarzy i jęki słyszą:

— Ej, niemasz Boga jak Allah w niebie! —
Po bisurmańsku rzekli do siebie:
— Snadź tu już goszczą nasi Tatarzy,
Sulejman-Murza od przedniej straży.
Niechże rabują, niech się ochocą,
Nam tu zajeżdżać już niema poco;
Dziś spalim zamek, gdzie wróg nasz krwawy,
Wielmożny hetman polnej buławy.

IV.

Na wiosce hula szlachta pancerna,
Na niebie gore łuna obszerna;
Hetman na niebo spojrział z oddali:
— Na koń, rycerstwo! mój dwór się pali! —
Lecz nim dobiegło rycerstwo hoże,
Wróg gospodarzył w hetmańskim dworze:
Zamek spalony, służba wyrznięta,
Żona gdzieś dźwiga tatarskie pęta...
Na zgłiszczach domu modli się łzawy
Wielmożny hetman polnej buławy.

1851. Żalucze.

WIEŚ LUBRANIEC.

FRAGMENT.

I.

Przy staroświeckim gęślowym rozgwarze
Wyśpiewam powieść z oddalanej chwili:
Na toż wezwani zostali gęślarze,
By dzieje ojców potomkom prawili.
Kronika szkielet przeszłości ukaże,
Pieśń z martwych wskrzesza, gdy trumnę uchyli;
Przeto choć prostej, choć ubogiej treści
Z piastowskich czasów słuchajcie powieści.

II.

„Cóż nam, spytacie, z owymi książętą,
Co siedem wieków jak próchnieją w grobie?

Pergaminowy, na kłamry zamknięty
Wolumen dziejów niech spoczywa sobie;
Szczepiąc przodków relikwiarz święty,
Oczy ku przyszłej wyteżamy dobie.
Cóż mamy cenić, zapaśnicy młodzi:
Wczorajszy zachód czy jutrznię co wschodzi?"

III.

Och, nie bluźnijcie! a uchylcie głowy!
Bo z piersi ojców i na ich kurhanie
Rośnie kłosa żytni i konar dębowy,
Chleb i osłona, i czoła ubranie;
Tu w szumie liści tajemnymi słowy
Szepcą ojcowie wnukom przykazanie;
Tu przeszłość siwa, zakopcona, śniada,
Młodej przyszłości rzewnie się spowiada.

IV.

Czerwona cegła lub piaskowiec szary,
Strzaskana baszta lub ściana w ruinie,
To życia ojców zagrobowe mury:
Tu były twierdze, tu były świątynie.
Dziś te wieżycy i ciemne pieczary
Jękliwy puhacz zamieszkał jedynie,
A nikt z prawnuków wsłuchać się nie raczy
W treść tajemniczą piosenki puchaczey.

V.

W dębowych deskach foljant zbutwiał
Uszedł przed czasu zagładą zdradziecką;
W blade gzygzaki pokreślony cały,
Trudno wyczytać rękę staroświecką.
Stąd dusze ojców do dziatwy skarłalej
Zdają się wołać: „Bohaterskie dziecko!
Przyjdź tutaj zgłębić minione koleje,
Posłuchać ducha, co z tej karty wieje“.

VI.

Oj danaż, dana, piosenko kochana!
Zadzwońmy w gęśle, by zebrać słuchaczy;
Śpiewać będziemy sarmackiego pana,
O ile siły wystarczy śpiewaczey.
A słuchacz, prostym zwyczajem Słowiana,
Niech wdzięcznie przyjmie — a resztę wybacz.

Przypomnim wnukom pradziadowskie lata,
Uraczym gości czem chata bogata.

VII.

Na tronie Piasta, z krzyżem Mieczysława,
Z Chrobrego szczerbcem, w pancerzu ze stali,
Królował w Polsce z dziedzicznego prawa
Bolesław, co go Krzywoustym zwali;
A jego imię — dla wrogów obawa,
A jego serce jak wulkan się pali.
A jego czoło rzadko się rozchmurzy,
A ramię w boju jak piorun wśród burzy.

VIII.

W dziewiątym roku w niemowlęce dłonie
Bral ciężki bardysz i topór kowany,
Czechów zwyciężał w bojowym zagonie,
Wilczym go synem zwały Pomorzany;
Szesnastoletni już siedział na tronie,
Pierśmi podpierał swego państwa ściany;
Zawždy wojując, wypoczynku nie zna
W stołecznych murach Krakowa i Gniezna.

IX.

Już cztery lata jak panował godnie
Krakowskiej, śląskiej, sandomierskiej ziemi;
Lecz niedość wrogi zwyciężać przychodnie,
Cięższy wróg — bezład, co doma się pleni:
Ujrzał Bolesław swego ludu zbrednie,
Zrzucił przyłbicę ze szczerby gęstemi,
I w całym kraju wśród gwarnej niedzieli
Sądy królewskie woźni okrzyknęli.

X.

Cizby narodu nie zmieściłby Kraków,
W lesie sądowe naznaczono wiece;
Słychać szcęk mieczów i rzenie rumaków,
Okrzyki męskie i gwary kobiece;
Z bitych gościńców i z wioskowych szlaków
Płyń lud ufny w monarszej opiece;
Mżą się i kipią tłumy jak mrowiska,
Złoto, żelazo i szkarłat połyska.

XI.

W około lasu pancerni skrzydlacze
 Harcuja raźnie, grając w róg bawoli;
 Woźni, przybrawszy postawy junacze,
 Szykują naród porządkowi gwoli,
 A w gronie ciżby ktoś jęknie, zapłacze,
 Spiesząc się skarżyć na to, co go holi.
 Wiatr echo trąby daleko gdzieś niesie,
 A jęk bolesny rozwiewa po lesie.

XII.

W lesie na trawie, pod zielonym cieniem
 Dębu starego, co rozrósł się w clunury,
 Siadł król młodzieniec z poważnem spojrzeniem
 W szkarłatnej todze ze złotemi sznury;
 Kowany pancerz srebrzystym promieniem
 Żywo migotał z pod pańskiej purpury;
 A u słońc pańskich i u pańskiej głowy
 Wieją proporce zdobyczy bojowej.

XIII.

Po prawej ręce dla biskupów ława —
 Tam siedzą wedle starszeństwa różnicy:
 Marcin gnieźnieński, mąż herbu Zabawa,
 Baldwin z Krakowa i Paweł z Kruszwicy,
 Święci starcowie, opiekuny prawa,
 Boga, monarchy, ludu pośrednicy.
 Och! niejednemu wnet otuchy doda
 Ich święta postać, ich twarz siwobroda!

XIV.

Zawierzaj świętej twarzy i postaci!
 Słuchaj tych starców, o sarmacki panie!
 Każdy za kmiotków i za szlachtę braci
 I Pismem świętem, i piersiami stanie.
 Drzyjcie przed nimi łupiezcy bogaci,
 Do nich, nędzarzu, znajdziesz odwołanie.
 Biskup krakowski śmierci się nie lęka,
 Dzierżąc pastorał, nie zadrży mu ręka...

.

KANONIK PRZEMYSKI.

GAWĘDA HISTORYCZNA.

PIEŚŃ PIERWSZA.

WIECZÓR W ŁŚCINIE.

I.

O Boże moich ojców! coś jeszcze z przed wieka,
Świętem prawem miłości wiążąc ród człowieka,
Na kamiennej tablicy na synajskim szczycie
Wyrył cześć dla rodziców, co dali nam życie,
I wedle tegoż prawa we wszechmądrej myśli
Kazał kochać ziemię, gdzieśmy na świat przyszli,
I prochy prapradziadów, i wszystkie ich słowa,
Czy co w uściech wiekuje, czy w księdze się chowa!
Och! wyrył się twój zakon, dany po ojcowsku,
Na miękkim sercu mojem, jak gdyby na wosku —
Ja pokochałem przeszłość i praojców twarze,
I często je wspominam, często o nich marzę!
I z czasów staroświeckich, co już śpią pod pyłem,
Jedną chwilkę przelotną niedawno przyśniłem.
Więc stroję moją lutnię na pieśń wedle czasu,
Pod takt Reja, Acerna, Jana z Czarnolasu,
I modłę się: „O Boże! daj mi wzrok proroczy!
Niech święta starożytność stanie mi przed oczy,
Uroczyście, dobitnie, we własnej postaci,
Bym, co przyśnił o ojcach, wygwarzył dla braci“.

II.

Ubrane proporcami i żelazną zbroją,
Pod krakowską świątynią pańskie trumny stoją;
Trzeci rok jak w tej trumnie pomiędzy filary
Błogosławioną głowę złożył Zygmunt Stary —
Polska modli się po nim wedle obyczaju...
Ale młody monarcha — to jak ranek w maju:
Bóg wie, co będzie latem, urodzaj czy susza?
Lecz w młody czas wiosniany weseli się dusza,
Raduje się nadzieją obfitego chleba;
Słowiki, kwiaty, ciepło — czegoż jeszcze trzeba?
Dobrze wróży latorośl Jagiellonów młoda —
Pod Zygmuntem Augustem wygodą, swoboda,
Polska słynie pałaszem i piórem, i srebrem,
• Znają nas nad Sekwaną, znają i nad Tybrem.

A doma tak swobodno, że aż dusza hula,
Piszemy prawa z królem, pieszemy dla króla;
Sejm wre — bo nie na rękę i Bonie i Kmicie,
Że król piękną Litwinkę ukochał nad życie.
Lecz rozdarła się hydry nienawistnej paszcza.
Prymas czoło królowej chryzmatem namaszcza.
Piękny dzień! dajże hasło monarchini młoda,
Niech będzie w całym kraju kochanie i zgoda,
Niech się wszyscy weselą, jakieś ty wesola...
Gdzież tam! waśń między braćmi nie uciśnie zgoła;
Szlachta, woła, rozumem i groszem bogata,
Pobratawszy się z królem, już się z Bogiem brata,
Oto od gór helweckich, od germańskiej rzeszy
Rój mistrzów zapalonych w Sarmacczynę spieszy —
Wołają, że posiadli całą mądrość Bożą,
Wznoszą palec k'południu i Rzymowi grożą.
Już Stankar, już Blandrata rozbiegli się w dali.
Z nad kościołów, z nad cerkwi krzyże połamali.
Odarli z malowideł poświęcone ściany,
Na wieżach miasto krzyża już kogut blaszany
Urąga się Piotrowi, co Cię przeczł, Chryste!
Piotr rzucił z Watykanu spojrzenie ogniste
Na zbłąkaną owczarnię — w klucze niebios dzwoni —
Wścieka się Lippomani, gniewa Kommendoni,
A mężowie, biskupią obleczeni togą,
Na swych krzesłach w senacie dosiedzieć nie mogą
I z pasterskiej mównicy, jak wyznawcy szczerzy,
Walczą głową i pierśmi, by przeprzeć kacerzy,
Grożą piorunem kłatwy poroztrącać głowy,
Kto śpiewa po niemiecku psalterz Dawidowy.

III.

Lecz nad kłatwy jest Pan Bóg, co patrzy z daleka.
A Pan Bóg się nie gniewa, czy poprawy czeka:
Oto połowa lipca — patrz na polskie niwy,
I żyta i pszenicy jaki plon szczęśliwy!
Płynie mlekiem i miodem, w którą spojrzysz stronę.
Owdzie soczyste śliwy, tam jabłka kraszone,
Tu lasem rośnie chmielnik na spulchnionej grzędzie.
Pszczołka żwawo się krząta, toć i miodek będzie;
A lud żwawy i czynny, jak mrówki w mrowisku,
Brzęczy w kosy na łące i w sierpy na rżysku,

Pracuje w świętym pocie i cieszy się głośno,
Ten śpiewa pieśń pobożną, a drugi miłosną,
Snadź słodkich jego uczuć serce nie ogarnie.
O prymasie Dzierzgowski! patrz na twą owczarnię,
Patrzaj na tych żniwiarzy, kosarzy, oraczy,
I z gnieźnińskiej stolicy pobłogosław raczej,
Niech miecz klątw pasterskich jeszcze w pochwie
[drzemie,
Gdy Pan Bóg Swojej klątwy nie spuścił na ziemię!

IV.

Drogą pomiędzy zbożem, jakby wiodąc tany,
Harcuje młody jeździec złocisto przybrany;
Na jego piersiach igra z promieniami słońca
Jak zwierciadło weneckie półzbroja błyszcząca;
Z pod zbroi widać czarna aksamitna świta,
Szamerunkiem ze srebra wzorzyście wyszyta;
Czarny glancowny rzemień kibić mu przeciska,
A za świetny diament, co u klamry błyska,
Kupiłbyś całą wioskę, albo całe miasto,
Jeżeli dodasz rubin, co kitę pierzastą
Do czarnego kołpaka przypina u boku.

Harcuje młody rycerz w cwałie to w podskoku,
I jak gdyby ciekawa patrzała nań rzesza,
Ku lewemu ramieniu hardą głowę zwiesza.
Pięknie mu odbijają szkarłatem jagody
Od puchu czarnych wąsów i strzępionej brody;
A w oczach jeźdźca zapal, na czole nadzieja,
W ustach — piosnka biesiadna Mikołaja Reja.
Pod nim arabski rumak pieni się i żżyma,
Jakby wzięty od żłobów ze stajni Selima;
Gdy drobnemi kopyty jeno piasek zwiewa,
Rzekłbyś: sarna swawoli lub tańczy dziewa.
A na piersiach rumaka, jak na piersiach pana,
Błyszczą stalowa blacha srebrem dźwięrowana,
A na czole nagłównik, na nim herb się mieści,
U trzęzli wiązka wstążek jedwabiem szeleści.

O młodzieńcze! to oko, ten wąs, ta czamara
Niebezpieczne dla dziewcząt, groźne dla Tatara.
Na twym dzielnym rumaku i w stroju ze złota
Harcuj wesół po drodze twojego żywota;
Bo jako wróżę, patrząc na twą głowę wzniosłą,
Książka, pióro, różaniec — nie twoje rzemiosło.

Tyś zrodzony dla życia wdzięcznych krotochwili,
Żadna myśl, żadna troska twych bark nie uchyli;
Nawet miłość, ów robak co ssie pierś młodzieńczą,
Nie wpije się w twe serce — bo k'tobie się wdzięczą
Wszystkie oczy niewieście — ho! ho! i w tym dworze,
Dokąd spieszysz tak pilno — czekają cię może.
Przy krośnie siedzi w oknie jakaś dziewa słodka,
I pyta się u sroczi, pyta się u kotka,
Czy przyjedzie gość luby? Jakiś stukot w lesie —
Uradowanej dziewczce śmiać się, płakać chce się,
Słucha, tamując oddech, porzuciwszy pracę,
Czy to tętni twój rumak — czy serce kolace?
Bo u niej serce zwawo i niesforno hucha.

Harcerz pokręcił wąsa, poprawił łańcucha,
Spojrzał w dalekie okna znajomego domu,
Uśmiechnął się junacko, westchnął pokryjomu
I spał konia ostrogą.

V.

Każdy przyznać musi,
Piękne są dworki w Polsce, w Litwie i na Rusi;
Bo piękne nasze wzgórki, strumienie i łąny,
Jest kamieni i gliny na zamek ceglany,
Pięknych dębów i sosen obfitość tak mnoga,
Że z nich nie wstyd wznieść nawet świątynię dla Boga.
Niech jeno biegle oko i ręka bogata
Czarodziejską naturę ze sztuką pobrata,
A można w Polsce stworzyć taki cud piękności,
Że szlacheckiego domu sam król pozazdrości.
Lecz fraszka wszystkie sztuki i natury dziwa,
Najpiękniejszy ten dworzec, gdzie luba przebywa;
Tam się wszystko spodoba, wszystko wzrok zachwyci,
Choćby droga z krzemieni, most z pajęczych nici;
Jakby raj Mahometa — piąć się — miła praca!
Och! tylko powrót ciężki, bo coś wstecz zawraca.
Tak marzył młody jeździec.

Wśród zboża i trawy
Skreca się bita droga, jakby wąż żółtawy,
I wije się pod lasek do strzeleckiej chaty,
I dalej gdzieś się skrywa za wzgórek garbaty.
Ze wzgórką widzisz groblę, kędy twoją głowę
Ocieni młody olszniak i liście wierzbowe;

W poprzek grobli pod mostem strumień sący wodę,
Przezroczystą i wrzącą jako serce młode;
A po obojej stronie pokoszona trawa
Tchem balsamicznej woni rozkosznie napawa,
Strzekocze polny konik, a w takt strzekotania
Mżą się cienie olszniaku, co groblę osłania.
Za groblą u krzyżyka rozdziela się droga;
Lecz niepotrzebny munsztuk ni srebrna ostroga:
Zmyślny rumak wie, czego twemu sercu chce się,
Rycerzu, on cię skokiem do lubej zanieś!

Dwory polskie obronne — jedyna w tem rada,
Bo Tatar jak szarańcza co rok kraj napada,
I Kozak każdej wiosny rzuca Zaporozę,
Wioząc Lachom gościniec: płomienie i noże.
Lecz daremnie pan Chełmski od hord najezdznika
Swoj dworzec ostrokołem i rowem zamyka:
Najezdznik, co po serce jego dziewczki kroczy,
Szańców się nie przeleknie i pale przeskoczy.
Ale nie trzeba skakać przez szance i rowy,
Gość przedsię nie Tatarzyn, ni Kozak stepowy.
Wrotny spojrzal przez szparę i poznał sąsiada,
Brama z dębowych desek na pół się rozpada,
I stanęła otworem pełna uprzejmości,
Jako serce szlachcica, kiedy wita gości.

VI.

Zbladło oblicze jeźdźca, uczuł bezład w duszy,
Kiedy ujrzał wśród klonów, jabłoni i gruszy,
W cieniu brzoź rozczochranych z białemi konary,
Dom italską strukturą, drewniany i stary.
Otoczony w około róż koleczystych płotem,
I ganek z ławicami, z herbowym klejnotem.
Fraszka wszystkie klejnoty, fraszka wszystkie róże!
Droższy skarb, świeższy kwiatek mieszka w lściń-
[skim dworze.

Hej, nie dziw, panie Chełmski, że codzień masz gości,
Że na twoim dziedzińcu trawa nie poroście!
O! nie znajdziesz spokoju na twe stare lata,
Dopóki modrookiej córce twego brata
Nie wynajdziesz bogdana — w domu pana stryja
Młodzież kamienne progi czołem porozbija,
A pijąc zdrowie krasnej, do dna powytacza
Twój miodek Jagielloński i wino z Munkacza.

Ot i ten, co przyjechał, co złotem się żarzy,
Młody Prokop Zaręba, ozdoba usarzy,
Muska pieszczoną bródkę i nastraja minę;
Niby to do starego przybywa w gościnę,
Niby chce się poradzić na sejmik zawity,
Czy głosować za Kmitą, czyli przeciw Kmity?
Niby z Pisma świętego ciekawość go bierze,
Czy ma słuszość pan Stankar, czy rzymscy papieże?
I nie zrozumiał tekstu świętego Łukasza...
Urodzony Zarębo! mądra miłość wasza;
Ale pan Chełmski mędrszy, zgadł po tonie pieśni,
Że Łukasz, Kmita, Stankar waszeci się nie śni,
Że cię tutaj nie sejmik, nie papieska władza,
Lecz panny Magdaleny spojrzenie sprowadza.
Oho! starego wróbla nie złowić na plewie.
Niby to nie rozumie, niby to nic nie wie,
Lecz z uśmiechem już poszedł pō rozum do głowy;
Bierze statut Herburtu i kodeks sejmowy,
I bibliję łacińską, i Pawłowe listy,
I gościa poprowadził pod klon rozłożysty.
Tam na dębowej ławce, przy puharze wina,
I doczesne i wieczne sprawy rozpoczyna,
A trunek i wyrazy tak powoli sący,
Że do skończenia świata gawędy nie skończy.
Już i zorze błysnęły — młodzieniec w rozpacz
Patrzy na dom, czy w oknach lubej nie zobaczy?
Próżno rwiesz się, młodzieńcze, i strzelasz oczyma,
Zorzy twego żywota jak niema, tak niema!

VII.

Wyszła nakoniec dziewa i skromnie się kłania,
Z uśmiechem rycerskiego słucha powitania,
I zaprasza do izby i gościa i stryja,
Bo już na półzegarze dziewiąta wybija,
I wieczerza gotowa — lecz cóż mu wieczerza?
Młodzieniec się prostuje, czuprynę najeża,
A świadom jak podbijać młodociane łona,
Potoczystym a gładkim stylem Cycerona
Zaleca swoje służby i powolne chęci,
I kłania się rycersko, i wąsiki kręci.
O! w chorągwi hetmańskiej, gdzie Zaręba służy,
Nikt nad niego junaczęj oczu nie przymruży,

Nikt się wdzięczniej nie skłoni — nie podskoczy śmie-
Nikt sowitszemi słowy do serca nie strzeli; [lej,
A kiedy ku dziewczęciu niby nieumyślnie
Oko z pod ciemnej rzęsy promieniem wytryśnie,
Na gładkich licach dziewy taki wzrok junaczy
Wywoła pewnie kraskę — on wie, co to znaczy.

Wedle polskiej dworności grzecznego nałogu,
Pan Zaręba i Chełmski kłaniają się w progu,
I wciąż jeden drugiego k'pierwszeństwu zaprasza.
„Przodkujcie miły gościu!“ „Idźcie miłość wasza“
Aż po długich ukłonach, wzajemnej podzięce,
Weszli obaj do izby, wzięwszy się za ręce.
W izbie ni zbyt ubogo, ni nazbyt bogato:
Na środku stół okryty turecką makatą,
Przy nim dębowe ławy z kraciastą poręczą,
A srebrzyste lichtarze ze świecą jarzącą.
Komin, gdzie gorą z trzaskiem sosnowe polana,
Sieje blask po komnacie, aż miga się ściana;
Jest się od czego migać — bo w iskrach się pali
Bohaterski rynsztunek ze srebra i stali.
Niedarmo Chełmski bijał Turki i Wołoszę,
Ma płatenerskiej roboty wszystkiego po trosze:
Owdzie wisi hełm z kratą i ze strusią kitą,
Tu widzisz karacnę od kuli przebitą,
Owdzie krótki proporzyczek, owdzie spisa długa,
Pancerz o karpiej łusce, druciana kolczuga,
Kolczan, szeroki topór i szabla wytworna —
Słowem, wszelka zaczepna, wszelka broń odporna,
A wszystko polerowane, zostrzone, jak nowe:
Choć dziś, panie hetmanie, daj hasło bojowe!
Zbroja pana Chełmskiego nie zawiedzie cześci.
Z jej blaskiem metalicznym gdy słońce się pieści,
Lub gdy ogniem wieczornym zabłyśnie komnata,
Rzekłbyś, że sto błyskawic na powietrzu lata.

VIII.

Przy wieczerzy gospodarz wciąż gwarzy i gwarzy:
Wykłada Pismo święte, sejmiki kojarzy,
Rzuca jakieś pytania i sam je tłumaczy.
Zaręba czy pojmuje? Bóg to wiedzieć raczy!
Zdaje się, że młodzieniec ku słuchaniu pilny;
Lecz mu lata po uśmiech uśmiech krotochwilny,
A kradzionem spojrzeniem ustawicznie goni
Tam, gdzie główka dziewczęcia, oparta na dłoni,

Drzemie albo coś duma — Czy wiesz co, niebożę?
Gdyby odkraść tę dumkę — ciekawybyś może
Obaczyć, co tam duszę zajmuje kobiecą,
I poważne dumanie rozweselić nieco?
Bo też biorąc te rzeczy rycersko, młodzieńczo,
Bóg wie na co te myśli! — tylko serce dręczą,
Tylko od nich bezładno w głowie jakby w lesie —
Niech zresztą starzy myślą, kiedy im tak chce się,
Lecz młodemu człękowi i młodej kobiecie
Śmiać się, płaszać, poigrać — to coś warto przecie,
Umysł się nie utrudzi, a orzeźwi łono.
Tak marzył pan Zaręba, i miał słuszość pono.
Ależ szukaj, niebożę, słuszości u ludzi!
Synowica dumaniem, stryj gawędą nudzi!
Skończyć poważne nudy już ani nadziei —
Wtem pan Chelmski, postrzegłszy, że mu się nie klei,
Zawołał wielkim głosem: — Cóż to jest u licha!
Waszeci drzemać chce się, mnie w gardle zasycha,
Więc pokrzepmy tę sprawę — wina! moja luba,
Nie jest ci to Falernum ni grecka Ekuba,
Przedsię wino węgierskie, które wam zalecim,
W tysiącnym czterechsetnym dziewięćdziesiąt trze-
Zlane było do stągwi z dębowego drzewa, [cim
Jak to napis łaciński na boku opiewa.
Czasem się tylko u mnie w uroczystej chwili,
I to z serdecznym gościem, puharek wychyli.
Dziś zajrzyjmy do dzbana, by rozjaśnić oczy!
A więc dziewa z pospiechem do piwnicy kroczy,
I szyderczym uśmiechem nastroiwszy lice,
Wnosi gąsior wytłoczyn z węgierskiej winnicy,
I dwa srebrne puhary z kłosami ze złota
(Norymberskich złotników misterna robota).
Więc nalano puhary, więc w srebro brząknęto,
I wychylono duszkiem przez powinność świętą
Zdrowie Rzeczypospolitej i królewskiej mości.
Oj, Prokowie Zarębo, szkoda mi waszmości!
Poco się tak skwapliwie bierzesz do kielicha?
Patrz, jako się dziewica posepnie uśmiecha,
Na twarz grzecznie figlarną rzuć jeno oczyma,
A od razu wyczytasz, co o tobie trzyma.
Myśli w duchu nieboga: — Otóż to usarze,
Zepsuto wychowani w obozowym gwarze!

Nudzi się biedny żołdak, drzemkę ma u powiek, —
Nawet przy moim stryju, choć to mądry człowiek
W boskich i ludzkich rzeczach — choć z ogniem nie-
Bitwę mu obertyńską ściśle opowiada; [lada
Pan Prokop niecierpliwy usnąłby na stole,
Nudno mu nawet przy mnie — o biedne pachole!
Dajcież mu raczej kielich niżli stare dzieje,
Pustkę głowy i serca niech winem zaleje.
A szkoda... jasne oko... i twarz znakomita,
Niech jeno na oblicze jakaś myśl wyświta,
A byłby rycerz piękny i pełen ponęty...
Kochać go... czy nie kochać?... Bógże to wie święty! —
I pokiwała główką jakby coś nierada.
Czyśmy zgadli jej myśli? i któż to wybada?
Ale sądząc z posępnie nadąsanej miny,
Takie dumki latały po głowie dziewczyny.

IX.

Wilcza natura ciągnie do głębokiej kniei,
Usarska do szklanicy — a gdy po kolei
Dwakroć, trzykroć brząknęli w srebrzyste puhary,
Młody się rozpromienił, a odmłodził stary.
Chełmski zanucił piosnkę, jak bito Wołoszę;
Zaręba, już weselszy i śmielszy po trosze,
Zbliża się do dziewicy, oko na niej pieści
I potrząsa swój skarbiec śmiesznych przypowieści.
Prawi swoje przygody i pocieszne dzieła;
Ona — dąsa się — dąsa, i śmiać się poczęła:
Jak w Krakowie Zaręba, hulając przy miodzie,
O blasku księżycowym wracał ku gospodzie
I bił się z własnym cieniem bohaterską dłonią;
Jak drugi raz umykał przed żydów pogonią
I wpadł do wyschłej studni, jakby wilk do dołu;
Jak zwaśnił dwie przekupki siedzące pospołu.
I insze płocze brednie. Lecz bredzi tak mile,
Tak do poważnej rzeczy wtrąci krotochwilę,
Że na dziewiczym czole już srogość nie taka;
Widać, że polubiła młodego pustaka.
Żartami płaci żarty wesola, szczęśliwa,
Już do pustej swawoli sama go wyzywa,
I gwarzy, i szczebioce — ej! po takim gwarze
Przyśni się młody harcerz w srebrzystej czamarze.

X.

Bogdajby wiecznie spleśniał matematyk stary,
Co wymierzył godziny i stworzył zegary!
Weźcież pod mądry cyrkiel, uniżenie proszę,
Boleść serca ludzkiego i jego rozkosze:
Kędy męża z daleka wygląda małżonka,
Kędy więzień pod ziemią łańcuchami brząka,
Kędy boleje chory z mizernem obliczem.
Kędy kochanek z lubą rozmawia o niczem,
Kędy dzieci swawolą — czas jednakoż płynie?
Fałsz, mędrcze! ach! godzina nie równa godzinie.

Oto na półzegarze już północ uderza,
Darmo rumak pod gankiem czeka na harcerza.
Prokop przeklął godzinę — przypasał pałasza
I żegna gospodarzy; — pan Chełmski zaprasza,
Aby pozostał na noc — daremnie go prosić,
Lubych marzeń dla serca na dzisiaj już dosyć,
Bo grzech zbyt nurtować w upojenia czarze,
Za przedłużenie szczęścia czasem Pan Bóg skarże;
Nie kosztować za życia wieczystego nieba —
Przytem sercu co kocha samotności trzeba!
Słodkoż uśpiwszy rozum — wypuścić bez pana,
Niechaj sobie pohula myśl rozkołysana;
Niech to będzie na polu, albo jadąc lasem,
By snadź ciekawy człowiek nie podsłuchał czasem.
I nie wziął za szaleńca, gdy przyjdzie do głowy
Myśleć w niekształtnym śpiewie lub głośniami słowy.

Rumak, spięty ostrogą, więc posłuszny panu,
Przeleciał groblę, mostek pędem huraganu,
Pod górę zwolnił biegu — udała się sztuka,
Począł iść wolnym krokiem, jakby wsparcia szuka;
A Prokop, rozmarzony jakąś dumką błogą,
Ani myśli figlarza ponaglić ostrogą.
Czemże przedsię ta głowa tak mocno zajęta?
Och! dzisiaj w jego duszy uroczystość święta,
Dzisiaj człowiek ciekawy łatwo zeń skorzysta;
Jego żelazny pancerz i pierś przezroczysta,
W ustach dziecinna słodycz, głowa mu się pali,
Samby wszystko wygadał, gdybyśmy spytali.
Lecz wara szperać w sercu, co się dziś wynurza,
Bo jutro...

Ot zagrzmiało — będzie deszcz i burza.

XI.

Noc ciemna — na niebiosach od brzegu do brzegu
Wrząca chmura grobowym całunem zalega,
Lunęła rzeźkim deszczem, ozwała się grzmotem,
A w namiętnych jej piersiach zagrał puls z łoskotem;
Ciężko westchnęły szturmem nadęte jej płuca,
Wicher łamie gałęzie i piasek rozrzuca,
Leci duch spustoszenia — błysnęło, jak wstęga
I, jak gdyby runęła niebieska potęga.
Piorun dwakroć i trzykroć zawarczał u głowy,
Drgnął i palnął ogniście w stary pień dębowy,
Aż jęła czarna puszcza — a po niej szeroko
Toczy się echo gromu, — choćby wykół oko
Nastąpiła czarna ciemność, a z nią cisza głucha,
Jeno deszcz drga w powietrzu i po ziemi plucha
I po liściach łopocze. Błysnęło w oddali,
Znowu wzdyma się wicher, znowu piorun pali,
Posypały się z ogniów lodowate grady,
I organy niebieskie huczą pieśń zagłady.
I strasznego sądu sygnały złowieszcze...

Hej! rycerzu Prokopie, czy ty żyjesz jeszcze?
Jeden, w nocy, wśród burzy, deszcz spluchał ci pono
I twoje pióro strusie, i brodę pieszczoną,
I srebrzystą czamara. Ot widać trzy krzyże,
Rumak wspina się, parska i uszami strzyże,
Czy droga nieświadoma, czy się czego lęka?
Patrz... iskra nieruchoma — to światło z okienka.
Ach pomnę — jest tu chata strzelecka na lewo,
Może znajdziem przytułek przed straszną ulewą;
Strzelec tutaj znajomy — zapukajmy śmiało,
Pan Boksza Radoszewski, starzec jakich mało,
Biedny lecz zacny szlachcic — ej będąż nam radzi!
Kielich pieprznej gorzałki po deszczu nie wadzi,
A stary ma gorzałkę. Tak Zaręba marzy,
A deszcz oczy zalewa, grad chłoscze po twarzy,
A rumak, choćby żebra przebić mu ostrogą,
Nie chce kroczyć inaczej, jak noga za nogą,
Snadź trwożny błyskawicy, która wciąż migota.
Rycerz dobił się wreszcie pod strzeleckie wrota,
I silnie zakolał — słyży w oddali:
— Kto tam stuka? Wszelki duch Pana Boga chwali!
— Podróżny! wpuście na noc! — Ot zaraz otworzę
A cóż to za ulewa! — nie dopuszczaj Boże! —

PIEŚŃ DRUGA.
TRZEJ OKSZYCE.

I.

Kto ciekaw, niech w Bartoszu Paprockim przeczyta,
Że Boksze Radoszewscy szlachta znakomita.
Pieczętują się Okszą — to świetność nie mała,
Na czerwonej pawęży halabarda biała,
A ostrze halabardy służy na lewicę,
Z Czech, z rodziny Werszowców pochodzą Okszyce,
Lecz dobrze zsarmacieli przez wieków koleje,
Wątrobkowie, Boksowie i Nagłowscy Reje,
I mnóstwo innych domów tejże paranteli
Zacną Okszę krwią swoją rześcić oblesi,
Walcząc za sprawę polską.

Taki klejnot drogi
Posiadał Marcin Boksza, dziad stary, beznogi:
Wnuk pana z Siemikowic sławnego Stogniewa
Pilnował w lasach łścińskich zwierzyny i drzewa.
Ma kilku współherbowych i stryjecznych braci,
Co na Węgrzech i w Polsce głośni a bogaci;
On strzelcem — lecz ma czystą herbowną siekierę,
Ubogi, to cóż robić? — sic fata tulere.
Marcin został sierotą, młodziutkie pacholę.
Niepieszczony od matki, niesmagany w szkole,
Uciekł od opiekunów, wzięwszy szkapę łysą,
I pojechał na Węgry z toporkiem i spisą,
Gdzie pan Mikołusz Boksza, brat jego stryjeczny,
Miły królowi Węgier, Turkom niebezpieczny.
Przełamywał rycersko Selimowe szyki.
Marcin łatwo się wpisał między ochotniki —
A raz ujawszy w rękę swój topór i kosę,
Ścinał niegorzej ludzi łby Turków bezwłose.
Gdy pod Mohaczem króla Ludwika zabito,
Pan Mikołusz powrócił w stronę rodowitą,
A pan Marcin gdzieś zginął — ot zwyczajnie młody,
Pojechał w świat szeroki, szukając przygody.
A same go przygody szukały widocznie;
Tylko bywało słuchaj, gdy rozprawiać pocznie:
Jak postrzelon z rusznicy z ran już prawie kona.
Jak w Niemczech kochał córkę, jakiegoś barona.
Jako potem wędrował, by zwiedzić Rzym święty,
Jako bywał od włoskich zbójców napadnięty,

Jako służył rycersko na hiszpańskim dworze ..
Kłamię, czy prawdę mówi — któż to zgadnąć może?
Jeno że człek bywały, jak to z miny wnosim,
A nie było go w Polsce lat siedem czy osiem.

II.

Wreszcie się do ojczyzny przywałęsał zdala,
Wrócił pieszo o kiju, by dziad do szpitala;
Miasto łuku i miecza miał torbę przez plecy,
Gdzieś mu nogę urwano przy szturmie fortecy,
To chodził o drewnianej — jak żebrak z rzemiosła:
Broda mu kędzierzawa do piersi wyrosła,
Głowa hełmem przytarta świeci się łysiną,
Rany niezagojone jeszcze we krwi płyną;
Był blady, lecz wzdry z miną gęstą i szlachecką,
Miał za cały majątek biblię niemiecką.
Zmarniała piękna młodość — gdzież wioska ojczysta?
Część spalili kozacy, część zahrał jurysta;
Boksza, nie chcąc się pieniać, dał mu pokój święty.
Poszedł k'bogatym krewnym, tam zimno przyjęty,
Gdy mu dawał pieniądze pan Mikołusz stary,
Marcin cisnął na ziemię grosze i talary,
I poszedł szukać chleba z bliznami na czole.
Sromota rycerzowi bakałarzyć w szkole:
Łaciny, co mu jeszcze w głowie pozostało,
Na szlacheica aż nadto, na księdza za mało;
Że więc oszczep i topór pokochał jedynie,
Został beznogi rycerz leśniczym we Łęcinie,
I już od lat dwudziestu zdrowy i wesoły
Wychowuje ogary gończe i sokoły.
To nic, że dziad kaleka — bo, panowie moi,
Śmiało jeszcze na oszczep z odyńcem dostoi,
A gdy stawi obławę lub urządza sieci;
Stary tak się uwija, jakby wicher leci;
Jeno się młodzi strzelcy dziwią niepomału,
Skąd ta łowiecka biegłość? skąd tyle zapału?
A pan Chełmski, szanując rycerskiego ducha,
Pana Marcina Bokszy jak wyroczni słucha;
Lubią go w okolicy i młodzi i starzy,
A on im za to swoje wydarzenia gwarzy.

III.

Choć go z progów rodzinnych prawie odepchnięto.
On kocha herb swój Okszę, jak biblię świętą,

Jako miłą ojczyznę, jak dobrego pana.
 Nad gankiem jego chaty Oksza wyrzezana,
 Okszę piastował w sercu i powtarzał w mowie,
 „Jakem Okszy z Okszyców!“ takie miał przysłowie.
 Lubił, mając słuchaczy przy kominku zimą,
 Powtarzać swego herbu kronikę rodzimą:
 Skąd się początek godła i kształt jego bierze,
 O sławnym Ratyborze, czeskim bohaterze,
 Protoplaście ich rodu — potem gwarzył dalej
 O Werszowcu, którego Geszkonem przezwali,
 Potem o swoich dziadów rycerskiej ozdobie,
 O swoim ojcu, stryju — nakoniec o sobie.
 Wtedy, pięścią po stole bijąc z całą siłą,
 Gromił Turków i końca gawędzie nie było.

W Krakowie jest gospoda — zowie się „Pod
 [Chmielem“,

Tam się zszedłszy pan Boksza z dawnym przyjacielem.
 Dzieje swojego rodu kiedy mu powtarza,
 Siedział z boku Paprocki, układacz herbarza,
 Podśluchał i zapisał o jego splendorze,
 O wojennym Geszkonie, mężnym Ratyborze —
 Lecz ze złości, że stary nie kupił mu wina,
 Pan Bartosz w swym herbarzu opuścił Marcina.

IV.

Kiedy nie ma z kim gwarzyć — z dawnego nałogu
 Marcin Boksza poświęca swój czas Panu Bogu.
 Na półce jego chaty jest biblia dawna,
 W wielkie dębowe deski i w skórę oprawna
 I na klamry mosiężne zapięta zamczysto.
 Dziad wieczorem zasiada z twarzą uroczystą,
 I przy jodłowym karczu lub smolnym łuczywie,
 Słowa Pisma Bożego czyta zapalczywie
 I rozbiera je w duszy — już z niemieckiej strony,
 Gdzie bywał na wojaczce, powrócił złutrzony.
 Lekce sobie poważał Pańskie tajemnice,
 I dzwonki loretańskie, i gromniczne świece;
 A przedsię gdy niedawno piorun stuknął w lesie,
 Stary zbladł — na odwagę przeżegnać się chce się,
 Chce się zasłonić tarczą dawniejszych pacierzy,
 I westchnął, że w krzyż święty jak dawniej nie wierzy.
 Bo dzwonek loretański i święcona woda
 Pomoże, nie pomoże, a otuchy doda.

Tchórzysz, stary rycerzu! Boksza kiwnął głową,
Łyknął pieprznej gorzałki, i śmiały na nowo.

V.

Kołace ktoś we wrota... dziad wesół się zrywa
I wybiega otworzyć — noc taka burzliwa!
Samemu tak coś straszno w bezludnej pustyni,
Że każdy, kto przybędzie, dobrodziejstwo czyni;
We dwóch jakoś weselej, kiedy ciemną nocą
Warczy grom błyskawiczny i deszcze pluchocą.
Więc Boksza wiedzie gościa w swoje niskie ściany;
Wbiega rycerz nawalną powodzią oblany,
Z pięknej jego odzieży strumień deszczu płynie;
Dziad rześiste ognisko naniecił w kominie —
Z razu poznał przybyłca i głośno wykrzyka:
— Jak e m O k s z y c z O k s z y c ó w! — witam po-
[rucznika!

Fortunna dla mnie burza — błogosławię bogi,
Żeś spadł z chmury deszczowej na mój dom ubogi.
Cóż? przemokłeś do nitki — precz z ubiorem twoim!
Harcerza zaraz w kabat strzelecki przystroim,
I wnet będziesz wyglądał od stóp aż do głowy,
Jak Boksza Radoszewski, stary stróż gajowy.
Pięknać metamorfoza — któż się to spodziewa?
Gdyby waści widziała... wiesz, ta czarnobrewa...
Śmiechuż byłoby, śmiechu!... ale w złej godzinie
Zrzuć ten pancerz, ten kaftan, niech z wody opłynie,
A tymczasem włóż delję, co od święta nosim,
Podpasaj się jak możesz moim pasem łosim,
I siadaj przy kominie, co tak mile nęci.

— Dzięki wam, panie Boksza, za uprzejme chęci
Odpowiedział Zaręba. — Lecz mój koń przy drodze
Moknie jeszcze w pluchocie...

— Ubliżasz mi srodze!

Jak e m O k s z y c! znaj waszeć gospodarską władzę,
Rycerskiego rumaka ja sam odprowadzę
I szlacheckim obrokiem nakarmię przy żłobie.
Masz waszeć suchą odzież — przebieraj się sobie,
Ja do was wnet powrócę — chwila nie upłynie,
A pić będziem i gwarzyć przy ciepłym kominie. —

VI.

I stary nie mieszkając uścił się w słowie.
Zasiedli przy kominie i piją prze zdrowie!

Gospodarz w ręce gościa, gość do gospodarza,
Ciepło z ognia i miodu już członki rozmarza:
Młody Zaręba w drzemce ledwie głową ruszy,
Snać że mu pilno przyśnić boginię swej duszy;
Pan Marcin przypomina swoje młode lata...
Wtem znowu ktoś gwałtownie do bramy kołata,
Pękły bramne zapory parte z całej mocy,
I zaturkotał brzękot kowanej karocy,
I zagrział głos tubalny, co strwożył po trosze:

— Miły panie leśniczy! a otwórzcie proszę! —

Boksza skoczył, ze ściany stary oszczep schwycił:

— Jakem Okszyc z Okszyców! to jacyś
[bandyci!

Kto tam? poco? tak późno! zaraz stąd wystraszę!

— Szlacheccowie podróżni! ale wpuście wasze!

Bo ci drzwi wysadzimy — mimo dobrej woli.
Nie chcę, by zmokł na deszczu mój kołpak soboli! —
Więc strzelec odryglował zapory w swej chacie,
I weszły dwie szlacheckie czy pańskie postacie.
Starszy z gości celował wiekiem i urodą,
W złotogłowym żupanie, z patryarszą brodą,
Czupryna biała, krótka, w górę nastrzępiona,
Czytać w błękitnych oczach spokój jego łona,
A na poważnej tuszy starego brodacza
Rzemień dziany perłami zaledwie się stacza.
Drugi zasię podróżny, prawie młodzian jeszcze,
Na nim szata z czarnego jedwabiu szeleszcze,
Rzęsiście koronami strojna jego szyja,
Pięknie na czarnej szacie biały haft odbija,
Ciemna, niewielka broda drobno mu się kręci.
Spojrz na tego człowieka — westchniesz mimo chęci!
Czoło jego chmurnieje — ponad czarną rzesą;
Gdy spojrzy, w czarnem oku aż iskry się trzęsą:
Twarz młoda, lecz wybladła, zmarszczona i sucha,
Nosi piętno boleści ciała albo ducha.

Zaręba, co z daleka siedział na swej ławie,
Poskoczył i zawołał: — Witaj Stanisławie!
Świat jak morze — nie prawdaż? — poniosła nas fala,
Łodzie naszego życia rozbiegły się zdala.
Lecz gdy burza szturmuje, kiedy piorun błyska,
Oto my u komina jednego ogniska. —

Przybylec z cicha westchnął i pokiwał głową,
I najserdeczniej ścisnął rękę Prokopową,

I rzekł powolnym głosem: — Och nie wielkie dziwa!
Wszak los nie takich rzeczy jeszcze dokazywał! —

VII.

— Wyście tu dopytali starej znajomości,
To dobry znak zaiste! — rzekł najstarszy z gości,
I głosząc swoją siwą, a przemokłą brodę:
— Czołem panie gajowy! a dajcież gospode
Dwom podróżnym, co w nocy i w nawałność sroga,
Zbłąkali się, że trafić do mety nie mogą.
Po nocy, wśród piorunów, po chróstach po łomie,
Kolasa szwankowała, że znacznie coś chromie.
Deszcz opluchał nam głowy, aż leje się z czoła,
A zgłodniały żołądek o wieczerzę woła.
Już to mam z sobą w wozie, jak człek gospodarny,
Spory gąsiorek miodu, spory udziec sarny,
Że więc tutaj spoczniemy, a oschniem po trosze,
To za złe, miły strzelcze, nie poczytaj proszę.

— Och miłościwy panie! — rzekł mu Boksza na to —
Pan Bóg dzisiaj nad moją zlitował się chatą,
Bo staremu mieć gości gromadę tak zaczął,
Jakem Okszy z Okszyków! w tym lesie niełacno.

— Jakto! więc waść posiadasz herbowne zaszczyty?

— Szlachcic jestem — rzekł Marcin — Okszyz rodo-
Nazwiskiem Radoszewski — dziś pilnuję zwierza, [wity,
Potomek Ratybora czeskiego rycerza,
Za młodu człek rycersko pracował żelazem.

— Więc tu trójca Okszyków zebrała się razem! —
Zawołał pan przybyły. — Witam was z rozkoszą,
Boć Rejowie Nagłowscy Okszę w herbie noszą,
Również jak Orzechowscy — pocziwe ludziska;
Niech tedy Oksza Okszę jak brata uściska!
Hej mości Radoszewski, miły współ-Okszyzu,
Nam obu siwe brody trzęsą się na licu,
Poznajmyż się jak szkapy jednostajnej maści:
Mikołaj Rej z Nagłowic czołem bije waści!

— Jakto!... — zawołał Marcin — co u świata słynie,
Wielki Rej herbu Oksza jest u mnie w gościnie!
Panie, daj mi już umrzeć — bom szczęśliw bez miary,
Albowiem oczy moje...

— A cichoż, ty stary!

Patrz na tego księżynę, jest to Okszyz trzeci,
Lecz z nim się nie dorównać ni mnie, ni waszeci,

Bo to jest ksiądz Stanisław Orzechowski z Rusi,
 On nawet w waszych lasach znajomy być musi
 Ze sławy, co szeroko w całej Polsce lata,
 To Demosten łaciński, Cycero-Sarmata.
 K'nam świeckim idzie włócznia i zbroja stalowa,
 On jeno walczy piórem i piorunem słowa;
 Lecz wkrótce w jego rękę marne pióro gęsie
 Całą Europę zdziwi i Polską zatrzęsie.

— Och mości Mikołaju! — ksiądz Stanisław powie —
 Wam zawsze krotochwilne Figliki po głowie.
 Zamiast słuchać gawędy o mej wielkiej sławie,
 Pozwól niech ci mojego bratanka przedstawię:
 Jest to Prokop Zaręba, pieszczota Bellony.

— Czołem biję — rzekł Prokop — gwiazdo polskiej
 Sławny panie z Nagłowic! [strony,

— Czołem! — Rej powtórzy. —

Ot księżę Stanisławie, błogosławmy burzy:
 Tu pocziwego człeka znaleźliśmy chatę
 I naszych współherbowców i powinowate.
 Warto uczcić tę chwilę, bo snadź to nie żarty,
 Trzej Okszyce z Okszców a Zaręba czwarty.
 Złączmy się — aż się sypną i trzaski i wiory,
 Gdy stukną Okszycowie w herbowne topory,
 Kiedy rąbnie Zaręba — wspomnisz moje słowa,
 Że ksiądz biskup Dziaduski gdzieś w kątek się schowa.

VIII.

Starzec wiązkę murogu rozpostarł na ziemi,
 I pokrył ją na pościel szuby kudłatemi,
 I przyniósł stągiew miodu, co krew rozegrzewa,
 Na ogień rzucił wiązkę szczepanego drzewa,
 I uśmiech uprzejmości rozpromienił miło
 Oblicze gospodarskie i chatę pochyłą.
 Jak tu nie brzęknąć w czarę, kiedy dusza rada?
 Jak nie ścisnąć prawicy serdecznego dziada?
 Choć Boksza Radoszewski był leśniczym prosto,
 A Rej z Nagłowic panem lubelskim starostą,
 Przecież obadwaj szlachta, rodem spokrewniona,
 Obudwom siwe brody spadały do łona,
 I obie stare piersi jeden ogień wzdyma,
 W obu piersiach i Pan Bóg i ziemia rodzima
 Odbierają cześć świętą, jak gdyby w kościele;
 Obaj starcy bywalcy, przeżyli lat wiele.

I znali każdy kątek rodowitej ziemi,
Chleb i sól pożywali z ludźmi niejednemi,
Obaj dzielni mistrzowie łowieckiej zabawy,
Chętni na stary miodek i rozhovor żwawy,
Cóż za dziw, że przy ogniu zasiadłszy w rozmowie,
Przypadli sobie k'sercu starzy Okszycowie?

Orzechowski z Zarębą, w poważnej postawie,
Ujęli się za ręce i siedli na ławie,
I poufnie szeptają bratankowie młodzi:

— Tyle lat! ... cóż na świecie?... jak ci się powodzi?
Spytał Prokop. — My dziećmi czyż dawno. mój Boże,
Razem zbierali konchy przy jednym jeziorze?
A teraz już dorośli — ja w zbroi, ty w todze,
Błąkamy się po życia krzemienistej drodze,
Ja żołdak pospolity, jak wszyscy pancerni,
Ty już w wianku laurowym...

— Ach, to wianek z cierni! —

Zawołał Orzechowski cisnąc czoło w dłoni. —
O Prokopie, Prokopie! niechaj Pan Bóg broni
Być sławnym... gdy twą duszę rozrywają bole!
Gawiedź podziwiać przyjdzie świetną aureolę,
Co ci z czoła wytryska — daj na sztych tve serce,
Jak rzymski gladiator w cyrkowej szermierce;
A kiedy krwią obryźniesz i upadniesz w prochu,
Twoje drgania śmiertelne pośmiech dla motłochu,
Co jeszcze przed skonaniem tve zwłoki podepce. —

Tu Orzechowski umilkł i z cicha już szepce,
Aby nie przerwać starcom ich myśliwskich bredni.

Lecz już na wiązce siana i sutej niedźwiedni,
Pan Rej patrząc w ognisko, złożył głowę senną,
Drzemie Boksza strudzony pracą całodzienną,
Już gwarny Rej zasypia, zasnął i stróż lasa,
A ogień zwolna płonie, węgla się... dogasa,
I już chatnie okienko zabłysło świtaniem,
Widać pogodne niebo i gwiazd kilka na niem
I jutrznię, co na wschodzie krasno rozwinięta,
I słysząc, jak szczebiocą gajowe ptaszęta;
Bo i serca ptaszkowe, jako serca ludzi,
Nie śpią o brzasku dziennym — gdy miłość rozbudzi.
Lecz dwaj młodzi pokrewni, co siedzą przy ścianie,
Czyż i tym spać nie dawa sercowe dumanie?
Któż wie? lecz o spoczynku i śnie ani marzy
Młody kapłan ni młody porucznik usarzy.

Szepcą — a Orzechowski na braterskie łono
Przytulił pieśczośliwie głowę rozpaloną,
I głosem, co mu drżący z pod serca się leje,
W te słowa opowiada swe burzliwe dzieje:

PIEŚŃ TRZECIA.
W Y Z N A N I A.

I.

— Jam człek wolny, jam dziecię wolnego narodu —
Za cóż krzepkiemi więzy skuto mnie za młodu?
Ach, ojczel! na toż wyszły twe troskliwe chęci,
Że w przystępie rozpaczy bluźnię twej pamięci?
Nie pomnąc, że o chlebie Bóg dla nas pamięta,
Chciałeś być opatrniejszym niż Opatrzność święta!
Ojczel! na złeś obrócił rodzicielską wolę,
Kładąc księżą czamarę na młode pacholę...
Bóg mnie stworzył rycerzem na trud i na boje,
Krew gorącą, jak lawa, wlał pod serce moje:
Lecz ojciec zbyt troskliwy o mój los ubogi,
Skował dziecku łańcuchem i ręce i nogi.
Złotyć to wprawdzie łańcuch, poważny znak cześci,
Na nim krzyż, godło szczęścia i godło boleści...
Przebacz, Chryste! że ręce drętwieją bezwładne,
Że pod ciężarem krzyża Twojego upadnę!
Dano mi go... był złoty... błyskotką omamion
Wziąłem... nie obliczywszy siły moich ramion.
Ale wierzyłem, biorąc święcone błyskotki,
Że jarzmo Twoje lekkie, że zakon Twój słodki;
Ani mi się marzyło po dziecięcej głowie,
Że mądre teologi, uczeni skryhowie
Doszli w Twoich wyrokach przez pracę mozolną,
Że chcąc być doskonałym, człekiem być nie wolno,
Że trzeba skazać serce na kleszcze i noże,
Gdy się uczuć człowieczych odprzysiąc nie może.
Skąd ja to mogłem wiedzieć, nieuczone chłopię,
W mej wiosce Barańczyckiej? — pomnisz ją Prokopie?
Pomnisz, jakeśmy razem, swawolnicy mali,
Klejonego latawca na sznurze puszczałi?
Och! leciał w górę papier ze skrzydły smoczemi;
Lecz chyżej dumka moja rwała się od ziemi,
I swobodniej niż owa latająca zmija
Śmiało się po niebiosach i ziemi uwija!

To sobie wyobrażam, że zefir swawolny,
To się z chimurką pokłóce, to kwiat zerwę polny...
Tak dziecię sześćioletnie kiedy hasam śmieie,
Już mi ojciec zakupił dostojność w kościele,
I w szkole między żaki zaszczyt mi się czyni,
Żem pleban i kanonik przemyskiej świątyni.

I wiary i łaciny, którą dzisiaj gwarzę,
Uczyli mię w Przemyśle ruscy bakałarze.
Pod ich okiem, namiętne do nauki dziecko,
Łapczywie piłem mądrość i rzymską i grecką.
Tam żyłem z Homerową rycerską drużyną,
W Horacym pokochałem dziewice i wino,
Tam rozogniałem usta Cycerońską frazę,
Tam mi serce rozlechał Owidjusz Nazo.
A gdy mi biły pulsa, jako morskie fale,
Kazano zostać zimnym i czytać we mszale.
Oblegli mnie duchowie i biali i czarni;
W książce szukałem nieba, szukałem męczarni,
I toczyłem sam w sobie dzikich walk tysiące.
Owdzie zimna rozwaga, owdzie serce wrzące
Ścierały się morderczo w głębi mego ducha.
Patrzę na krzyż — i stamtąd przyszła mi otucha
I ślubowałem Panu uroczyste wota,
Nie odpocząć, aż trafię na prawdy żywota.

II.

Skończyłem lat czternaście. Mój ojciec w tym czasie
Z handlownymi Ormiany, w kupieckiej kolasie,
Wyprawił mnie do Niemiec, z niepłonną nadzieją,
Że ocean mądrości w moją głowę wleją.
Marzyłeś, zacny starcze! marzyłeś radośnie,
Że i Polsce odemnie zaszczytu przyrośnie,
I ty dojdiesz pociechy na zgrzybiałe lata,
Że syn twój będzie mędrzec na podziw u świata.
Arcybiskup Gnieźnieński i prymas koronny...
O! znikły twe rojenia, jak meteor płonny!
Bo k'ziemskim dostojnościom trzeba zimnej głowy:
Ja mam serce szaleńca i polot orłowy,
Nie umiem kłamać cnoty, w którą się nie wierzy,
Rzucać klątwy na bliźnich lub więzić kacerzy.

Niesforne moje serce i mój umysł bystry
Wittemberskie doktory wiedeńskie magistry,
Świadomi, co się dzieje na ziemi i w niebie,
Jęli kształcić i łamać każdy wedle siebie,

I każdy, wznosząc księgę okurzoną pyłem,
Wołał: Do mnie, młodzieńcze! ja prawdę odkryłem!
Ja biegłem, porzucając spoczynek i jadło,
Z pokarbowanem czołem i z twarzą wybladłą,
I patrzałem ze skrytym niepokojem łona,
Jak na skinienie Lutra germańskie plemiona,
Szarpając pisma Rzymu z zajadłością wściekłą,
Wyzywały do walki i niebo i piekło.
Od Elby aż do Renu rwąc się z całą mocą,
Jednym śmiechem szyderczym narody chichocą,
Krząc, że teraz światło prawdy się wyjaśni.
Że potargano siatkę przesądów i baśni.
Patrząc w oczy człowieka, co te cuda tworzy,
Rzekłem sobie: Zaiste! ten jest prorok Boży!
A prorok mnie pokochał uprzejmością chętną
I namiętnie rozżarzał mą duszę namiętną.
Mawiał do mnie: „Młodzieńcze! sądzono-ć zaiste,
Byś, jak Jędrzej·apostoł, światło wiekuiste
Zaniósł na Słowiańszczyznę — śmiało jeno, śmiało!
Ostrz twoje pióro, by zwalić starzyznę spróchniałą!”

Święta księgo żywota, o bibljo wzniosła!

Do twych kart uroczystych dusza mi przyrosła:
Badałem twoją mądrość i twój duch proroczy,
Aż mi krwią, aż mi ciemnem zabiegały oczy;
Upajałem się tobą, ile głowa zmieści,
I doszedłem... że miłość to treść twojej treści.
I poczułem zgryzotę, kiedy wzrok mój pada
Na twarze Melanchtona, Lutra, Karlostada:
Bo po hardych obliczach znać co w piersiach żywie —
Świątą cechę miłości zatarli troskliwie,
Zółcią, nie zaś balsamem ich serce oddycha,
Na ustach złorzeczenie, a na czołach pycha.
Wzdrygnąłem się, uciekłem ze ściśnioną duszą.
O! prorocy Chrystusa nie tacy być muszą!
Do Rzymu! hej, do Rzymu spieszymy lotem ptaka!
Kędy następca Piotra, świętego rybaka,
Sługa sług Chrystusowych błogosławi rzeszy —
On mnie prawdy nauczysz, z kacerstwa rozgrzeszy.

III.

Więc rzekłem: „Bóg was żegnaj, swarliwi mistrzo-
I w pokutnej włosieni, z popiołem na głowie, [wie!”
Szedłem do ziemi włoskiej. Lecz tam z całą siłą

Powietrze zaalpejskie krew mi rozogniło:
 Bo oczy włoskich dziewcz i auzońskie klima,
 Choćby pielgrzym był z głazu, roztopią' pielgrzymą;
 Choćby szedł do spowiedzi — tak mu kochać chce się,
 Że więcej jednym grzechem do Rzymu przyniesie,
 Jeśli miłość jest grzechem. „Grzech ciężki! grzech
 Mówiły mi klasztorne stare teologi... [srogi!“
 A owo serce gore... i mój spokój płoszy,
 Szarpane zgryzotami, pijane z rozkoszy.
 Pomnę, chciałem je zdrętwić w modlitwie i pracy.
 A padewski Bonamik, wenecki Egnacy,
 Mistrzowie sławni w świecie, memu sercu mili,
 Być zimnym a rozważnym szaleńca uczyli.
 Chcieli zagasić wulkan — o pożal się Boże!
 Nie każdy zimno czytać i modlić się może.
 Bóg rzucił w piersi moje gorejącą głównię:
 Gdy czytam, to namiętnie, — modlę się, gwałtownie, —
 Kiedy kocham, precz z myśli cała mądrość ziemi, —
 A kiedy pokutuję, to łzami krwawemi!
 Nie pytaj — czy mi dobrze z tak dziką naturą,
 Nie zazdrość — że u świata głośnie moje pióro,
 Które we krwi gorącej napawam, gdy piszę.
 Precz mi z bolesną chwałą!... dajcie mi zacisze,
 Dajcie mi pokój duszy! uleczcie z rozpaczyl...
 Uśmiechasz się Prokopie? . ja wiem, co to znaczy:
 Szydzisz w myśli, że cierpię, że dręcę się marnie!
 Och, nie usarskiem sercem pojąć te męczarnie!
 — Stanisławie! — rzekł Prokop — ale sercem brata
 Można pojąć, jak serce braterskie kołata,
 I współboleć i pomóc, gdy jest jaka rada.
 Mów dalej — twoje słowo nie na kamień pada.

IV.

Orzechowski podumał i tak dalej mówi:
 — Z Padwy z kijem pielgrzyma szedłem ku Rzy-
 I w Rzymie myśli moje dały się na poły, — [mowi.
 I Watykan poważny i Tyber wesoły.
 Tam kapłan siwobrody odzywa się śmieie:
 „Upadaj na kolana i kórz się w popiele!“
 Tam rozkoszny Horacy inną piosnkę śpiewa:
 „Chodźmy pomiędzy mirty i oliwne drzewa!
 Na zielonej murawie, w rozkosznem Tivoli,
 Wartoż wkońcu zapomnieć, że nas serce boli!

Nalej pienistem winem twą czarę głęboką,
Graj w struny i opiewaj dziewę czarnooką!"

Młodzieńcze! gdzież tu przylgnie twoje serce szczere?
Czy piosenka miłosna, czy psalm Miserere
Bardziej ci wstrząśnie duszą? Lecz cel twój wytkniony:
Nie dla pieszczot miłosnych przybyłeś w te strony!
Mówcy grzmią z kazalnicy, a każdy im wierzy,
Że uczucie młodzieńcze to wymysł kacerzy.
Że serce winni zdławić ludzie prawowierni,
I że niemasz zbawienia krom krzyżów i cierni.
Więc kiedy pomrok uczuć upajał mi głowę,
Liczyłem je za grzeszne natchnienie Lutrowe
I przepędzałem noce bezsenne a łzawe,
Mówiąc psalmy pokutne.

Lecz w świętem konklawe
Są kardynali mądrzy a pełni zalety,
Młodzieńczy Kontarini, stary Spanoletti,
Ludzie, co sami żywot Chrystusowy wiodą,
Co brzydzą się, jak śmiercią, kacerską swobodą.
A przedsię od tych mężów słyszeć było można,
Że krzywi słowa Pańskie gorliwość pobożna,
Żeśmy rygłem zamknęli podwoje do nieba,
Że i w kościele Bożym reformy potrzeba,
Że przyjdzie czas, gdy kapłan będzie mógł bez winy
Zostać zacnym małżonkiem i ojcem rodziny,
Obywatelem kraju i bratem swych braci.
O mężo, darem Ducha świętego bogaci!
O książęta Kościoła! czołem biję, czołem!
Z ust waszych promieniściej Chrystusa pojąłem:
Że Bóg nie kazał sercu zadawać katuszy,
Pastwić się fanatycznie nad uczuciem duszy,
I nie przeklął miłości; że chcąc poznać Pana.
Nie chodź między kacerze, owieczko zbłąkana.
Bo rzymski dobry pasterz Piotrowej owczarnie
Twe zwątpienia rozproszy, twe rany przygarnie.

Tak, — mawiał Spanoletti — wiem, że Paweł trzeci
Jest ojcem miłosiernym Chrystusowych dzieci,
Co związane, rozwiąże w upatrzoną porę,
Jeno zbrojni we skruchę i świętą pokorę
Módlmy się...

V.

Takiej mowy słuchałem ochoczy,
Prysnął kamień zwątpienia, co mi serce tłoczy;

A kiedym po raz pierwszy odetchnął swobodnie,
Przysiągłem, że ich słowa czynem udowodnię.
Domownik Kontarinich, Farnezich pieśczęta,
Dostojności kościelnych otwartem miał wrota:
Więc marzyłem, że kiedyś w ojczystym kościele
W obronie Chrystusowej odezwę się śmieie;
Że Bóg brzydzi się wkładać kajdany na serce.
Choćby wołał fanatyzm. Ukrzyżuj bluźniercę!
Niechaj na mnie kamieniami albo błotem ciska,
Zniosę gminu obelgi i urągowiska;
A choćby przyszło jaśnieć w biskupiej tiarze,
Wstąpię we ślubne związki, jak mi serce każe.
Dowiodę i przysięgnę, choćby wobec krzyża,
Że godności kapłańskiej mój ślub nie ubliża,
Że niedość po łacinie szargać Pańskie słowo,
I swarzyć się zęb za zęb o wiarę Lutrową,
Albo o dziesięciny. Nie próżnować marnie,
Lecz wszczepić się miłością w serce swej owczarnie,
Dać jej wzór, doskonałość jako się dościga,
I ocierać pot krwawy, kiedy krzyż swój dźwiga,
I dopomóc dźwigania — to święciej daleko,
Niż z bukowym różańcem i chmurną powieką,
Z lodowatemi pierśmi, w doktoralnej todze
Dać aniołowi pychy wyolbrzymieć srodze.
Głos ten trafi do Rzymu — a wtedy swą władzę
Apostolskie wyroki słuszość mi oddadzą,
A żmija fanatyzmu, co mię zdławić życzy,
Z pod ziemi chyba klątwy pobożne wysyczy.

Śmiało gonilem w myślach na ów bój zajadły!
Lecz gdy przyszło do czynu — ręce mi opadły!
Zląkłem się, żem ułomny przed obliczem Pańskim,
Uciekałem przed świętym chryzmatem kapłańskim,
Aż zbadam, aż uzacnię głęb mojego łona.
Lecz łódź mego żywota na szturmy sądzona
Nie mogła w cichym porcie zawinąć swych żagli.
Ojciec woła mię z Rzymu, zaklina i nagli,
Ażebym powróciwszy do ojczyzny skoro,
Został domu i braci jedyną podporą
I wykonał kapłańskie niezmazalne śluby,
I zajął wsi kościelne, co pełen rachuby
Ojciec dla mnie wyjednał. Tak się los mój kończy:
Z tytułem kanonika, lecz w świeckiej opończy,
Mędrszy kilku myślami, starszy kilku laty,

Powitałem na Rusi ojczyste Penaty.
A gdy w myślach rozważam mą przyszłość niepewną,
Mój ojciec się oburzył i tak mówił gniewno:

VI.

— Hej! przyniosłeś od Włochów snadź rozumu siła!
Lecz pomnij, że twa mądrość nasz dom przygubiła;
Cośmy mieli w klejnotach, w sprzętach, w gotowiźnie,
Przejadłeś na łacinie i mądrej greczyźnie;
Nie na tom cię we Włoszech obsypywał złotem,
By twa mądrość na Rusi zakwitła blekotem.
Ażebyś owinięty w twojej chwały tęczę
Strzelał w głowy prostaczków sofizmy szaleńcze;
Lecz raczej, abyś kształtem palmy lub jabłoni,
Co owocem nakarmi a liśćmi przysłoni,
Wsparł zubożałych braci i dom, co upada;
To obowiązek cześci: A biada ci, biada,
Jeżeli cześć domową podasz ku zatracie!
Ja o wioski kościelne starałem się dla cię,
Ty musisz być kapłanem i wzmocnić twe prawa:
Już mi i tak ksiądz Tarło spokoju nie dawa
I obsyła pozwami, żem przed kilku laty
Zagarnął na twe imię kościelne intraty.
Mądry ksiądz! lecz i moja wedle kształtu głowa!
Jutro, chłopcze, bądź gotów: na wóz i do Lwowa!
Tam zacny arcybiskup wesprze nasze chęci,
I chryzmatem kapłańskim twe czoło poświęci.
A wtedy, księżu Tarło, choćby walczyć z piekłem,
Probostwo żórawnickie...

— Mój ojcze! — wyrzekłem:
Lecz mi się w biednej głowie co innego marzy;
Ze drzeniem przystępuję do Pańskich ołtarzy,
Tysiące wątpliwości w sercu skołataniem...
Straszno mi... mógłbym zostać niegodnym kapłanem.
— A więc pozostań godnym! — mój ojciec ofuknie: —
Bierz przeklęstwo ojcowskie, albo księżą suknię,
Jedno z dwojga... rozumiesz?! wyrok się nie cofa,
Lub w łachmany opadnie toga filozofa,
I spokornieje harde mądrością oblicze:
Bo jeśli nie usłuchasz, wnet cię wydziedziczę!

VII.

Daremnie się przekłada, daremnie się błaga;
Twardą była nad dzieckiem ojcowska powaga.

Pojechałem do Lwowa, widząc opór marny,
I poszedłem przed ołtarz, jak cielec ofiarny,
I tam Piotr Starzechowski, arcypasterz siwy,
Namaścił mnie kapłaństwem na bój nieszczęśliwy,
Który staczam codziennie, jako szermierz dziki,
Z własnem gorącym sercem, z zimnemi zwierchniki
I z przesądami świata. Owdzie motłoch głupi
Rozjątrza księdza Tarły fanatyzm biskupi;
Owdzie pasterz przemyski gwoili urągania
Z żórawnickiej świątyni gwałtem mię wygania
I ramieniu świeckiemu na igrzysko poda;
Tam nikczemny Odrowąż, ruski wojewoda,
Rad się pastwić bezkarnie, kiedy zręczność baczy,
Nasyła w dom mój woźnych, pijanych siepaczy.

Biegłem po sprawiedliwość do powagi starszej,
Przed stolicę prymasa, i przed tron monarszy,
I na zjazdy szlacheckie, i w izbę senatu,
I wygrałem mą sprawę, i polskiemu światu
Dałem poznać me imię...

Nastąpił zgon Tarły:
Wstąpił po nim Dziaduski — i sprawy umarłej
Nie wskrzeszał, choć radzili prześladowcy dzicy;
Zostawił mnie spokojnym w mojej Żórawnicy.
I przecie odetchnąłem serdecznym spokojem
Z Panem Bogiem i z księgą i z łańcuchem moim;
Choć go potargać w sztuki czułem się na sile,
Lew odpoczął po walce i zadrzemał chwilę.

VIII.

Dziękuj Bogu, Prokopie, za rycerskie życie:
Bo cóż tam, że z Tatarem na ostre gonicie?
Liczysz zwycięskie szczyrby na twojem żelazie;
Choć cię wrogі zwyciężą, to w najgorszym razie
Głowę mieczem a serce oszczepem rozsieka,
Przynajmniej możesz skonać — lecz straszniej daleko,
Gdy człowiek sam ze sobą w dzikiej walce zgrzyta:
Tam i serce rozdarte, i głowa rozbita,
I zwycięstwo niełatwe, i skonania niema —
Tylko bohater ducha tę walkę wytrzyma!
Ja, ognisty młodzieniec, nad księgi zimnemi,
Wysysałem z nich życie, rwałem się do ziemi.
Ty nie znasz tego szczęścia wśród gwarnych usarzy,
Gdy się młody samotnik zaczyta, zamarzy

I przyrośnie do księgi, jak gdyby jej karta;
Ale nie znasz męczarni, gdy dusza, wydarta
Z krain zmarłego świata żywych uczuć szuka.
Szczebiotliwa jaskółka gdy w okno zapuka,
Słowik, co swej jedynej pieszczotliwie gwarzy,
Tak mu duszę rozwiośni, tak mu krew rozżarzy,
Tak pragnieniem miłości rozkołysa głowę,
Że chętnie własne serce darłby na połowę,
Byle dzielić się sercem... Niechajże niebacznie
Niesforemu duchowi folgować coś zacznie,
I na licach dziewiczych spojrzenie popieści.
I wda się w szczebiotliwy rozhovor niewieści, —
Zgubiony!! bo rozognił płomienistą ranę,
Zgubią go sny tęczowe i myśli jutrzniane...

Ginałem! — a tu przesąd i oko i ucho
I serce kazał wiecznie zakować na głucho,
I prawa kanoniczne przedemną rozwija,
I szepce, że łańcuchem skuta moja szyja.
Potargałbym przesady, zagrzmiąłbym do tłumu
Słowy Spanolettego, słowami rozumu,
I otworzyłbym piersi na uczuć powaby;
Lecz wstyd samego siebie, żem zanadto słaby.

Więc porwałem za pióro z tajemnej nadzieje,
Że wicher piśmienniczy głowę mi owieje,
Że gdy poczną mię czytać i wielbić ciekawi,
Próżność insze uczucia w mych piersiach zadławi.
Och! nie zadławić serca oratorskim szaleń:
Miłość nie zaginęła — lecz sławny zostałem;
Bo miłość kiedy wstrząśnie człowieczą budową,
Myśl jego potężnieje, rozpala się słowo,
I do serca bliźniego jako piorun grzmoce.
Świetne były mej pracy piśmiennej owoce.
Rozbiegły się po całej sarmackiej przestrzeni,
Czytali je prostacy, czytali uczeni,
A oklask, co rzeźbiście w moją cześć wybucha,
Przyświadczał, że rodakom trafiłem do ducha.
Turczyn wtedy plondrował Węgierszczyznę biedną
I wzrokiem bazyliszka pał Polskę sąsiednią.
Jam był szlachcic, więc rycerz, a choć miecza niema,
Cisnąwszy ostrzem pióra — zachwiałem olbrzyma,
I wróżyłem Sarmatom, że mu czoło przetną,
Gdy zmienią rozpacz podłą na rozpacz szlachetną.

Tam głosem świętych przodków mój głos do nich woła,
 Tam jękiem żon i dziatwy, tam w imię Kościoła,
 Bohaterskim zapalem zatrzęsłem ich łona,
 I rzuciłem, jak tuszę, nie marne nasiona.
 Czytano me Turcyki w uniesienia gwarze,
 Tłoczyli je krajowi i obcy drukarze,
 A świat mnie Demostenem łacińskim nazywa,
 I Cycleronem polskim... Ej, nie wielkie dziwa,
 Że człek, pełen miłości i dzikiej rozpaczey,
 Wymowniejszy od greckich i rzymskich gadaczy!

IX.

Więc puszczam w lot piorunu me pióro zażarte,
 I, co tylko wre w sercu, przenoszę na kartę,
 Polska musi mnie czytać, rada czy nierada.
 Czy to naród na sejmie swe klęski przekłada,
 Ja z odkrytymi pierśmi wychodzę widomie,
 Zdzieram maskę ze zdrajców i zbrodniarzy gromię;
 Czy to pożegnał żywot nasz monarcha stary,
 Ja w ostatecznym hołdzie poddańczej ofiary
 Składam na jego trumnę podarek grobowy,
 Wieniec pochwał uwity serdecznemi słowy;
 Czy gdzie kacerz wypuści z niemieckiej zasadzki
 Na zgruchotanie Rzymu swój grot świętokradzki,
 Ja spieszę zdeptać hydrę, jak powinność woła,
 Jako prawy walecznik Pańskiego Kościoła.
 Ale choć duch i ciało w ustawnej rozterce,
 Wciąż cypryjska bogini rozpala mi serce;
 Więc rzekłem: „Grzech być dłużej pastwą tych pło-
 Bo się zapal niewinny w zbrodniczy zamieni; [mieni.
 Pójdę za głosem serca, bo piekło zwycięży!“
 I napisałem księgę O małżeństwie księży.
 I puściłem ją na świat między ludu rzesze:
 Niech się pastwią pobożni — ja wiem, że nie zgrzeszę!

X.

Ciekawie moje pismo z rąk do rąk chwytno,
 I jak głównia rzucona na strzechę słomianą,
 Zażegło całą Polskę — i już pożar płonie.
 Zadrżał biskup Dziaduski na przemyskim tronie;
 Jednak władzę pasterską chcąc okazać światu,
 Wezwał mnie do podnoża swego majestatu.

Stałem... brew najeżył... chciał mnie skarać pono;
 Lecz ze mną Pismo Boże i przyjaciół grono —
 Więc zmieszany, że idę z wiarą i otuchą,
 Chciał wyklinać, lecz tylko zająknął się głucho.
 Na wiszniańskim sejmiku znów badał mą sprawę,
 Czy doprawdy mam złamać bezżeństwa ustawę?
 Mimo klątwy kościelne, mimo zbrojne straże:
 „Tak jest! — odpowiedziałem — bo sumienie każe”.
 Więc mnie pismem przypozwał stanąć na swym dworze,
 Mniemając, że się zlekne, że się upokorzę;
 Lecz ja na jego pozwie, wśród szlachty okrzyku,
 Powtórzyłem to samo, com rzekł na sejmiku:
 Żem winien posłuszeństwo nie ludziom, lecz Panu,
 I podpisałem pismo: „i n t r e p i d a m a n u.”
 Słyszałem, że rozjątrzon chce się mścić nade mną
 I pojmać i osadzić w ciemnicę podziemną.
 Ho! ho! księże biskupie, skoryś do napaści;
 Może i pan Odrowąż dopomógłby waści
 Wojewodzińską strażą — tylko trudna rada,
 Bom ja szlachcie herbowy, mnie sądzić wypada!
 Nie da sądzić na rozkaz pana wojewody,
 Ze mną szlachta w obronie swej własnej swobody,
 Nie tylko swe miecze, lecz gardło gotowa —
 Mamy powagę sejmu: jedźmy do Piotrkowa!
 Obaczym, co powiedzą posłowie i radni,
 I czyja się prawica z gromów obezwładni? —

XI.

Tu się Prokop zapytał prędko i ciekawie:
 — Jakto? więc ty małżonkę pojmiesz, Stanisławie?
 A twojaż głośna chwała? a stan-że twój święty?
 Lecz prawda... tu ksiądz Marcin, owdzie ksiądz Walenty
 Wzięli żony i ścieżkę ukazali tobie.

— I przeszli do kacerzy!... ja tego nie zrobię! —
 Zawołał Orzechowski, drąc szatę z szelestem; —
 Pójdę za głosem serca i będę czem jestem...
 Rozumiesz?... tem, czem jestem! Klnę się wobec Nieba,
 Że sofizmów kacerskich dla mnie nie potrzeba
 Że w mych piersiach goreje żarliwość pobożna,
 Że z Marcinem Krowickim równać mnie nie można,
 Bo to żmija wylęła w kacerskim bezwstydzie;
 Takim ludziom o prawdy żywota nie idzie,

Jest to wilk w owczej skórze, miękki sybaryta!

— A przecież, Stanisławie — znowu Prokop spyta, —
Mówiono, żeś go kochał i bronił jak dziecko
Przed zawziętą powagą duchowną i świecką;
Mówiono, że w Krakowie, kiedym był na wojnie,
Broniłeś Krowickiego bohaterskiem czołem? .

— Bronilem — rzekł Stanisław, — aż sam zaginałem,
Bo odtąd mnie obsiedli ludzie nienawistni.
Tak było: ksiądz Krowicki był plebanem w Wiszni;
Jam go przyjął, gdy stamtąd kacerza wygnano,
Jam mu ślub błogosławił ręką niezachwianą;
A gdy był prześladowan, ja w kornej postaci
Kołatałem do panów i do szlachty braci,
Polegałem na silnych przyjaciół drużynie:
Oleśnicki w Pińczowie, a Chełmski we Łścinie,
A Rej w nagłowskiej wiosce — to moja podpora;
Więc od miasta do miasta, od dwora do dwora
Jeździłem, przekładając Krowickiego nędzę
I prosząc o opiekę.

Ach! w tamtej włóczędze
Zginęła mego serca chwilowa swoboda:
Przebodła mię spojrzeniem czarodziejka młoda,
Że już wskresnąć nie mogę — we śnie i na jawie
To spojrzenie urocze klnę i błogosławię...
Lecz pocóż mam zatajać me uczucia rzewne?
Wszakże i nasze rody i serca pokrewne.
Prokopie, tyś towarzysz dziecięcej swawoli, .
Przed tobą można wyznać, jako serce boli.
Więc słuchaj... .

XII.

Gdzie? nie powiem, — w Krakawskim, to dosyć,
Przybiegłem o opiekę nad Krowickim prosić.
Gospodarz postać zacna i w kraju znajoma;
Ale kiedym przyjechał, nie było go doma,
Bo posłował od szlachty na krakowskim sejmie.
Więc młoda synowica wdzięcznie a uprzejmie
Zabawiała przybylcę — który do tej chwili
Pamięta każde słowo, cośmy tam gwarzyli,
I każdą grę rumieńca, co kraśniej fają,
I każde mgnienie oczu, co jak słońce palą.
Czy ona była piękną?... któż to wiedzieć może?
Insze jest piękno ludzkie, insze piękno Boże!

Ludzie mają prawidła dla kształtów, dla twarzy.
I opisali piękność jak szperacze starzy,
Co opisują w księgach dokładnie a wiernie
Garnek wynaleziony gdzieś w rzymskiej cysternie.
Lecz piękność, tchnienie Boga, odcisk jego myśli.
Grzech temu kto określa — i nikt nie określi.
Ona nie była piękną wedle piękna ziemian:
Oczy modre jak niebo i zmienne naprzemian
Jako niebo sarmackie — to pogodą błysnie,
To się chmurką zasepi niby nieumyślnie,
To poważnym obłokiem cała się ogarnie,
To promykiem słonecznym wystrzeli figlarnie.
Niechże mi to określi twoja myśl bogata!
Określ mi tę purpurę, co po licach lata,
I tę postać Diany, co skromna jak dziecię,
Co nie wie, że bogini, a króluje przecie,
Co dziwi się, gdy przed nią zdumieni uklęką...
Nie nam... nie nam, Prokopie, określić to piękno!
To nie rzeźba z marmuru, tu snadź bije łono;
A znurtować myśl Bożą nie ludziom sądzono,
Jeno czołem uderzyć...

W rozmowie nam płynie

Godzina w jednej chwili, cały dzień w godzinie.
Mówiłem jej o Włoszech, o mojej podróży;
Pytała mnie o Rzymie: czy tam kościół duży?
Czy papież siwobrody? czy po polsku mówi?
Czy nie byłem na Etnie, idąc ku Rzymowi?
Czy straszno, kiedy ognie wulkaniczne gorą?
Czy pięknie, gdy się Włoszki w niedzielę ubiorą?
Jak tłumaczyć na polskie chrzestne ich imiona?
Czy wszystkie takie chytre jak królowa Bona?
I dalszych pustych pytań rzucała mi krocie —
Że poważny teolog był przedsię w kłopotcie.
Chociaż Polska mię swoim Cyceronem zowie,
Dałbym pokój mej chwale i mojej wymowie,
A jeszczebym się Bogu pomodlił sownie,
Żeby w tak słodkiej bredni spędzić całe życie...

Nad wieczór stryj sędziwy powrócił z podróży.
Ona wybiega... wita... ochoczo mu służy,
I pieści się u kolan siwego brodacza,
I pancerz mu odpina, i krzesło wytacza,

I ognisko nanieca, i puhar nalewa.
A kiedyśmy przy ogniu suszonego drzewa
Jęli ze starym gwarzyć, kiedy z całą siłą
Biedny stan Krowickiego jasno się skreśliło:
Jako folgując serca niezłomnej naturze,
Wywołał piorunową fanatyzmu burzę,
Jak nań klątwy ciskają, jako w jednej chwili
Jego chleb mu wydarli i w nędzę wtrącili,
Że jeśli nikt tułacza nie wesprze opieką,
To go kędyś w nieznana ciemnicę zawleką, —
Stary obiecał pomoc, ile starczy siła.
A ona pilno słucha... i czoło zakryła.
Och! widziałem i dobrze zachowałem w pamięci,
Jak święta łza spólcucia w jej oczach się kręci!
Zadrżałem i przysiągłem, choć piekło się zbudzi,
Że jej rękę i serce wywalczę u ludzi.
Ja dochowam przysięgi! —

Prokop zbladł jak ściana;
Trzęsie się w jego uściech mowa przerywana.

— Stanisławie! — zawołał rwąc się niecierpliwie —
Powiedz mi... jak się zowie?... i gdzie ona żywie?...
Gdzieś widział?... gdzieś pokochał tę cudną boginię?...
Mów!... Bogiem cię zaklinam!

— Ot tutaj, we Iłscinie,
W domu pana Chelmskiego — on pewnie ci znany...
Lecz ty zbladłeś, Prokopie?

— Bom dziś niewyspany...
Mdło mi... słabo... nie troszcz się... o porannej porze
Wyjdę sobie do lasu... tam rzeźwiej na dworze. —

I prędko przywdział pancerz... i wybiega z chaty:
Za chwilę mignął w oknie jego strój bogaty:
On na koniu — a rumak już tętni w kopyta;
A harcerz głównię miecza zapalczywie chwytą;
Twarz jego płomienista, oko zaiskrzzone...
I poleciał... Od krzyża wziął się w lewą stronę
I znikł we mgle porannej. Ot wróg twojej sprawie:
Snadź mu trafiłeś w tętno, księżu Stanisławie!
Nie darmo tak poleciał, tak gniewno się miota...
Och! spotkacie się jeszcze na drodze żywota.

PIEŚŃ CZWARTA.

*

*

*

I.

Pobożny czytelniku, jeśli ci się zdało,
Że kanonik przemyski targa się za śmiało
Na kościelną powagę, że niezbyt uległy
Z nietykalnej świątyni wyłamuje cegły,
Aby krom wielkiej bramy, kędy lud się tłoczy,
Otworzyć dla się małą furtę na uboczu, —
Przepuść mu, bośmy ludzie ułomni, niestety!
I nie rzucaj kamieniami na głowę poety,
Co przytacza wyrazy, lecz ich sam nie chwali.
Nie mierzmy starych czasów wedle nowej skali.
Insza dziś, a inaczej bywało na świecie
Po narodzeniu Pańskim w szesnaste stulecie.
Wtedy Kościół Piotrowy podmywała fala,
Wtedy ogniem potężnym ołtarz się wypala.
Lecz jeno nabrał hartu w tej dwoistej próbie;
Więc z błędów staroświeckich nie gorszymy się sobie.
A jeśli, gdy czytacie, gorycz was przenika,
I serce zakipiało, i żal Kanonika,
Nie wstyďte się tych wzruszeń, czytelnicy młodzi!
Nad boleścią bliźniego zapłakać się godzi —
I wedle praw kościelnych grzechu za to niema.
Lecz za zbiegłym Prokopem puśćmy się oczyma,
I wyprzedźmy go myślą, co mknie bez zawodu,
Do stolicy Jagiełłów, do Krakusa grodu.

Król w mieście — więc krakowskie otworzyste wrota
Pilnuje z halabardy węgierska piechota,
A nudząc się na warcie o porannej dobie,
Piosenki naddunajskie wyśpiewywa sobie.
W miarę dnia coraz gwarniej, i ludność urasta,
Piesi, konni, wozowi do miasta i z miasta,
A każdy spieszo dąży, a cała gromada
Po łacinie, po polsku, po niemiecku gada,
Jak niegdyś robotniki przy wieży Babelu.
A strojów ani zliczyć w przemianach tak wielu:
Atlas, szkarłat, żelazo, migają co chwila,
Jak ubarwione pręgi na skrzydłach motyla;
Złoto iskrzy jak słońce na szlachcie i panach,

Żydowie w żółtych czapkach i czarnych żupanach,
Rycerstwo po hiszpańsku lub tatarską modą,
Tamten z sowitym wąsem, ten z trefioną brodą.
Owo pałasze brzęczą po bruku kamiennym,
Grznią wozy, miasto kipi swoim ruchem dziennym.
Patrzaj jeno po murach: oto wzrok uderza
Łazarzowa drukarnia, dalej kram płatnerza;
Dalej w pielgrzymiskim płaszczu sprzedaje dziad stary
Częstochowskie obrazki, tam włoskie towary;
Owdzie żaki uliczne i szkolne studenty
Klecą szopkę tarciczną na dialog święty.

II.

A owo ponad wroty na bielonej ścianie
W allegorycznej myśli jakieś malowanie:
Sowita gałąź chmielu wyrasta od ziemi,
Z pokręconemi wąsy, z liśćmi olbrzymiemi,
A na szerokich liściach, jak to bywa w sadzie,
Przyczepił się rój pszczelny w niemałej gromadzie.
Pięknież to mieć naukę! Ot naród prostaczy
Patrzy, a nie rozumie, co ten obraz znaczy?
Ale szlachta uczona, toć łącno zgadywa,
Że tutaj można dostać i miodu, i piwa.
Tu piwo niepoślednie łąchce smak człowieczy,
Warzy je sam gospodarz i zna się na rzeczy;
Prawda, że i pułtuskie hańbie się nie poda,
A brzezińskie klarowne i gęby nie szkoda,
I sądeckie poszóstne wysmienite bywa, —
Ale u Piotra Czopka toć piwo nad piwa.
Cóż za dziw, że P o d C h m i e l e m pełno na gawędzie?
Muzyka w dzień i w nocy na piszczałkach gędzie,
Dodawa dobrej myśli, rozwesela gości,
A świat ten — prawdę mówiąc, to próżność próżności.
W dzień jeszcze mało szlachty, lecz gdy noc się szerni,
Tam panowie usarze i młodzi pancerni
Uwijają się gwarno, brząkając pałaszem;
Nawet Jan Czarnolaski z Górnickim Łukaszem
Niekiedy tu zachodzą osłodzić swe losy —
A wesół starzec Gaska, Słasa wielkonosy
I wąsaty Mateusz i Jost ryżobrody
Na dzień dwakroć i trzykroć zajrzą do gospody.

III.

Jasne lipcowe słońce rozżarza się cudnie,
Wielki dzwon katedralny ogłosił południe,
Gdy szukając w gospodzie usarskiej gromady,
Wbieżał Prokop Zaręba pochmurny i blady,
I obrzucił spojrzaniem całą ciżbę gości.

— Czy nikogo z rycerstwa nie masz u waszmości?
Wszak tutaj się usarze schodzą ku zabawie? —

Spytał u gospodarza. Pan Czopek ciekawie
Popatrzał na Prokopa i ramiony ściska;
Lecz pan Gaska nad konwią siedzący z pobliska,
Otarłszy siwe wąsy z szumiącego piwa,
Jako rad pobłaznować, głośno się odzywa:

— Hej! nieznajdziesz tu waszmość swoich towarzyszy;

Usarstwo siedzi w kątkach jako rude myszy,
Lub śpiewa po kościołach pokorne błaganie:

Od hetmana i wojny zachowaj nas, Panie!

Bo hetman jest w stolicy, a rozumiesz jużci,

Że stary Jan Tarnowski płazem nie przepuści

I karze bez litości, choćby w oczach króla,

Kiedy huczne rycerstwo po gospodach hula.

Dziad wiekuiście fuka jeden groźny śpiewak:

A wara od szklanicy! a wara od dziewczek!

A zbroja czy błyszcząca? a przeharć pięknie!

A złóż się rohatyną, boć ręka rozmięknie!...

A kiedy się nasroży, jak lew jeży grzywą!

Czy tak, mości usarzu? — rzekł Gaska złośliwo.

— Tak — odpowiedział Prokop — jeno się dziwimy,
Że hetman, co w Tarnowie miał bawić do zimy,
Tak prędko do nas wraca.

— Pilno coś na dworze,
Pan od swojego boku puścić go nie może,

Boć to filar ojczyzny, co się tak kołysze.

Książd biskup Maciejowski dogorywa słysząc;

Król postrzegł, że swobodna od gderania głowa,

Przeraził się i posłał po hrabię z Tarnowa.

— Jakto? — spytał Zaręba — więc waszmość mówicie,
Że Maciejowski chory? że jest strach o życie?...

— Ho! ho! — zawołał Gaska — tu się coś wywiąże.

Wszak to Biskup krakowski i siewierski książę,
Kancelarz wielki koronny — niebezpiecznie chory.

Więc biskupi i wszystkie świeckie senatory

Spieszą tu na wyścigi w najgorliwszej chęci
Prędej zagarnąć spadek mitry i pieczęci.
Świeckich łechce kanclerstwo, więc patrz co się zbiera
Magnatów polskich, ruskich, pruskich et c a e t e r a !
Zapomniawszy na sejmie o minionej burzy,
Każdy panu pochlebia a uprzejmie służy.
A owo patrz, biskupom jako się podoba
Krakowskiego pasterstwa i cześć, i ozdoba,
I Siewierskiego księstwa monarchiczna władza!
Jeden króla pobożnie w świątyni okadza,
Drugi chce pokłonami podejść towarzysze,
Ów łacińskie kameny na cześć jego pisze.
Wszyscy tłoczą się społem do komnaty pańskiej,
Zebrzydowski, Przyrębski, Dziaduski, Uchański
Okazują monarsze swą chęć nieobłudną;
Ha! ale w tych pokłonach dopatrzeć nie trudno,
Że futrem lisowatę ich toga podszyta.

— Więc waszmość jesteś pewien — znowu Prokop
[spyta —

Że ksiądz biskup Dziaduski jest w stołecznym grodzie?

— Pewien jestem — rzekł Gaska — ot tutaj w gospo-
Jakiś szlachcic sierdzyty dziś językiem ruskim [dzie
Rozprawiał o swym panu biskupie Dziaduskim,
Co zbytecznie troskliwy o zbawienie duszy,
I sam pości o chlebie i dworzany suszy,
Że wkrótce doczekają Przemyślanie biedni,
Jak nakaże z ambony wieczyste suchedni;
A iż Polskę oczyścić od kacerstwa życzy,
Do ksiąg zakazanych i piwo policzy —
Bo to wymysł niemiecki, jak wiara Lutrowa.
Hej, mości Pietrze Czopek! biednaż nasza głowa!
Jak Arabi z pragnienia poginiemy marnie,
Jeżeli król mu odda krakowską owczarnię!

— Tak powiadał ze śmiechem Gaska siwobrody,
A Prokop brząknął szablą i wybiegł z gospody.

IV.

W długiej, wąsko a ciemno sklepionej komorze
Żyje biskup Dziaduski. Tylko twarde łoże,
Tylko półka z księgami u wilgotnej ściany,
Tylko w ciemnej framudze krucyfiks drewniany
I obraz częstochowski ze srebrnymi szaty:
Oto cała ozdoba pasterskiej komnaty.

A pasterz pokutniczo klęczący na ziemi
 Modli się z wielkiej księgi z klamry śpiżowemi.
 I woła drżącym głosem: „O sancta Maria!“
 I uderza się w piersi, aż echo odbija.
 Twarz blada, bo ją postem i czuwaniem niszczy,
 A rosa łez pokutnych w żrenicach mu błyszczy;
 Lecz na pochmurnem czole snadź duma nałogiem,
 Jeśli się upokarza, to chyba przed Bogiem;
 A ludzie... to jak stado pierzchliwych gołębi,
 Spojrzeniem ich podepce, uśmiechem przygnębi;
 Zna, że władza z ramienia Najwyższego Pana,
 Jeżeli chcesz z nim mówić — padaj na kolana.

A opodal pokorny, chudy, ryżogłowy,
 Stoi ksiądz Jan Czermiński, kapelan domowy;
 Złożył ręce na piersiach pod jedwabną togą
 I uśmiecha się jakoś chytrze a złowrogo.
 Chwieje się jakby z wiatrem jego postać długa,
 I uśmiecha się jakoś z wiatrem jego postać długa,
 I wciąż głową potrząsa i oczyma mruga,
 I szepce coś do siebie.

Wtem zadrgała ściana,
 Brzmi po bruku kamiennym kolebka kowana,
 Ucichło — jeno słyhać, że ktoś stąpa w sieni,
 Zapukano w podwoje: „Veni, frater! veni!“
 Zawołał ksiądz Dziaduski, powstając w pokorze,
 (Bo klasztorny obyczaj chował na swym dworze);
 I otworzył podwojów połowice obie.
 A Czermiński podbieżał snadź k'ważnej osobie.
 Gość poważnie się wtoczył — wzniosła jego głowa,
 Oblicze pełne, krasne, a pycha światowa
 Wyryła na nim piętno ziemskiego zaszczytu.
 Nosił fioletową togę z aksamitu,
 Na piersiach wielki łańcuch i krzyż szczerzo-złoty,
 Na krzyżu Syn Dawidów, Męczennik Golgoty,
 Wykonany robotą misternego Włocha,
 Zda się przymawiał pysze miękkiego pieśczocho,
 Co go nosił na piersiach — lecz nie w piersiach pono,
 Co mu jasne brylanty na pierścieniach płoną,
 Co indyjskich balsamów wonnemi przyprawy
 Maścił trefioną brodę i włos kędzierzawy.
 Snadź tylko co ucztował przy sowitym stole,
 Snadź nieźle mu się wiedzie — a na jego czole

Ani pobożnej myśli, ni światowej troski —
To ksiądz biskup kujawski, Jędrzej Zebrzydowski.

— Salvete mi! salvete in nomine Christi, —

— Zawołał głosem dźwięcznym jak harfa psalmisty,
Co, nim silnie wstrząśniona w takt zakipi rączy,
Najprzód powolne tony ze strun swoich sączy,

— Witam Waszą dostojność, mój pokłon przynoszę! —

— Salvete! — rzekł Dziaduski — a usiądźcie pro-

I ścisnęli prawice na znak powitania, [szę! —

I każdy dumne czoło do pól piersi skłania,

I skinęli obadwa i ręką i głową

Na obitą kobiercem ławicę dębową.

— Siadajcie! — Siadźcie pierwsi! — Po długim ukłonie

Zebrzydowski siadł pierwszy i po prawej stronie,

(Bo czy przy boku pańskim, czy sejmowa rada,

Starszy biskup kujawski i wyżej zasiada

Niżli biskup przemyski — tak kazano w prawie).

Ksiądz Czermiński na obu popatrzył ciekawie,

Pokłonił się i wyszedł.

— Cóż tam słyhać w mieście?

— Złe słyhać; nic nie wiecie, choć tutaj jesteście.

Sejm złożon do Piotrkowa — pożar w iskrze tleje!

Górkowie, Oleśnicy, Zborowscy, Firleje,

Cała kacerska banda na prawdę coś króci.

Szlachta kipi, aż słyhać u pańskich podwoi,

Województwa szemrają, powiaty się burzą,

Wkrótce biskupów rzymskich z senatu wykurzą,

Jako pszczoły robocze, gdy miodu naniosły.

— Zwyczajnie — rzekł Dziaduski — że senat i posły

Nad Piotrową opoką jako muchy brzęczą...

Stałość, ojcie Jędrzeju!

— A gdy nas umęcą?

— Toć pomrzem — wszakże w Piśmie rzeczono nie-
Pasterz ma oddać życie za swoją owczarnię; [marnie:

Wszak nam nie straszno umrzeć choćby tejże chwili;

Non timet moriturus — powiedział Wirgili.

— Święty, ach, święty zapal, co się u was żarzy! —

Zawołał Zebrzydowski z uśmiechem na twarzy. —

Lecz szkoda, że ów zapal ginie bez zapłaty,

Że nie rodzą owoców retoryczne kwiaty.

Może i ja za trzode umarłbym z rozkoszą,
Lecz, gdy pasterz zaginie, owce się rozproszą.
Muszę żyć — powinienem — i przetrwać złe próby;
Wilki się wałęsają u mojej chudoby,
Więc powinienem czuwać nad owczarnią Bożą.
A zresztą, księżę Pawle, nam śmiercią nie grożą.
Chcą uczynić z nas posąg bezwładny a niemy,
Wydrzeć ostatki władzy, którą piastujemy;
Pozwolą wszystkim wierzyć, jak wskazuje serce,
Podpiszą obelżywą zgodę z różnowierce;
Niech, kto wola, buduje kacerskie zborzyska,
Falsze piórem ogłasza i w druku wyciska,
Wolno mu, kędy zechce potępienie szerzyć,
A biskupom nie wolno kłatwy nań wymierzyć,
Ni uwięzić kacerza apostolską władzą.
Choćby ksiądz — twoje prawa na nic się nie zdadzą;
Polska, to kraj szlachciców, więc szlachectwu gwoi,
Co ci wolno z kanonów, statut nie pozwoli.

— Za nic! — krzyknął Dziaduski — za nic takie
Aż mu ręce zadrżały, aż oko błysnęło, [dzieło! —
Aż się żwawy rumieniec zaiskrzył na twarzy.
— A i jaż przecie szlachcic! i mój głos coś waży!
Jaż w mych ręku pasterskich dzierzę moc niebieską,
I choćby jedną jotą, choćby jedną kreską
Chciano czynić uszczerbek w mem pasterskiem prawie,
Na miecze różnowierców raczej pierś nadstawię...
Choćby król... choćby senat... i Rzeczpospolita...

— Szkoda — rzekł Zebrzydowski — że cię nikt niespyta.
Bo nie tylko w magnatach — i w szlacheckiej czerni,
Nie tylko różnowiercy, lecz i prawowierni
Burzą się jednym głosem, jak zhukana fala,
Że dzisiaj stan duchowny zanedto pozwala,
Zapozywa szlachciców przed swe sądy Boże
I sadzi do więzienia, co i król nie może.
Ot i dziś zapalczywie gadał mi te słowa
Na pokojach monarszych stary Jan z Tarnowa:

„W pochwy, mościwi księża, w pochwy kord Pio-
[trowy!

Przeście machać mieczem nad wolnemi głowy.
Jeśli kacerz w swobodach zbyt się rozhuła,
Są grody, trybunały, jest majestat króla,

III.

Potem go ojciec umieścił w szkole,
Kędy się kształci rozum człowieczy;
Tam się nauczył w ciężkim mozole
Czytać i pisać i różnych rzeczy:
Z czego to deszcze powstają w chmurze?
Co jest wymowa? co linja prosta?
Tam poznał chodząc w pięknym mundurze,
Co jest swawola i co jest chłosta?
A kiedy umiał to, co mistrzowie,
Wrócił do domu już w pełnym lecie;
Oprócz hulanki nic mu nie w głowie, —
Ot jak zwyczajnie na świecie!

IV.

Zmarli rodzice — popłakał trocha,
Wszedł między ludzi — i było błogo;
Wszystkiemu wierzy, każdego kocha,
Nie zamknął w domu drzwi dla nikogo,
Nie zamknął serca przed żadnym z ludzi
I przysiągł sobie we mszy u fary,
Że w jego sercu nic nie ostudzi
Świętej miłości i świętej wiary.
Pokochał dziewczę krasne i hoże,
Więc pisał wiersze na cześć kobiecie;
Dobrych przyjaciół zliczyć nie może,
Ot jak zwyczajnie na świecie!

V.

Tylko w rok jakoś czy we dwa lata
Płakał z niewiarą: „Biada mi, biada!
Bo widzę jasno, że miłość świata
Na moją miłość źle odpowiada.
Niby to zdoła duszę kobiecą
Rozognić miłość czysta i święta!
Ona... przez próżność kocha mnie nieco,
Ale na siebie mądrze pamięta.
Kto do ołtarza rękę jej poda,
Każdemu wieniec z mirtu uplecie;
Na taką miłość, ej, serca szkoda!“
Ot jak zwyczajnie na świecie!

VI.

Więc przestał wierzyć w miłość dziewiczą,
I stał się martwym, i cierpiał wiele;
Jeno się cieszył, że przyjaciele
Bratnim uściskiem sił mu użyczą.
Ale wśród świata zimnej rachuby
Znowu zapłakał po raz ostatni:
„O! gdyście wszyscy jak samoluby,
Więc śmieszny ku wam mój zapal bratni.
Zbrojno od świata... Najlepsza tarcza
Niewiara w sercu i grosz w kalecie;
Wszak egoista sobie wystarcza.
Ot jak zwyczajnie na świecie!

VII.

Gdy się przed światem serce zamyka,
Jużci dla serca męczarnia szczerą;
Ale nie każdy na męczennika,
Nie każdy stworzon na bohatera;
I nie każdemu łąco się uda
Wyksztalić w sobie wznioślejszej wiary,
Owej miłości, co tworzy cuda,
Rozkoszy walki, szczęścia ofiary;
Coby się chętnie przez ciernie darli,
Nie wielu takich ludzi znajdziecie;
Gdy nas zabito... tośmy umarli...
Ot jak zwyczajnie na świecie!

VII.

A więc biednemu choć łaża się ciśnie,
Dla świętych uczuć nie odżył więcej.
Pojął małżonkę bardzo korzystnie,
Wziął za nią posag — ze sto tysięcy,
Śmiał się z nadziei, dał rozbrat wierze,
Zatuczył w sercu miłość dziwną,
Jadał śniadanie, obiad, wieczerzę,
Popijał wino i sypiał smaczno;
Bóg go obdarzył potomstwem licznym;
Raz wydał obiad sławny w powiecie,
Toć go obrano sędzią granicznym,
Ot jak zwyczajnie na świecie!”

IX.

Tak przeżył długo i zebrał wiele...
A gdy już wkońcu siły nie służą,
Toć sobie umarł. Wtedy w kościele
Pozapalano świec dużo, dużo;
Ubrano trumnę w opony sine,
Bito we dzwony po całym mieście;
Potem ksiądz proboszcz za złotych dwieście
Chwalił zmarłego całą godzinę;
Potem lud Boży mogiłę sypie,
Co na cmentarzu i dziś znajdziecie;
Potem się każdy upił na stypie,
Ot jak zwyczajnie na świecie! .

X.

Żona i dzieci sprawiły sobie
Z białemi pręgi czarne czamary;
Rok i sześć niedziel były w żałobie,
Bo tak przepisał obyczaj stary.
Gdy się po roku żałoba zdarła,
Znowu się w jasne ubrano kwiatki,
Żona z kim innym śluby zawarła,
Synowie toczą proces o spadki.
Gdy skończą proces, to ani wspomną.
Że mieli męża i ojca przecie,
A spadek pójdzie w kolej potomną
Ot jak zwyczajnie na świecie!
Sierpień 1852. Wilno.

O ZABŁOCKIM I MYDLE.

PRZYPOWIEŚĆ SZLACHECKA.

I.

Wiesz co, panie Jakóbie?
Ja tych żalów nie lubię.
To już nasza natura,
Że gdzie człowiek nie wskóra,
Zaraz krzyki, hałasy:
Winien Pan Bóg, złe czasy,
Albo ludzka w tem wina,
Lub feralna godzina?...
Ej! my, panie Jakóbie,
Samy winni swej zgubie.

II.

Mamy, panie swój rozum,
Mamy nomen gloriosum,
Chleba, miodu i mleka,
Że daj Boże do wieka!
Siedź w dostatkach po szyję
I chwal Pannę Maryę. —
Gdzie tam! ani do głowy!
Gorzki nam chleb domowy...
Doma chwast i pokrzywa,
Choć grunt niezgorszy bywa,
A my ze swym lemieszem
Na cudzą niwę spieszym.
Naśladowuje chęć płocha
To Francuza, to Włocha,
A jak ludzi nie stanie,
To choć Niemca, mospanie.
Więc nie dziwne koleje,
Że nas Francuz ośmieję,
Że nas Niemiec oskubie.
Prawdaż, panie Jakóbie?

III.

Żywy przykład ci właśnie
Na Zabłockim wyjaśnię.
A Zabłocki... to wiecie,
Co to sławny na świecie,
Co to z wielkiej rachuby
Mydłem przyszedł do zguby.
Ja go znałem... Dziad stary
Siedział z kijkiem u fary,
Zebrząc chleba i strawy;
Nosił kubrak dziurawy,
Na nim torbę przypasze
I pas z herbem na blasze.
Drży bywało od chłodu...
A był bogacz za młodu!
Gdzieś na Litwie głębokiej
Trzymał gruntu trzy włoki,
Konie, pszczoły, oborę
I grosiwo miał spore.
Gdzież to wszystko przemija?
Szlachcic przyszedł do kija!

Zebrze stary i chory;
A na mszę i nieszpory
Szlachta idąc gromadnie,
Aż od śmiechu się kładnie.
Zaczepiają go młodzi:
„Jak się handel powodzi?”
A staremu nie żarty:
Płacze ręką podparty,
I choć własna w tem wina,
To on Niemców przeklina.

Raz mu jakiś podróźny
Hojnie rzucił jałmużny,
Więc, jak zwykle dziadowie,
Za dobrodziejów zdrowie
Poszedł na miód w gospodę,
I tam dzieje swe młode
Gadał... mając już w czubie.
Słuchaj, panie Jakobie!

IV.

— Byłem młody — powiada —
I zamożny nielada:
Trzos pełen, szkapa gładka,
Pracowita czeladka,
A karność jak po brzytwie;
A nad Niemnem na Litwie,
Chociaż niwa piaszczysta,
Człek na sianku skorzysta.
Dawałem sobie radę:
Do Turowa pojedę
I nakupię, mospanie,
Krówek wielkich jak łanie,
Wołów jak się należy,
Jak żubrów z Białowieży,
Wszystko siwe wspaniale
Ukraińskie rogate.
Pędzę na błonia nasze
I sowito wypaszę,
A potem z naszej trawy
Prowadzę do Warszawy,
I na mojej chudobie
Wór talarów zarobię!

Samo szczęście szło do mnie:
Po szlachecku i skromnie
Zbieram ziarnko do ziarnka,
Talarek do talarka,
I tak z trudem niemalym
Cały tysiąc zebrałem;
A talarki w tej dacie,
Jeżeli pamiętacie,
Bite jednym kalibrem
Szły dziewięć złotych srebrem. —

Gdy Zabłocki to gwarzy,
To aż wesół na twarzy,
Kręci wasy w swej chlubie,
Ot tak, panie Jakóbie!

V.

— Raz — powiada — w Warszawie
Szedłem sobie ciekawie,
Szedłem i łamię głowę,
Że tam w strony domowe
Coś mi kupić wypadnie,
Byle tylko coś ładnie,
Byle tylko nie drogo!
A zgadnijcie dla kogo?

Ha! choć miałem w tej porze
Lat z pięćdziesiąt już może,
Ale co tam! choć trzysta,
Byle dusza ognista,
Jak po maśle, jak z góry,
Można ruszyć w konkury!
A o miłą ode mnie
Mieszkał szlachcic przy Niemnie
I miał krewną daleką,
Krew, mospanie, i mleko,
Dziewczę pełne urody,
Że klękajcie narody!
Więc myślałem i szczerze:
Ot w zaloty uderzę:
Daj mi rączkę i kwita, —
I ksiądz proboszcz przeczyta
Zapowiedzi w kościele,
Potem będzie wesele,

I Zabłockich rodzina
Pójdzie z ojca na syna.
Otóż w głowę zachodzę,
Coby kupić niebodze?
Mało w oczy co kole?
Tam złotogłów, sobole,
Zausznice ze złota,
Wszystko cudna robota;
Lecz to drogo bez miary,
Senatorskie towary.
Myślę sobie: Do licha!
Nie dla szlachty ta pycha.
Mój się mieszek rozszasta,
A tu jeszcze niewiasta
(Niechaj Pan Bóg zachowa)!
Popsuć mi się gotowa;
Jakiemś cackiem, klejnotem
Kupię biedę na potem,
Śmiać się będą sąsiedzi! —
Tak Zabłocki się biedzi,
Biedzi swoją chudobą,
I miał słuszność za sobą.
Bo kiedy się niebacznie
Zbytek przed ślubem zacznie,
To cóż będzie po ślubie?
Prawda, panie Jakóbie?

VI.

— Co tu począć? zła rada!
Chciałem wracać, — powiada; —
Aż tu sklepik koło mnie,
Strojny pięknie a skromnie,
Kiedy starość przygniata,
Na nim desek ze cztery
Ze złotemi litery:
Tu są różne pachnidła,
Wonią zaprawne mydła,
Wonne wódki i wina.
Johann Gripsner z Berlina.
Ot znalazłem nareszcie,
Co potrzeba niewieście!
Tu nie musi być drogo,
Kupię dla cię, niebogo,

Funt mydelka z Warszawy
Z różanemi zaprawy;
Rzecz to u nas tak rzadka,
I niejedna sąsiadka
Pazazdrości niebodze!
Pomyślałem — i wchodzę,
I w targ z Niemcem — tfu mara!
Za funt mydła talara...
Aż przebiegły mnie dreszcze!...
A tu Niemiec w śmiech jeszcze!
Co to, Niemcze! ja dziecko?!
Znaj naturę szlachecką!
Więc zmarszczywszy nań czołem,
Talar bity cisnąłem,
I z mem kupnem wychodzę,
I tak myślę po drodze:

Co to Niemiec! no proszę!
Jak mu łatwo o grosze!
Jak on w pierze porasta!
Przemysł, panie... i basta!
Wszak to — spytaj mydlarzy:
Mydło z mięsa się warzy,
Dodaj wonnej zaprawy,
Ot i sekret ciekawy!
Zysk na mydle nie lada!
Funt... talara wypada
Bez żadnego mozołu;
Toż on z jednego wołu,
Wziąwszy pod kredkę szczerze,
Sto talarów wybierze.

U nas wołów dostatek,
Toć sprzedajem do jatek,
Głupia szlachta i kwita!
Żaden ani zapyta,
Że niemiecką iść drogą,
Większe zyski być mogą.

Nie Święci lepią garnki.
Zła korzyść z gospodarki:
Ot ja zadziwię tłuszcze,
W nowe się zyski puszczę,
I jak Pan Bóg da zdrowie,
Kupię woły w Turowie

I mydełko uwarzę —
Zazdrośćcie, gospodarze!
Bo to pod dobrą porę
Ze sto tysięcy zbiorę
Tych talarków... co wiecie,
Co w brzęczącej monecie
Bite jednym kalibrem
Po dziewięć złotych srebrem. —

W takich myślach jak w niebie
Wszedł Zabłocki do siebie,
Piękne zyski gotówką
Licząc kredką i główką;
A na takiej rachubie
Zasnął, panie Jakóbie!

VII.

Już wpadł w niemieckie sidła,
Marzy o bańkach z mydła,
I wybiera z nich plony,
Sta, tysiące, miljony,
Które tak go zdurzyły,
Że już i dom niemiły,
I małżeństwo nie w głowie.
Kupił woły w Turowie,
Roił jakieś zakłady,
Przybrał Niemca do rady,
Pan Bóg wie skąd i poco?
A z niemiecką pomocą
Zrobił kuchnię z stodoły,
Rznie barany i woły,
I nie bacząc co ziści,
Na mydlane korzyści
Stracił cały kapitał,
Jeszcze długu nachwytał.
Warzy, miesza i cedzi,
Choć się śmieją sąsiedzi,
On nikogo nie słucha,
A myśli w głębi ducha:
„Otóż będą pieniądze,
Jak się całkiem urządzę!
Jak mydełko uwarzę,
Przedam funt po talarze!

Tożto ludziska prości
Pękać będą ze złości!"

Aż tu... słyszą ludziska,
Że z pod kotła, z ogniska
Wicher iskrę wyniesie,
Buchnął ogień na strzesie,
I spłonęła stodoła,
Zginał krwawy pot czoła!
Zabłocki zły do licha...
Niemca z domu wypycha
I oblicza swe straty...
Gdzie zarobek bogaty?
Gdzie stodoła? gdzie zboże?
Gdzie bydełko w oborze?
Ot porznięte, mospanie,
Krówki tłuste jak łanie,
Woły jak się należy,
Jak żubry z Białowieży,
Wszystko siwe wspaniale
Ukraińskie rogale.

Coś tam jeszcze z pożaru
Ocalało towaru,
Ale towar ladaco.

„Cóż mi ludzie zapłacą?
Talarków sto, czy dwieście,
Niech i trzysta nareszcie,
Zawsze mało, ej mało,
Gdy się tyle wydało!
Dwa tysiączki, niestety!
Dobrej, czystej monety,
Bitej jednym kalibrem
Po dziewięć złotych srebrem.
Ej biadaż mi, ej biada!
Marnie zginać wypada,
Wstyd, ubóstwo i zakal!"
I Zabłocki zapłakał.
Bo już strata to strata,
Lecz boleśniej od kata
Przyjść samochcąc ku zgubie...
Prawda, panie Jabóbie?

VIII.

„Panie ojczę! — rzekł w biedzie —
Miłościwy sąsiedzie,
Choć już liczę dopióro
Lat pięćdziesiąt i z górą,
Lecz duch jeszcze młodzieńczy,
Miłość serce aż dręczy;
Chciejże spełnić me szczęście,
Daj mi córkę w zamęcie.“
Tak Zabłocki powiada,
Klęcząc u nóg sąsiada.
Ale sąsiad ciemięga
Skrytych myśli dosięga,
A więc śmiało odpowie:
„Ej! nie żona ci w głowie,
Jeno myślisz junacze,
Że ci posąg przeznacę,
Że ci grosza dostanę
Na tve bańki mydlane.
A gdzie byłeś w tym czasie,
Gdyś miał grosze w zapasie,
Póki chata bogata,
Dobre imię u świata?
Dziś, straciwszy kapitał,
W dziewosłęby zawitał
I uroił dziad stary,
Że mi weźmie talary,
Że mi córkę wyłudzi!
Chyba na śmiech u ludzi??
Idź do licha wasindziej,
Szukaj sobie gdzieindziej,
I małżonki i grosza!“
Tak dostawszy odkosza,
Rzekł Zabłocki sam w sobie:
„Jeszcze jakoś to zrobię,
Jeszcze bieda nie bieda,
Gdy mydełko się przeda,
I po ciężkiej nauce
Grosz inaczej obróć...“
O! na wszystko jest rada,
Więc swój towar układa

Do podróźnej kolasy,
I przez góry, przez lasy,
Przez jeziora i rzeki
Rusza na świat daleki.
I kieruje rumaki,
Kędy widzi dwór jaki,
Lub zaścianek, lub wioskę,
Kędy słyszy pogłoskę
W jakiej wiosce czy mieście
O jarmarku lub feście.
Tam na środku kiermasza
Ludzi k'sobie zaprasza,
I wmówić im się stara,
Że funt mydła talara
To jest wcale nie drogo;
Lecz nie złudził nikogo,
Bo był towar ładaco.
Ludzie nic mu nie płacą,
Jeszcze wstydzic się musi,
Bo na Litwie, na Rusi,
W całej Polsce, na Żmudzi
Już był pośmiech u ludzi,
Aż mu słuchać obrzydło
O Zabłockim i mydle.
„Daj tu radę z prostotą!
A mydełko jak złoto!
A wonniejsze od róży!
Choćby zginąć w podróżzy,
Przedam towar w Kijowie,
Aż mi będzie na zdrowie!
To nie naszym odpustym,
Tam słyszę ludzie z gustem
I nie z taką kieszenią,
Tam nasz przemysł ocenia.“
O! na wszystko jest rada.
Więc swój towar układa
Do podróźnej kolasy,
I przez góry, przez lasy,
Przez jeziora, przez rzeki,
Rusza na świat daleki.
Tak wesoło, wygodnie
Jechał cztery tygodnie,

Stracił złotych ze dwieście
I dojechał nareszcie.
Wesół z bicza wypali;
Kiedy spojrział z oddali
Na kijowskie wieżycę,
To aż skoczył na bryce,
Aż mu serce podраста.
Rusza tedy do miasta,
A to była już zima,
Lód na rzece się trzyma,
Droga po nim ubita,
Więc się o nic nie pyta,
Lecz w boki się podeprze,
Rusza lodem po Dnieprze.
Już się pod brzeg pomyka,
Wtem lód pęka — i bryka,
I mydełko, i konie,
I Zabłocki już tonie.
„Gwałt! ratujcie z otchłani
Święci Pańscy wybrani!“
Krzyknął biedny w rozpacz;
Wtem się o lód zahaczy;
I gdy zguba już bliska,
Wyskoczył z topieliska.
Wybrnął drżący jak listek;
A koniki, wóz wszystkich,
I mydełko ciekawe —
Poszło rybom na strawę.

Klasnął w ręce rozpacznie
I rozmyślać tak zaczął:
Wolać ludzi z pomocą?
Ale niema już poço,
Dnieprowemi odmetry
Wóz się strzaskał na szczęty;
A choć szczęty dostanę,
Mydło poszło na pianę.
W domu czeka... cóż? nędza,
Dziedzic z gruntu wypędza,
Bo już mija dwa lata,
Jak o czynsze kołata.
A co doma... to marnie...
Bo wierzyciel zagarnie.

Czy na Litwie człek zginie,
Czy to w cudzej krainie,
Wszystko jedno; gdzie ruszy,
Gdy bez grosza przy duszy,
Kiedy starość przygniata
Pośmiewisko u świata.
W jednej przemokłej szubie,
Żebrak... panie Jakóbie!

IX.

Zachorował od żalu,
Wzięto go do szpitalu;
A gdy niemoc omija,
Kupił torbę i kija,
Gdy nie można inaczej,
Począł żywot żebraczy.
Ale mało co zyska,
Bo już z jego nazwiska
Nawet w samym Kijowie
Było znane przysłowie.
Każdy w śmiechy i kwita,
O mydełko się pyta,
Wybadywa go ściśle
O niemieckim przemyśle,
Naszydzi, naurąga,
Lecz nie rzuci szeląga.

Otóż i zysk i sława,
Kto się z Niemcy zadawa,
Kto na Litwie lub Rusi
Ich się zyskiem spokusi.
Lecz cóż? i gadać szkoda!
Obcy zwyczaj i moda
W większym u nas honorze
Niż przykazanie Boże.
Doma chwast i pokrzywa,
Choć grunt niegorszy bywa,
A my ze swym lemieszem
Na cudzą niwę spieszym.
Tylko zmęczym się pracą,
A zarobek ładaco;
Giną młodzi i starzy —
Dmucha, kto się oparzy —

Mądry Polak po zgubie...

Prawda, panie Jakóbie?

7 grudnia 1852. Zalucze.

GRAMATYKA.

I.

O klasztorze mi się marzy,
Ale trudność w tem jedynie:
Tam się modlą z brewiarzy,
Ja nie umiem po łacinie.
Więc mi matka, więc mi ciotka
Przywołały mędrca dziada,
Co każdemu, kogo spotka,
Horacego ody gada.
Ten mi w długich chwil przeciągu
Nieskończone męki czyni:
O c, o k, o dyftongu,
Feminini, masculini,
Jak przypadki się odmienia
Przez końcówek zmianę samą...
Szło mi wszystko jak z kamienia,
A najtrudniej słowo a m o.

II.

Widzi matka, widzi ciotka,
Że czas nauk darmo płynie,
Że po polsku choć szczebiotka,
Nic nie umiem po łacinie.
Matka, ciotka rada w radę,
Że upływa piękna pora.
Że do mniszek nie pojedę,
Trzeba zmienić p r a e c e p t o r a,
Że staruszek choć co chwila
Zdań łacińskich palnie trzysta
Z Horacego i Wirgila,
Nic dziewczyna nie skorzysta.
Wrócił pewny Staś z Berlina,
Dobry chłopiec z piękną famą,
Ten niech kursa rozpoczyna,
Niech wyklada słowo a m o.

III.

Wąs miał czarny, bystre oko
 I z pochwalnym wrócił listem.
 Spojrzał w oczy, och! głęboko,
 I odmienił nauk system.
 Ucałował w rączki, w lice,
 Żem pojęła bez mistrzyni,
 Co to znaczy w gramatyce:
 Feminini, masculini...

1853. Wilno.

KOJEC Z KURCZĘTY.

I.

Świętej pamięci mój prapradziadek,
 Nigdy bywało gwarząc nie znudzi,
 Bo wielu rzeczy sam bywał świadek,
 A wiele rzeczy słyszał od ludzi.
 A iż zachował stary obyczaj,
 Gęsto używał łacińskiej frazy,
 Toć się, młodziku, pilnie obliczaj,
 Aby zrozumieć wszystkie wyrazy,
 Nie być zawstydzon w obliczu dziada
 I odnieść korzyść z tego, co gada.

II.

Wolałbym dyszeć jego rozmową,
 Niż z mądrej książki brać zbudowanie:
 Bo słowo w książce — to tylko słowo,
 A słowo w uściech — to czyn, mospanie!
 Pięknie, kto żywot czynu przeżywszy,
 Zgrzybiałe lata gawędką słodzi,
 I wiek swój młodszy, żywot szczęśliwszy
 Rozpamiętywa na korzyść młodzi.
 Raz coś o duchu świętej ofiary
 Taką powiastkę mówił mi stary:

III.

Kiedy to w Polsce Niemcy i Piasty
 Spieszyli zająć tron po Sobieskim,
 Wiódł Leszczyńskiego Karol Dwunasty,
 Gorąco było w Księstwie Litewskim.

Każdy dwór w gruzach, każda wieś pusta,
Bo rabowali cudzy i nasi:
Ci stronę Szweda, drudzy Augusta,
A wszystkich razem Szwedzi i Sasi.
Nasz stary, co się różnie obraca,
Służył rycersko w chorągwi Paca.

IV.

Raz coś husarze i petyhorce
Z noclegowiska rankiem ruszyli.
Wtem postrzegamy szwedzkie proporce
Nie dalej może jak o pół mili.
Pan regimentarz i chorągiewni
Krzyknęli: szable mieć w gotowości,
A żeśmy liczby wrogów niepewni,
Kazano z wolna iść przeciw gości.
Spięte rumaki rwą się ochoczo,
Strzygą uszami i zwolna kroczą.

V.

A że rycerstwu bój nie nowina,
Więc się nie zlekli Szweda widoku:
Jeden strzemiona mocniej podpina,
Drugi umacnia kopię w toku,
Inszy próbuje ostrza brzeszczota,
A inszy śpiewa, a inszy gwarzy —
Jakaś przed bojem żywsza ochota,
To już obyczaj naszych husarzy.
Kto mocen duchem, krzepi się w wierze,
A kto lękliwy, mówi pacierze.

VI.

Tak nieprzystępni dziecinnej trwodze,
Ruszamy dziarskim a wolnym kłusem;
A tuż, pamiętam, przy samej drodze
Stała figura z Panem Jezusem,
A od figury szła dróżka w lewo
Gdzieś do zaścianku pomiędzy zboże.
Tam... jakiś jeździec skrył się za drzewo,
Trzęzłą rumaka spina jak może;
Lecz rumak wojsko widząc z oddali,
Prosto w chorągiew z kopyta pali.

VII.

Szwed... nie Szwed zda się... gdyby to z błota
I nie tak blisko od znaku krzyża,
To się przeżegnać brała ochota,
Sądząc, że jakieś widmo się zbliża,
Jeździec bez broni w długiej czamarce,
Porozpinany, wiatrem wydęty,
Na chudym koniu wyprawia harce,
A w rękach dzierży kojec z kurczęty.
Co nas w domysłach bradziej mitręży,
To, że na głowie miał biret księży.

VIII.

A rumak sady przez rowy, miedze,
Zrównał się z wojskiem i w szereg stawa.
Co o tak dziwnym trzymać koledze?
Skąd się tu wzięła taka postawa?

— Książd!! prze Bóg żywy!! co się to znaczy?
Czego tu szuka? — mówią pancerni.
A biedny jeździec woła w rozpacz:

— Ratujcie, ludzie! och, prawowierni!
Konisko niegdyś służył wojskowo,
Ciągnie mię w szereg nałożyć głową!

IX.

Jam książd Wikary... patrzcie waszmoście:
Wracam z kołedy ot na tej szkapie.
Konisko słyszał trąbkę na moście,
Więc jak zawierzgnie, a jak zachrapie!
A jak polecą, a jak poniesie!
Aż tu mię zaniósł szalonym torem!
Ja chciałem sobie schronić się w lesie,
Lecz cóż poradzisz z końskim uporem?
Ja walczyć nie chcę, dobrzy rycerze,
Ja z całym światem trzymam przymierze.

X.

Wstrzymajcie konia, co się tak kręci,
Ja w las ucieknę! — wołał księżyna.
A byli w wojsku i dysydenci,
Więc jaki taki śmiać się zaczyna,
Wtórzą mu drudzy, choć to nie pora,
Bo Szwed nad karkiem i bić się każą;
Ale zjawisko jakby upiora
I widok księdza z wybladłą twarzą

W całej chorągwi sprawił śmiech pusty,
Jakby dialog grano w zapusty.

XI.

A księża szkapka stara i chuda
Swe stare dzieje wspominać pocznie,
Idzie w szeregu wyrabia cuda,
A rzy radośnie, a płąsa skocznie;
Jakby się dziwi, jakie to szczęście
Stare jej kości k'wojsku przywiodło;
Książd stracił cugle, zacisnął pięście,
Tak się oburącz trzymał za siodło;
Kojec z kurczęty rzucił na stronę.
Szeptając psalmy i antyfonę.

XII.

Wtem dano ognia — huknęło w ciszy,
I szwedzka kulka między nas gwiźnie,
I petyhyrskich dwóch towarzyszy
Poległo trupem gwoli ojczyźnie.
Zagrała bitwa, bitwa nielada!
Wróg nie folgował w strzelaniu gęstem;
Niejeden husarz na ziemię pada,
Niejedna zbroja łamie się z chrzęstem;
Póki na ostrze gonić nie poczną,
Snadź poniesiemy stratę widoczną.

XIII.

W dymie, kurzawie jam szukał księdza,
Mówiąc do swoich: — My go osłonim!
Tylko że kula nic nie oszczędza,
Albo ze strachu może już po nim. —
Wtem znowu szwedzka kula zaśwista
I ktoś raniony z boleści jęknie...
Patrzę: u księdza twarz promienista,
W oczach tak bosko, tak było pięknie,
Zdaje się światłość biła mu z czoła.
Gdy uroczystym głosem zawoła:

XIV.

— Tu moje miejsce! dzięki Ci, Pani!
Żeś mi ukazał żniwo posługi! —
Rzekł — i odważnie a niespodzianie
Z siodła na ziemię skoczył jak długi.

Ukląkł przy rannym w piersi rajtarze,
Przeżegnał głowę i ucho schyla,
I grzechy życia wyznać mu każe,
I na wieczności drogę posila.
Krwawo z rycerstwem biją się Szwedzi,
A ksiądz wśród bitwy słucha spowiedzi.

XV.

Wśród szczęku mieczów i świstu kuli
Chodził w szeregach w pełnej otusze,
Ranionych mężów w ramiona tuli,
A konających poleca dusze.
A choć mu wystrzał nad głową palnie,
Słowa nie przerwie, nie zmruży oka;
Pełniąc swój urząd sakramentalnie,
Czuł nad swą głową tarczę z wysoka,
A tyle męstwa, co w jego twarzy,
Może się nigdzie widzieć nie zdarzy.

XVI.

Skończono bitwę — Szwedów odparli,
Noc się już ciemni, zorza promieni.
Na bojuwisku tylko umarli,
Tylko zostali ciężko ranieni.
Na krwawej ziemi klęcząc wikary
Kończył spowiadać rycerstwo ranne;
A na uboczu koń jego stary
Ogryzał polny chwast i dziewannę,
Czekając pilno wedle namiotów,
Póki pan w drogę nie będzie gotów.

XVII.

Rozbito obóz — kipi biesiada,
Piją i pieją husarze młodzi;
A ksiądz wikary grzebie, spowiada,
Odśpiewał psalmy i już odchodzi.
Próżno na ucztę proszą wodzowie,
On się wymówił w pokorze świętej.
Jakże był wesół, kiedy w parowie
Zdołał odszukać kojec z kurczęty!
Na starej szkapie odjechał klusem
Wedle figury z Panem Jezusem.

SPOWIEDŹ PANA KORSAKA,
CHORAŻEGO POŁOCKIEGO.

G A W Ę D A.

I.

Ksiądz Dominik Podolec — jak ze skryptów widzę —
Był jezuitą w Krożach, w Połocku i w Rydze;
Nie nazbyt tęga głowa, lecz pocziwa dusza,
Cały wiek przekolał w stopniu socyusza.
Lekce go ważą bracia i starszyzna cała,
Począwszy od rektora aż do generała;
On z wesolem obliczem, w wytartej czamarze,
Bez szemrania był wszystkim, co starszyzna każe:
Ogrodnikiem na lato, szafarzem na zimę,
Uczył Sintaxim w Krożach, w Nieświeżu Infimę,
Słowem, mimo przykrości, mimo wszystkie ciernie,
On wszędzie siedł ochoczo, działał prawowiernie,
Nie śmiejąc się, gdy wesół, — nie płacząc, gdy boli,
Nosił w prostocie ducha sukienkę Lojoli.
Jużci — grzech mu zaprzeczyć, że dusza pobożna,
Lecz jak mówił ksiądz rektor: „Gorliwszym być można
To jakoś do wziętości u ludu pomaga,
Modląc się wznosić oczy jak święty Gonzaga.
Niezgorszy jesteś mówca, ale prostak z waści,
A kiedy się polszczyzna łaciną namaści,
Zaraz mówią słuchacze: to mi erudyta!
Figura retoryczna aż za serce chwyta!
A waść co? gdy spowiadasz, to naród się ciśnie,
Ale to dla zakonu idzie bezkorzystnie.
Widząc, że już na serce działa skrucha święta,
Czyś zyskał choć jednego w świecie penitenta,
Coby tknięty do gruntu twojami przestrogi
Uczynił zakonowi zapis choć ubogi?
Jaka nam z ciebie korzyść i pociecha jaka?
Tak bywało ksiądz rektor spowiada prostaka,
A biedny ksiądz Dominik kłania się z pokorą
I przyrzeka poprawę — lecz mu nie szło sporo.

Już to... co miał pod sercem, to gadał bezwzględnie,
Gdy mówił świętą prawdę, to aż ucho wiednie,
Kiedy usiadł za kratkę, to wszelki wzgląd znika:
Pokutnik popamięta ojca Dominika!

Czy to ubogi rolnik, czy szlachcic z waszmości,
Sto pacierzy odprawi, sto piątków odpości.
Ksiądz nie wyłudzał ofiar namową figlarną,
Lecz po prostu nazywał co biało, co czarno;
Niepamiętny na względy, co komu należą,
Zajazdy zwał rozbojem, procesa kradzieżą;
Każdego we łzach skruchy tak skąpał przykładnie,
Że grzesznik popamięta, nim w grzechy upadnie.
Wiedzieli o tem dobrze i wielcy i mali,
Nie wiem czy go lubili, ale szanowali.

Tak bez żadnych godności, z dziwaczną naturą,
Dokołatał w klasztorze lat sześćdziesiąt z górą;
Wiek już zbielił mu głowę i przytępił oczy, —
Lecz starzec do roboty jak młodzik ochoczy;
Gdzie się potrzeba udać — nim drudzy pospieszą,
Rusza ojciec Dominik, a najczęściej pieszo.
(Bo tak już uradzili zakonni ojcowie,
Że staremu przechadzka posłuży na zdrowie).

II.

Raz na takiej podróży, przed samą już nocą,
Szedł stary ksiądz Dominik, — a dokąd i poco?
O tem milczy kronika, z której powieść bierzem —
Szedł zajęty myślami, czy świętym pacierzem,
Chciał zrobić jeszcze milę o wieczornym chłodzie,
A potem zanocować w jakowej gospodzie,
A jutro do podróży, nim słońce zaświta.
Droga szła między bujne pszenice i żyta,
Przez groblę aż pod krzyżyk i pod uschłe drzewo;
Na prawo były pola, a wioska na lewo.
Z wioski go dolatywał rozgwar niedaleki.
I wionął rzeźwy chłodek z jeziora czy rzeki,
Aż przypominał Wirgila stary jezuita
I powietrze wioskowe z upojeniem chwyta,
By starą pierś odmłodzić.

Wtem opodał krzyża
Ujrzał, że jakaś postać k'niemu się przybliża:
Bieży co siły starczą jakiś dziad wioskowy,
Słomiany mu kapelusz ulatuje z głowy;
Lecz stary nie uważa — znać ból tego czleka,
Bo ręce załamuje i krzyczy z daleka:

— Księżu! pospieszaj!... prędzej! bież co siła zmoże!
 Kona mój syn jedyny... o Boże mój, Boże!
 Gdzie tam syn?! — to mój anioł i zawsze i wszędzie —
 Dla rodzonego ojca żaden syn nie będzie,
 Czem ten człowiek był dla mnie... w miłości, w posłu-
 Bo proszę jegomości — to jest dziecko cudze, [dze!
 Lecz kochał mię, pracował, ach! pracował szczerze!
 Pan Bóg go przysłał do nas — i Pan Bóg go bierze.
 Taki młody... a wszelka nadzieja stracona...
 Prędzej... prędzej... jegomość! bo może już kona,
 Bo go kaszel suchotny do reszty zakrzusi,
 A biedne jego serce przynębiać coś musi!... —
 Tak woła stary wieśniak, piersi nie oszczędza,
 I pada rozpaczliwie tuż przy nogach księdza. —
 Prędzej spiesz go rozgrzeszyć... bo życie ucieka!
 Moja chata przy drodze... ot widać z daleka...
 Widać... goreje w oknie światło od łuczywa...
 Mój Boże!... on tam jęczy, on tam dogorywa! —

III.

Takiej rozpaczy czarodziejska władza —
 Ksiądz jezuita spojrział na ognisko,
 I jednym skokiem już przez rów przesadza,
 Bieży przez mokrej łąki grzęzawisko,
 Zda się, że starzec zolbrzymiał na sile —
 Skąd taka lekkość i oddechu tyle?
 Aż stary wieśniak zawołał przełękły,
 Patrząc na księdza: — Stój, stary junacze!
 Tożby się piersi młodzieńcze rozpekły.
 Jak on przez pole poorane skacze!
 W człowieku taka nie może być siła,
 Toć chyba Pan Bóg anioła przysłał! —
 Tymczasem kapłan odmłodzony prawie
 Wchodzi do chaty w pobożnej otusze.
 Tam młody wieśniak na szerokiej ławie
 Jęczy i Bogu poleca swą duszę;
 Przy nim niewiasta płacząca boleśnie
 Trzyma gromnicę i wywodzi pieśnię.
 Lecz konający przy blasku łuczywa
 Gdy ujrzał księdza — wzrok mu się rozżarza;
 Podniósł się z ławy, a rumieniec żywy
 Przebiegł po złotem obliczu Łazarza;

I głosem drżącym, co z pod serca płynie,
Powitał księdza... aż ten się przeleknął:
O cudło!... wieśniak mówi po łacinie
Mówi z zapalem, poprawnie i pięknie:

IV.

— Na smutnej życia mego drodze
Drugi raz, ojczy, ciebie znachodzę,
Czuję nadzieję w sercu tajemną,
Że łaska Boża czuwa nade mną.
Możesz zapomniał, jakieś przed laty
Dziecko zbrodnicze, zbytciem zepsute,
Skazał na ostrą, ciężką pokutę;
Dzisiaj przychodzisz do wiejskiej chaty
Przypomnieć życia mego koleje,
Obaczyć, co się z sumieniem dzieje,
I w miłosierdziu, co granic niema,
Rozgrzeszyć ciężką zbrodnię Kaime.
Pokutę twoją w szlachetnej pysze
Miałem za twardą, dziką, dziwaczną;
Lecz tu modlitwa, praca, zacisze,
Przyniosły duszy pociechę znaczną.
Już w sercu czuję niebiańską radość,
Czuję przy sobie stróża anioła.
Łzy moich oczu, pot mego czoła
Czyżby już Bogu uczynił zadość
Za moją zbrodnię? Powiedz mi, księże,
Czy mię rozgrzeshysz w samej istocie?
A wszelką bojaźń śmierci zwyciężę,
Umrę jak Dyżma łotr na Golgocie,
Którego ciężkie sumienia rany
Uleczył Chrystus ukrzyżowany. —

V.

Tak mówił konający. A starej kobiecie
Łzy leją się po licach, głos tamują żale:

— Och! biedny, biedny Kuźma! on w gorączce plecie,
Gada świętą łaciną, jakby ksiądz we mszale.
Wkrótce stanie przed Bogiem, gdzie my wszyscy sta-
[niem...

Boże! ulżyj tej duszy przytomnem skonaniem! —

Tak mówiła niewiasta zawodząc w rozpacz,
I starzec wszedł do chaty i załamał ręce.

— Matko, rzekł jezuita, chory nie majaczy,
Pozwólcie, ja mu chwilę rozmowy poświęcę;
W stygnących jego piersiach snadź Duch mówi Boży,
Dajcie, niech przed kapłanem sumienie otworzy. —

Więc kmiotkowie pokłękli i patrzą ciekawie,
Tłumem do progu chaty zeszli się sąsiedzi;
Ksiądz, u głowy chorego zasiadłszy na ławie,
Przeżegnał go, odmówił modlitwę spowiedzi;
Młodzieniec podniósł głowę orzeźwion widocznie,
I znowu po łacinie tak przemawiać pocznie:

— Przez całeś twoje życie, miłościwy księże,
Wyrzucał z piersi ludzkich robactwo i węże,
Grzech albo zbrodnię tajoną;
Więc nie dziw, żeś grzesznika nie poznał w tej chwili.
Czy cię pamięć zawodzi, czy mój ubiór myli,
Nie przypominasz mię pono.

Lecz pomnisz, kiedy w kraju plondrowali Szwedzi,
A rycerstwo przed wojną biegło do spowiedzi,
Wiedząc, że w bójce śmierć czeka;
Wtedy tutaj, na Litwie — przypominasz może,
Jak przed kratką młodzieniec w pancernym ubiorze
Wyznał, że zabił człowieka.

Ja byłem tym zbrodniarzem, co na zgubę dąży,
Młody Kazimierz Korsak, połocki chorąży,
Pan mnogich zbiorów i włości;
Rozhukany w szlacheckich równienników kole,
Nie znałem żadnych granic na moje swawole,
Ani wędzidła dzikości.

Poszargawszy uczucia szlachetne i piękne,
Wierząc, że kędy zechcę, gdzie groszem zabrzęknę,
Żadna przeciwność nieznana,
Lecąc przez namietności szerokie bezdroże,
Pokochałem w mej wiosce jedno dziewczę hoże
Grzeszną miłością szatana.

Ale któżby uwierzył... o wstyd i sromota!...
Mimo czułe zaklęcia, mimo góry złota,
Dziewicze serce jak skała;

Nad hojne obietnice, nad pańskie namowy,
Droższy był pięknej Hannie parobczak wioskowy,
Którego dawno kochała.

Więc piekielne w mych piersiach wylęgły się jędze;
Jako!... jedno pacholę... jeden chłop w siermiedze
Ma mi zawadzać w rachubie?

Albo musi ustąpić, lub biada mu, biada!
Przysięgam na mój pałasz, na herb prapradziada,
Spółzawodnika zagubię!

W duszy zbrodniczy zamiar dojrzewa pomału.
Raz... było to na łowach... na sam cel wystrzału
On stanął przed okiem mojem;
Dłoń mi drgnęła ku strzelbie, i za kurek cisnę,
I niby od niechcenia, w piersi nienawistne
Gruchnąłem ostrym nabojem...

Padł... zawołał ratunku, lecz ratunek próżny...
A ludzie powiedzieli, że był nieostrożny,
Że snuł się, gdy strzelać pora, —
I pogrzebli przy drodze śmiertelne ostatki.
A on był syn jedyny u ojca, u matki,
Jedyna chaty podpora.

Po nim nieszczęsna matka i kochanka płaczą,
Ojciec młodego pana przeklinał z rozpaczą —
Lecz co umarło, nie wskrześnie.
A zabójca już nie miał spokoju na ziemi,
Bo mię widmo wieśniaka z pierśmi skrwawionemi
Ściga na jawie i we śnie.

Czy spełniam wpośród uczty biesiadne koleje, —
Stary węgrzyn w kielichu szumi, czerwienieje,
Krwia trąci kielich i wino;
Czy w tańcu, kędy dziewy i młodzieńcy świetni, —
Słyszę w wesołych tonach skrzypicy i fletni
Bolesną rozpacz matczyną.

Zamiast w męczarniach duszy konać niespokojnie,
Szedłem zbrodniczą głowę położyć na wojnie;
A gdym się szarpał w tym stanie,
Przyszedł rozkaz hetmański wśród bojowej chwili,
Aby wszyscy pancerni spowiedź odprawili —
Tam cię poznałem, kapłanie.

VII.

Powiedziałeś mi wtedy, pomnę każde słowo:
„Nie dosyć gorzkim żalem, pokutą surową
Błagać o przebaczenie miłosierne Nieba;
Za ten grzech najprzód ludzkość przebłagać potrzeba.
Nic tu pokutna włosień, nic szaty pielgrzymie,
Nie w siedmiogórnym Rzymie, nie w Jerozolimie,
Zadosyćuczynienia chce kościelna władza;
Tam tylko, gdzie zgrzeszyłeś, niech się grzech zagładza.
Nie powiem: O d e j d ź w P a n u! z g ł a d z o n a t w a
Dopóki stary ojciec mordercę przeklina. {w i n a,
Patrzaj — tam jęczy starzec na wiejskim zagonie;
Pot ze krwią pomieszany oblewa mu skronie;
Już go tam wyręczała synowska posługa,
Zniedołężniały starzec odwyknął od pługa;
Dzisiaj daremnie liczy na siłę zdradliwą,
Woły go nie słuchają i pług idzie krzywo;
Pada dziad siwobrody w trudach i boleści,
Już go syn nie zastąpi, ni wnuk nie popieści.
Tyś, niebaczny morderco, za jednym wystrzałem
Zamordował rodzinę i z jej szczęściem całem,
Ojcaś przywiódł do nędzy, matkę do rozpaczey,
I mniemasz, że ci Pan Bóg tak łącno przebaczy?
O! choćbyś progi świątyń porozbijał głową,
Choćbyś jadł tylko piasek i trawę surową,
Choćbyś poszedł do Rzymu i boso i pieszo.
Nie rozgrzeszę cię pierwej aż oni rozgrzeszą.
Zrzuć ten pancerny ubiór, co na tobie błyska,
Zapomnij szlacheckiego herbu i nazwiska,
Wdziej włosianą siermięgę, jaką noszą chłopci,
Przepasaj twoje biodra powrozem z konopi,
A pójdz do twojej wioski, dziedzicu bogaty,
Na służbę wyrobniczą do sierocej chaty.
Tam straconego syna zastępując szczerze,
Poświęć całą usilność sosze i siekierze;
A gdy po długich leciech, po mozolnej pracy,
Przyznają cię za syna zgrzybiali wieśniacy,
Wtenczas upadniesz do nóg i matki i ojca,
Wyznając, żeś ich dziedzic, żeś syna zabójca.
A gdy grzech i pokutę uznają przytomni,
Gdy ci ojciec przebaczy, gdy matka zapomni,

Wtedy w kratę spowiedzi zapukasz swobodnie,
A ja w imię Chrystusa odpuszczę ci zbrodnię“.

VIII.

Skruszon odszedłem od krat spowiedzi,
Ale w obozie pierzchnęła skrucha.
Książd, myślę sobie, Bóg wie co bredzi,
Któż tam dziwaka rady usłucha?
Tylkoby ze mnie, z mego nazwiska
Był w całym wojsku cel pośmiewiska;
Tożby się śmieli jezdni i pieszy,
Wszyscy Sarmaci, wszyscy Litwini!
Szlachcic zazwyczaj orężno grzeszy —
Niechże orężno pokutę czyni.
A za występek ja, zbrodniarz młody,
Będę Niebiosom ja czynić zadosyć,
Suszyć do śmierci piątki i środy
I włosienicę drucianą nosić
Kiedy błyszczącą przywdzieję zbroję,
Nikt nie odgadnie, nikt nie wybada,
Że robak żalu żre piersi moje,
Że ostry bodziec ciało przejada.
Bo czyż koniecznie zbawi mi duszę
Wioskowa chata, gruba sukmana?
Szlachcie przechodzić na plebejusze —
Pokuta dziwna i niesłychana!

IX.

Tak mniemałem złagodzić zbyt ostrą pokutę,
Nie zniżyć się do gminu, a udręczać ciało;
Ale serce, rozpaczą i zbrodnią zatrute,
Trwożliwie w piersiach pukało.

I bladłem, kiedy sygnał do boju posłyszę,
Że tu przyjdzie położyć potępioną głowę;
Gdy w wesołej gromadzie szumią towarzysze,
Ja słyszę jęki grobowe.

W nocy pragnąlbym zasnąć, lecz prózne nadzieje,
Choć, zda się, unużyła całodzienna praca;
I marzyłem, że trunkiem frasunek zaleję,
Lecz wino w krew się obraca.

A gdy stoję na czatach w polu czy na łące
I słyszę pieśń żniwiarzów swobodną i błogą,
To mi serce tak bije, że aż ręce drżące
Włóczni utrzymać nie mogą.

A kiedy pęka serce, gdy się myśl rozmarza,
Rzucam włóczęgę i polem jak szalony pędzę,
I zazdrościłem szczęściu wiejskiego żniwiarza
W jego wełnianej siermiędze.

Tom się karmił nadzieją, że pychę zwyciężę
I szlachecki złotogłów na sukmanę zmienię;
To przeklinałem ciebie, miłościwy księże,
Żeś mi rozdrażnił sumienie.

X.

W takich męczarniach raz mi się zdarza
Otrzymać rozkaz regimentarza,
Bym we sto koni wyruszył — z bliska
Rozpoznać szwedzkie obozowiska.
Ruszam pod wieczór, i w tejże chwili
Moi pancerni Szweda złowili.
Nuż go się pytać — a on nas mami,
Że jego wojsko gdzieś za górą,
Gdzieś za rzekami w niewielkiej sile
Stąd obozuje o cztery mile.
A więc z powziętej radzi pogłoski,
Idziemy na noc do bliskiej wioski;
Tam w dymnej chacie, na wiązce siana
Usnęła nieco głowa znękana.
Alić nad rankiem, gdy jeszcze ciemno,
Sygnał bojowy zagrał nade mną.
Budzę się, zrywam, przywdziewam odzież;
Szwedzi już w wiosce, a nasza młodzież
Już się uciera, słyszę z oddali,
Kopie kruszy i z rusznic pali.
Rzucam się na koń, daję rozkazy,
Lecz siły szwedzkie o dziesięć razy
Większe od naszych.

Ale w rozpacz
Żaden z pancernych tego nie baczy,
Lecz na kark wrogom wali się szczerze,
I szyki łamie, i jeńce bierze.

I zaczęł obóz usłyszał cały
Nasze sygnały, nasze wystrzały,
Nim dobiegł hetman z posiłki swemi, —
Już trupy szwedzkie leży na ziemi;
Reszta pierzchając pali w kopyta.
Już piękna jutrznia na niebie świta;
Spojrzę na siebie — cóż to? mój Boże!
Zamiast w pancernym błyszczeć ubiorze,
Zbudzony ze snu bojowym strzałem,
Prostą siermięgę chłopską przywdziałem,
I w tej siermiędze, syty zdobyczy,
Zyskałem piękny laur bojowniczy.

XI.

Gdy nasi pieją pieśnię pośród bojowiska,
Gdy mi hetman dziękuje i k'sercu przyciska.
Ja upadłem — i ziemię uderzając czołem,
W głębi mojego ducha rozmyślać począłem:
Czy trafem się przywdziała wieśniacza sukmana?
Czy może palcem Bożym dobitnie wskazana,
Bym poświęcony pracom, obleczone w pokorę,
Potłumił straszne piekło, co mi w piersiach gore?
Och! dotąd cóż sny moje? co moje czuwanie?
Jeden, wciąż jeden widok dręczy nieprzerwanie;
W lesie skrwawiony wieśniak na sosnowej kłodzie
Konającym spojrzeniem aż mię na wskroś bodzie;
Świszcze krew z jego piersi, oczy mu zalewa;
Ojciec, matka, kochanka, skupieni u drzewa,
Jęczą grobowym głosem... Ja słyszę ich żale
W pluchotaniu jeziora, w bojowym sygnale,
Słyszę je w dziennym gwarze i w nocnej zaciszy,
I w hulackiej piosence moich towarzyszy...
Bóg was żegnaj obozy i zwycięstwa moje!
Chyba w głuchej pustyni serce uspokoję.

Tak pożegnawszy wojnę i mój triumf świeży,
Poszedłem pokutować do puszczy Białowieży,
I tam w gęstwinie jodeł, kędy ścieżka znika,
Rozpocząłem surowe życie pustelnika.

XII.

Jak zbawienie moje witam las ponury —
I w wąwozie leśnym, między dwiema góry,

Pod sosnowym karczem, pod granitu głazem,
 Wykopałem sobie grób i chatę razem,
 Wysypałem łoże piaszczyste, darniowe,
 Zawiesiłem nad niem krzyż i trupa głowę.
 Tam na twardym żwirze od nocy do rana
 Klęcząc na modlitwie, krwawiłem kolana;
 Od ranka do nocy skulony na ziemi
 Jątrzyłem sumienie myślami gorzkiemi;
 Za napój z potoku garściami wodę biorę,
 Gryzę liść brzeziny i dębową korę,
 I tak wciąż się modłę, i tak ciało dręcę,
 Że w tydzień opadły me siły młodzieńcze.

A jednak w modlitwie, w czuwaniu i poście
 Nic ducha się nie krzepi, otucha nie roście,
 Nie zjawia się spokój, ni święta swoboda,
 Bo grzech mój za ciężki, bo dusza za młoda;
 Drga serce w torturach wewnętrznej męczarnie,
 A myśl rozpaczliwa do głowy się garnie.
 O! łatwiej starcowi, łatwiej eremicie
 Prowadzić na puszczy bogobojne życie;
 Młodociane serce w inszy takt kołata,
 Potrzeba dlań uczuć, potrzeba dlań świata!
 Niech dźwiga ciężary, niech trudy pokona,
 Niech czyny olbrzymie wykwitną mu z łona,
 A wtenczas jak święty umocni się w wierze
 I wtenczas znaczenia modlitwa nabierze,
 I miłość młodzieńcza, i święta otucha.
 I czyn jego ramion, i myśl jego ducha.

XIII.

Jam tych prawd nie rozumiał, i mnie się zdawało,
 Że chcąc ducha rozwinąć, trzeba zgnębić ciało;
 Że gdy je całkiem zgnębię, że gdy zamrę w czynie,
 Doskonalsza modlitwa z mej piersi popłynie;
 Że szatan nie dosięże, gdy od niego stronim...
 Pasowałem się z sobą, jak święty Hieronim
 Na bezludnej pustyni — lecz w tych walkach zgoła
 Nie wyszedłem zwycięzcą, jak Doktor Kościola.
 Duch mój pada, lepianka cielesna się kruszy,
 Bom nie obliczył zdrowia ni sił mojej duszy;
 Usta z głodu czerniały, pierś pragnieniem gore,
 Straciłem w rękę siłę i w nogach podpórę;

Gdzie spojrzę, krwawe pręgi latają koło mnie,
Myśl wyteżona k'niebu rwie się bezprzytomnie;
Zapomniałem, kto jestem? gdzie jestem i poco?
Tylko głowa coś marzy, usta coś bełkocą,
Aż w dzikim szumie lasu sen objął mię złoty,
Utraciłem poczucie mej własnej istoty.

XIV.

Palon gorączką, nie pamiętam zgoła,
Jak wiele czasu przetrwałem w tym stanie...
Kiedym się ocknął, poglądam dokoła:
Jam w wiejskiej chacie złożony na sianie,
A nad mą głową, — czy widzę? czy marzę? —
Zwisły dwie ludzkie nieznajome twarze.
W lnianej odzieży jasnooka dziewa,
Zarumieniona, to naprzemian blada,
Pot mi ociera, do ust napój wlewa,
I patrzy w oczy, jakby życia bada.
Półwieczny wieśniak, siedzący koło niej,
Mego oddechu z natężeniem słucha;
Pokiwał głową, podparł się na dłoni
I buchnął dymem z krótkiego cybucha.
Twarz ogorzała, wąsata, brodata,
Lecz słodki uśmiech po twarzy mu lata;
Na silnych barkach miał sukmanę siwą,
Borsuczą torbę i przykrycie głowy;
U jego pasa był nóż i krzesiwo
I na rzemieniu kręty róg wołowy.
Patrzę się pilno... mniemałem, że roję;
Badam, czy żyję — lecz serce kołata;
Chcę mówić — słowa rozległy się moje:
— Kto wy jesteście? i jaka to chata?
Czemu nie jestem w pustelnej pieczarze?
Czym ja przytomny? czy ja we śnie marzę? —

XV.

Rzekł mi: — Ja jestem tutejszy gajowy,
A wasza miłość, nie wiem kto jesteście.
Leżałeś w lesie bez ducha, bez mowy
Całą godzinę; zagadałeś wreszcie
Coś bezprzytomnie niby przy fortocy

Rycerz zajęty bojowem rzemiosłem.
Widząc, żeś chory, wziąłem cię na plecy
I do mej chaty, do córki zaniósłem.
Tutaj na sianie, to spałeś jak drewno,
Toś sobie jakieś przypominał zbrodnie.
Tak między życiem a śmiercią już pewną,
Myśmy was strzegli całe dwa tygodnie.
A człowiek jakoś na puszczy dalekiej
Zna różne ziółka, i kwiatki, i trawy:
Wziąłem cię leczyć... i Pan Bóg łaskawy,
Ot, jakoś proste powiodły się leki.
Kto waszmość taki, nie pytam się o to,
Boś jeszcze słaby, a mnie czas do dzieła;
Znaczno, żeś szlachcic — ej, młoda słaboto!
Podziękuj Bogu, że niemoc minęła! —

XVI.

Tak kędy serca proste, chata cicha, ciepła,
Choroba przemijała, a dusza mi krzepła.
Zszedłem z łoża niemocy. Dni za dniami biega,
I chciałem już opuścić chatę gajowego,
Iść gdzie oczy poniosą na rozstajne szlaki,
Wybrać sobie pustynię albo klasztor jaki
I tam resztę żywota spędzić na pokucie;
Lecz tu mię zatrzymało wdzięczności poczucie.
On mi życie przywrócił, on czuwał nad chorym,
Grzechby ciężki tak prędko rozstać się z Hrehorym.
Ile ręce umieją, ile siła starczy,
Postanowiłem dzielić ich trud gospodarczy.
A to już była jesień — pomiędzy polany
Pustował w dzikim borze grunt niepoorany,
Bo gajowy pod starość rozleniwiał trochę,
Wolał pieski i strzelbę, niż woły i sochę; —
Więc mi przyszła ochota, dziej się Boża wola!
Poorzę mu, jak umiem, choćby zagon pola;
Przez to szlachecka ręka nie zhańbi się srodze;
Potem zboże posieję i płotem ogrodzę,
Jesień tu popracuję, a w zimowej dobie
Odejdę, zostawiwszy pamiątkę po sobie.
Jak się rzekło, tak stało. Z razu trudy marne:
Socha była mi ciężka, a woły niekarne,
Niewprawnemi rękoma wiedzion pług zębaty
Kroił ziemię w gzygzaki i w podarte szmaty.

Ale z pracą i na to znalazła się rada;
Już się w równiejsze skiby mój zagon układa,
Oswoiła się ręka z siekierką i z broną,
I grunt mego zasiewu zaruniał zielono.
A Hrehory i nierad, i rad, że mu służy,
Przepraszał mię, szlacheckiej dziwił się naturze,
Wybadywał, kto jestem? czy rodem stąd blisko?
Chciał wiedzieć me przygody i moje nazwisko.

— I na cóż wam — mówiłem — moje straszne dzieje?
Pozwólcie, niech pracuję, niech nie leniwieję,
Niech dla ciebie poświęcę me siły młodzieńcze.
Za życie, za czuwanie, za chleb się wywdzięczę! —

Tak zbywałem pytania — a żałując czasu,
Szedłem z sochą na pole, z siekierą do lasu;
I tutaj w pocie czoła wśród modlitwy Bożej,
Och! gdyby spokój ducha, byłoby niezgorzej.

XVII.

Hrehory miał córkę w wiosnianym dni kwiecie;
W borowej zaciszy wyrosło to dziecko,
Jak chmielu gałązka, gdy wić się poczyną,
Lękliwa i żwawa, jak leśna ptaszyna;
Jak leśna przyłasczka błękitne jej oko —
A duma poważnie — a wzdycha głęboko —
Czuwała przy mojej Łazarza pościeli.

Jak leśna wiewiórka póki się ośmieli,
Od wzroku truchleje, od ręki ucieka,
I znowu ci w oczy pogląda z daleka,
I znowu się zbliży, i zwolna, ach! zwolna
Oswoi się z człekiemi figlarka swawolna,
Poczyną igraszkę a czasem gdy łaska,
Na ramię ci wskoczy, oblicze pogłaska,
I znowu ucieka, po drzewach się wspina:
Tak samo nieśmiała, pierzchliwa dziewczyna
Wlepiała mi w oczy wzrok pełny rozkoszy;
To coś ją przynęci, to znowu odpłoszy.
Nie chciałem o serce dobijać się młode,
I wzrokiem zbrodniarza zatruwać swobodę
Niewinnych jej dumań.

Bywało gdy w święto,
Ja siedząc oparty o kłodę wyciętą,
I z twarzą pochmurną, jak dusza skalana,
Modlitwę pokuty zasylałem do Pana, —

A ona swobodna jak motyl skrzydlaty,
Wybiega do lasu w jagody, po kwiaty,
Zatrzyma się przy mnie, popatrzy mi w oczy,
I głowę opuści, oblicze zamroczy,
Poduma — i z trwogą aż cofnie się zbladła,
Jak gdyby głąb piersi mordercy odgadła.

Bywało z siekierą gdy ręka mi słabnie,
Gdy skiiby z pod sochy ścielą się niezgrabnie,
Gdy kosa nierówno uderza po trawie,
Śmieje się dziewczyna i pyta ciekawie:

— Ej, Kuźmo! kto jesteś? i z jakiej ty strony?
Jak starzec posepny, jak szlachcic pieszczony!
Prawdziwe chłopaki to u nas nie tacy:
Ochoczy w zabawie, a dzielni do pracy.
Czy wiesz co? zapomnij twej wioski dalekiej,
Tu zostań na długo... na długo, na wieki;
A wtedy obaczysz... odżyjesz w tym lesie:
Tu praca i siłę i zdrowie przyniesie.
Tu będziem pracować, tu będziem się śmieli,
Dla ciebie tu zdrowiej, a dla nas... weselej. —
— Pozostań tu z nami — raz mówił Hrehory —
Ja codzień to gorzej i stary i chory,
I w lesie i w chacie coś idzie nieskładnie,
A jak ty odejdiesz, i ten ład przepadnie!
Ot ja ci po prostu swe myśli odkryję:
Marya cię lubi — ty lubisz Maryę;
Choć, widzisz... pustota jej trzyma się głowy,
Ty mruczysz poważnie jak niedźwiedź borowy;
Lecz widzę was dobrze... czy w polu, czy w chacie,
Wy sami nie wiecie, że wy się kochacie.
Więc przyjdźcie tu do mnie, o zgodę poproście,
Pójdziem się pokłonić we dworze staroście,
Wyprawim sowite wesele i tany,
I będziesz mym synem, mój Kuźmo kochany.
Ty strzelasz niezgorzej, widziałem już próby,
A ja ci przekażę myśliwskie sposoby,
I strzelbę żwirówkę, pocziwe narzędzie —
Zostaniesz tu strzelcem... i dobrze ci będzie.

XVIII.

Tak mi mówił Hrehory — a jam zdrętwiał cały,
Uśmiechnąłem się niby, i łązy się polały,

I w głąb mojego serca zajrzałem z obawą:
Och, jam kochał Maryę! Ale któż dał prawo
Temu posiadać szczęście niewinne młodziana,
Czyja przeszłość zbrodnicza, a dusza skalana?
Jam zatrul cudze szczęście — ach! tam w mojej włości
Płynęła krew niewinna, płyną łzy żalości!
Tam, gdzie syna kmiecego zgładziłem ze świata,
Ojciec, matka przekłętwy do Niebios kołata;
Gdy na mnie piorun Boży gotują ich żale,
Jazbym tutaj o szczęściu śmiał myśleć zuchwale?
Nie... ucieknę! ucieknę do mojego siola,
Jak mi kapłan rozkazał, jak sumienie woła,
Rzucę herbowną pychę... o! dosyć jej, dosyć!
Dziś umiem, dzięki Bogu, i orać i kosić;
Już zapomnę, żem rycerz herbowny, bogaty,
Zastąpię starym kmieciom podpore ich chaty...
Och! i tego za mało gwoli ich pociesze:
Zastąpię wyrobnika — lecz syna nie wskrzeszę!

XIX.

Gdy takie myśli Bóg we mnie budzi,
W nocy uciekłem od dobrych ludzi,
Wyszedłem z lasu, choć poniewoli;
A serce bije, a dusza boli,
Bo w lesie szczęście moje zostawa;
Ale ofiara wielkie ma prawa.
Widzę przed sobą, widzę zaiste
Drogi cierniste i krzemieniste —
Lecz nawet z bólu jęknąć nie mogę.
O! któryś odbył krzyżową drogę,
Na mojej drodze wzmocnij mię, Chryste,
Na szczyt Golgoty! — Nierówna miara:
Bo tam za ludzkość święta ofiara,
Tam był miłości przykład jedyny,
Tu jeno własnej zgładzenie winy.
Że sercu ciężko? och, to rzecz błaha!
Przeklęctwo temu, kto się zawaha,
Kto swą powinność spełnić się zleknie,
Kto pod ciężarem krzyża zastęknie!

XX.

Tak świętej powinności przejęty zapaleń,
Do rodzinnego siola pieszo wędrowałem;

Z kijem, z torbą obszedłem okoliczne strony,
Niby żebrak, roboty i chleba spragniony:
Zwiedziłem dom ojczysty — co zmian w krótkiej chwili!
Nowy dworzec postarzał, rodzice nie żyli,
Moja siostra władała i dworem i siołem;
O mnie mówili ludzie, że w boju zginałem.
Młodszy mój brat, przed królem stanąwszy przytomnie,
Chorażowstwo połockie odziedziczył po mnie.
W domu ojców nie zgadli kto snadź ten ubogi,
Własny brytan myśliwski szarpnął mię za nogi,
A nawet mnie nie poznał ni z twarzy, ni z mowy
Stary szafarz, mój niegdyś luzek obozowy.
On popatrzał mi w oczy, na twarz, na łachmany,
Podał mi chleb razowy i szeląg miedziany,
I westchnął stary kamrat pancernego znaku:
Za duszę Kazimierza, pomódl się żebra-
Rzekł i odszedł powoli. [ku!

O strono domowa!

Więc tu jeszcze ktośkolwiek moją pamięć chowa!
Ale nikt mię nie poznał — czy twarz moja blada?
Czy czarna, gęsta broda, co na piersi spada?
Nie odgadli żebraka w progach jego domu,
A jam się nie dał poznać nikomu.. nikomu.

XXI.

Poszedłem do mej wioski — co tu zmian, mój Boże!
Jedną chatę wzniesiono, a druga się wali.
Siadłem w izbie karczemnej, przy progu. w pokorze;
Był to wieczór, a ludzie z pola powracali
I zaszło tutaj kilku starych gospodarzy,
Jeden z kosą, ów z cepem — usiedli za stołem,
I jeden do drugiego przepija i gwarzy.

Ja pilno słuchać począłem.

I zadrżałem, bom poznał starego Marcina,
Któregom osierocił w moje dni junacze;
Dziad postarzał, posiwał, garbić się poczyną,
Oczy mu krwią zabiegły, znać, że często płacze.
On przy czarce, przy lulce, w kole towarzyszy,
Rozpłakał się, gdy stare opowiadał dzieje:

— Ej, kumie Mikołaju! Bóg widzi i słyszy,
Co ja codzień wycierpię, co ja łez wyleję!

Ej! pan Kazimierz Korsak, niech Bóg nie pamięta!
 Pokrzywdził mię... wypenił mój ród na tej ziemi —
 Ot! kumie! jużbym dotąd piastował wnuczęta,
 Jużbym dziś, wyręczony rękami młodszei,
 Wypoczywał na starość i cieszył się dziatwą.
 O stare moje lata! o doloż ma licha!
 W lat sześćdziesiąt pracować... nie łatwo, nie łatwo!
 Czoło z potu, a oko od łez nie wysycha...
 Hej, panie gospodarzu! gorzalki przynieście!
 Wypiję, to mię jakoś orzeźwi, odmłodzi.
 Możebym rozżalony przeklinał nareszcie
 Zabójcę mego dziecka — a to się nie godzi,
 Już i tak on skarany za zbrodnicze dzieła,
 Poszedł rachunek z Jankiem odprawić do grobu,
 Jednego i drugiego kula nie minęła, —
 Niechże Bóg nad duszami zlituje się obu!
 Kumie, w ręce waszeci! czarkę jeszcze wzniosę
 Na szczęśliwe skonanie!

Stery wypił szczerze,
 Wstał, zarzucił na plecy swe grabie i kosę,
 I powłókł się do domu, szeptaając pacierze.

XXII.

Śladem za nim poszedłem aż do jego chaty
 Ja, dziedzic włości bogaty,
 I niby to z daleka przychodzień, sierota,
 Zakolatałem we wrota;
 I prosiłem ze łzami, by starzy kmiotkowie
 Dali przytułek mej głowie..
 Ja mam silne ramiona i serce ochocze,
 Ja was staraniem otoczę,
 Ja się pracą wywdzięczę za przytułek w chacie,
 Wszakże wy syna nie macie,
 I ja jestem sierota — wy dla mnie na świecie
 Ojcem i matką będziecie.
 Ja ujmę w młodsze ręce twoją, starcze, sochę!
 A chleba i strawy trochę,
 Trochę czułego serca niech litość przeznacza
 Dla nieszczęsnego tułacza.
 Tak mówiłem — prostota i łza moja szczerza
 Poczciwe serca otwiera.
 Popłakali się starzy, ofiarę przyjęli,
 Siedliśmy za stół weseli;

A przy skromnej wieczerzy, wieśniaczka zgrzybiała
Kiedy mię synem nazwała,
Uczulem taką radość, taki spokój żywy,
I byłem taki szczęśliwy,
Jakby sam Bóg zawołał, kojąc me rozpacze:
„Kaimie, Ja ci przebaczę!”

XXIII.

Już siódmy rok się kończy, jako u nich żyję,
Jarzmo pracy rolniczej włożywszy na szyję.
Razem z duchem ofiary wzmagala się siła,
I chatnia gospodarka w mych ręku odżyła.
Potem mojego czoła zlewałem zagony,
I rodził grunt, starannie z chwastów wypłeniony;
Pracowałem i ręką, i sercem, i głową,
Pobudowałem chatę i stodołę nową.
Ani na dworne miedze, ni na swoje pole,
Nigdy bywało ojcu ruszyć nie pozwolę;
Nigdy bywało matce praca nie dobodzie,
Nie przyszło żać na niwie lub kopać w ogrodzie.
Jam pracował dla wszystkich, ile siła zmoże;
Odbierałem obelgi i chłosty we dworze,
Bo nikt się nie domyślał z całego tu grona,
Ani dworski starosta, ni siostra rodzona,
Żem ja, brat zaginiony, żem dziedzic ich włości
Takem się ja za zbrodnię wypłacał ludzkości...
Tak, ojczyźnie spowiedniku! wedle twojej myśli
Założoną pokutę spełniłem najściślej:
Wdziałem wełnianą odzież, jaką noszą chłopci,
Przepasałem me biodra powrozem z konopi.
We własnej mojej wiosce, ja dziedzic bogaty,
Szedłem za wyrobnika do sieroczej chaty,
I rodzicom ich syna zastępując szczerze,
Poświęciłem się cały sosze i siekierze.
Oto po siedmiu leciech, po mozolnej pracy,
Przyznali mię za syna zgrzybiali wieśniacy.
Oto ci całe życie wyznaję swobodnie...
Księżu! w imię Chrystusa odpuszczaj mi zbrodnię!
Czuję, że życie moje chwilami się liczy:
Piersi moje osuszył kaszel suchotniczy;
Słowa, któremi moje otwieram ci rany,
To ostatni wysiłek piersi skołataney.

Nikomu nie powiadaj, kto jestem, kto byłem:
 Srodze pokutowałem, bo srodze zgrzeszyłem.
 Tu nie masz bohaterstwa ni wielkiej zasługi —
 Gdybym żył drugie życie, jeszczebym raz drugi
 Odbył taką pokutę w pokorze i skrusze...
 O Boże, chciej przygarnąć bolejącą duszę!...

XXIV.

Chory przestał już mówić — a ciekawa rzesza
 Pogląda nań, z boleści ściskając ramiona.
 Spowiednik rozgrzeszenia modlitwę przyspiesza,
 Dopóki Łazarz nie skona.

Ale jeszcze nie skonał, jeszcze się porusza,
 Kaszlnął krwią, podniósł oczy i cichemi słowy:
 Ojczy!... matko!... przebaczcie!... — i już jego du-
 Stoi przed sądem Jehowy. [sza

Z duszą jego jęk starców poleciał ku Niebu;
 Zapłakali sąsiedzi, których dzielił pracę;
 Jezuita spłakany wywiódł pieśń pogrzebu;
 O requiescat in pace!

XXV.

Kazimierz Korsak śpi w wiejskiej mogile,
 W chłopskiej sukmanie — a jak tego życzy,
 Jego ród pański i poświęceń tyle,
 Wszystko ukryte w ciszy tajemniczej.
 Tylko Podolec dla przyszłej pamięci
 Rzec całą w aktach zapisał w klasztorze,
 I stary Marcin domyślał się może,
 Bo gada z sobą i głową coś kręci,
 I na mogiłę chodzi co poranka,
 Kędy dwa groby, i Kuźmy, i Janka.
 I wkrótce ludzie wykopali z bliska
 Dla dwojga starców piaszczyste mogiły.
 Zielskiem zarosły cztery grobowiska,
 I cztery krzyże z latami zegniły.
 W wiosce czas jakiś gadano jedynie
 O młodym Kuźmie, co przybył w te strony,
 I jakby cudem Bożym nawiedzony,
 Ostatnią spowiedź odbył po łacinie.

XXVI.

Może w końcu gawędy ciekawi jesteście,
 Co z Hrehorym, co z Marją stało się nareszcie?

Czy w lesie, gdzie pracował, gdzie przeżył nie mało,
Jakikolwiek wspomnienie po Kuźmie zostało?
Och, zostało wspomnienie!... tu od chaty blisko,
Mchem borowym porośłe proste grobowisko;
I w sercu Hrehorego niezgojona rana,
I w starych jego oczach łza nieprzeplakana,
Jak woda, co z pod góry wyciska się z cicha,
Spada jeno kroplami, ale nie wysycha.
Gdy Kuźma zginął z chaty, był popłoch niemały:
Mniemano, że go zwierze w lesie rozszarpały,
Mniemano, że na puszczy zabłąkał się może,
Lub że biedny utonął w pobliskiem jeziorze.
Hrehory wzywał ludzi, błąkał się po kniei,
Wołał i w róg wołowy trąbił po kolei,
Lecz za całe wołanie, za odpowiedź całą
Tylko w sosnach borowe echo odhukało.
Hrehory przestał szukać...

A biedna Marya

Rozpaczliwem wołaniem wciąż niebo przebija:
„Kuźmo! Kuźmo! gdzie jesteś?” — woła w puszcę głu-
Tamuje oddech w piersi i natęża ucho, [chą,
Kędy echem pustynia odezwie się dzika,
Ona biegnie w tę stronę i znowu wykrzyka.
A gdy w jęku i biegu opuszcza ją siła,
Głos gdy drętwiał, a usta spiekota paliła,
Ona tchem gorączkowym chcąc orzeźwić łono,
Przypada w dzikie chwasty i trawę zieloną,
I zrywa się, i bieży obłąkane dziecko:
„Kuźmo! Kuźmo! gdzie jesteś? odezwij się przecie!”
Przedziera się przez chwasty, to jęczy, to klęka,
Modli się, padłszy na twarz, aż łzami przesięka
Mech borowy, i ziemia wilgotna, i trawa,
A z ziemi chłodem wionie — lżej sercu się zdawa.

Po czterech dniach upadła w boleści i trudzie,
O trzy mile od chaty znaleźli ją ludzie:
Zbladły lica, na których kwitł rumieniec żywy,
W rękach ściśnięte kwiaty i dzikie pokrzywy.
Mniemali, że umarła, bo blada i milczy,
Tylko w błękitnych oczach blask dziki, jak wilczy,
Migoce, zdradza życie, co już gasnąć zaczyna,
A poczerniałe usta coś szepcą dziwacznie.

Przysłuchali się ludzie: och, znajome słowo!
 Dziewczyzna śni wesele, śpiewa pieśń godową,
 Że niby to ją Kuźma po imieniu woła,
 Że niby to ją družki wiodą do kościoła:

XXVII.

Słonko niedzielne świeci,
 Świeci jasną pogodą —
 Ojczy, błogosław dzieci!
 Już mię do ślubu wiodą.
 Na dworze gości roje,
 Tam i lubego zoczę;
 Družki, wy siostry moje,
 Spieszcie mi pleść warkocze!
 Kieruj pod cmentarz konie,
 Pod cmentarz, družbo miły!
 Ja matce się pokłonię,
 Przeżegna mię z mogiły!
 Z ruty zielony wianek
 Na moją głowę włoży, —
 Ej, Kuźmo, piękny ranek
 Piękną nam dołę wróży!
 Ej, spieszcie lasem, błonią,
 Bo droga nam daleka!
 W kościele dawno dzwonią,
 Ksiądz przed ołtarzem czeka!

XXVIII.

Tak szepcąc, jęcząc piosnkę — skonała po chwili.
 Struchleli dobrzy ludzie, co świadkami byli;
 A piejąc Anioł Pański drużyną gromadną,
 Ojcu odnoszą zgubę i na ławie kładną.
 Stary ojciec nie płakał, tylko ruszał głową,
 Milcząc wyciosał mary i trumnę jodłową;
 Wykopał sążeń jamy na jej trumnę drobną,
 A księdzu dał na dzwony i na mszę żałobną.
 I garść piasku nasypał dziewczęciu na oczy...
 Grób ją z lubym zjednoczył — czyż Pan Bóg zjednoczy?

PAN MAREK W PIEKLE.

PRZYPOWIEŚĆ SZLACHECKA.

I.

Panie Jakóbie! C a n o n i c a h o r a...
Żyjemy z sobą nie dziś i nie wczora,
Byliśmy razem smutni i weseli,
Razem miód pili i razem krew leli;
Co zjedli soli nie przemierzyć korcem,
Snuli się niegdyś pod jednym proporcem
Po całym świecie, jak po piekle Marek —
Toć miło razem wychylić puharek.
Daj Bóg na starość pocieszyć się zdrowiem!
Ja ci o Marku przypowiadkę powiem.

II.

Ten Marek — słuchaj Jegomość Dobrodziej —
Jak się nazywał i z kogo się rodzi,
Jakiego herbu używał w sygnecie,
Nic nie wiadomo, a świat różnie plecie.
Lecz był to szlachcic; mimo szlachty braci,
Z wielkim się domem jakoś koligaci:
Nie już po mieczu doszedł paranteli,
Lecz się poplątał więzami z kądzieli,
Co mu tak serce próżnością rozlechce,
Że z drobną szlachtą i gadać już nie chce;
Szlacheckie dwory omijając zdala,
Jeno się pany możnymi przechwala.
Zamiast zajadać z dziatkami i z żoną
Szlachecki barszczyk ze schabą wędzoną
I pijać piwko, co się w kuflu pieni,
Pan Marek wzdycha do pańskiej pieczeni
I do ukłonów stare kości zgina,
By spijać męty pańskiego węgrzyna.
Na chudej szkapce, z szabelką u pasa,
Z zamku do zamku ustawicznie hasa:
Tam pan kasztelan wyprawuje gody,
Tam imieniny pana wojewody.
Gdzie brat choruje, tam go ani proście:
On spieszy leczyć ogary staroście.
Dopieroż patrzaj, jak wyciąga szyję
I jasnym panom prawi oracye,

Jak ich wywodzi od dziada, pradziada,
Jak submituje i do stóp się składa!
A jasne pany, zwyczajnie jak pany,
Szlacheckim plecóm nie skąpią swej ściany,
Rzekomo szlachtę przyjmują z rozkoszą,
Na szarym końcu do stołu poproszą,
Tam przypochlebiaj, znoś urągowiska,
A przed sejmikiem pan za to uściska,
A na sejmiku swojej sprawie gwoli
Łeb na szablice nadstawić pozwoli:
Oberwiesz kresę, to ją znoś w pokorze!
Panie Jakóbie! czyż nie prawda może?

III.

Już to prawdziwie, gdy się człek obliczy,
My szlachta lubim ten chleb służebniczy,
Radziśmy w pańskiej ujarzmić się sosze,
Ten mniej, ten więcej, a wszyscy po trosze.
Ale pan Marek w pochlebstwa ferworze
Uboższych nie miał za stworzenie Boże;
Tylko w gospodzie, przy szlachcie poziomej
Lubił wyliczać senatorskie domy,
Z którymi, mimo dziurawej oponczy,
Albo przyjaźnią, albo krwią się łączy,
Z którymi żyje tak za-panie-bracie,
Jakby sam krzeszło zasiadał w senacie.
Pan Marek ginął, ciesząc się, że ginie,
Przyjmował pany w ubogiej wioszczynie,
Rad, gdy zapasy grosza i spiżarnie
Zjadały pańskie pacholki i psiarnie.
A nigdy w imię braterskiej równości
Kowieńskim lipcem nie uraczał gości;
Jeno, nie bacząc, staje czy nie staje,
Sprowadzał z Węgier kosztowne tokaje,
I (co podanie wiarogodne ręczy)
Jakby w kościele, palił воск jarzączy.
Kominek doma był prawie nieznany:
Wstyd przy ognisku biesiadować z pany.
A głupie zdanie! od świecy jarzącej
Kominek światła i ciepła ma więcej.
A kiedy buchnie, zahuczy, wystrzeli,
Ludzie, chcąc nie chcąc, muszą być weseli.

Zwłaszcza gdy wtórzy do ognia wybuchu
Brzęk szklanicy, miły szlacheckiemu uchu;
Rodzą się dumki, gawędki, prze zdrowie!
Panie Jakóbie! czy ja prawdę mówię?

IV.

Prawda? więc jeszcze brzęknijmy w puharek!
Co ja mówiłem?... otoż to!... pan Marek,
Lekce szlacheckie poważając rzesze,
Czepia się panów i ku ich pociesze
Nie szczędzi karku, trzосу i oręża,
Odłůża wioskę, zdrowie nadweręża.
Przyszła choroba, po krótkiej chorobie
Umarł nieborak i położon w grobie.
Tu nikt nie płakał u grzesznego ciała,
A tam się dusza — do piekieł dostała,
Czy, mówiąc grzeczniej, jeśli taka wola,
Poszła na święte elizejskie pola.
Tam się ognisko niezgasłe rozpała,
Męki Danaid, Syzyfa, Tantala
Obaczył Marek z przerażoną twarzą.
Ale iż głupców tak srodze nie karzą,
Więc go strażnicza dopuściła władza,
Gdzie orszak zmarłych cieniów się przechadza.
A był to ogród cienisty, szeroki,
Zawierał gruntu trzy lub cztery włoki,
A kędy lasek czy kwiecista łąka,
Gromada cieniów swobodnie się błąka.
Niejeden z cieni stając przy sąsiedzie,
Macha rękoma — snadź rozhovor wiedzie;
Ciała nie widać, lecz kędy cień głowy
Gwar się rozlega poważnej rozmowy.
Pan Marek myśli: — Ha! tu jak na ziemi
Człek się nagada, będzie żył ze swemi,
Jeno potrzeba po dworsku i gładko
Z jakich się panów połączyć gromadką.
Ot, kilka cieniów toczy się, jak płynie —
Znaczno po minie, znaczno po czuprynie,
Co to za ptaszki i jakie ich pierze:
Wojewodowie, hetmany, kanclerze!
Jeden cień mówi — ho! poznaję z mowy,
To pan wendeński starosta grodowy! —

Pomyślał Marek i bieży doń prosto!
— Powolne służby dostojny starosto! —
I cień swej ręki, jak za dawnej chwili,
Do cienia kolan starosty uchyli;
Lecz się starosta nie odklonił wzajem,
Tylko zachrząknął pańskim obyczajem,
I odszedł dalej, nachmurzywszy lica,
Jakby nie widział i nie znał szlachcica.
— Dzisiaj starosta w niedobrym humorze!
Ot pan kasztelan — przywita się może! —
Pomyślał Marek i przed cieniem stanie:
— Powolne służby, mości kasztelanie! —
I cień swej ręki, jak za dawnej chwili,
Do cienia kolan kasztelańskich chyli;
Ale i tutaj nadaremna praca:
Kasztelan spojrział i wstecz się odwraca.
Więc Marek dalej, wciąż snuje się dalej;
To wojewodzie powitanie pali,
To hetmanowi swój afekt wymierza,
To się przysunie do pana kanclerza,
Aż łamie ręce — nadaremna rada,
Bo żaden z panów i słowa nie gada,
Choć między sobą, gdy się w kółko zgarną,
To słyhać śmiechy i rozmowę gwarłą.
Simili gaudent — każdy równej głowie —
Panie Jakóbie! czy to złe przysłowie?

V.

Marek w rozpacz — boć to męka szczera:
Język się gwałtem gawędki napiera,
I wszyscy gwarzą, i wszystkim tak błogo,
On nie ma słowa wyrzec do nikogo.
— No! myśli sobie, po takiej nauce
Już ja do panów nie rychło powrócę.
Ot, tam pod cieniem cedrów i oliwy
Szlachecki sejmik — ale jaki żywy!
Jaki gwarliwy! po zakroju znaczno,
Że zaraz bić się i zapijać zaczną,
Do szlachty, Marku! do swoich podążym:
Tu cześnik żwawo rozprawia z chorążym,
Wojski ze skarbnym do bitwy stanęli,
Już się krzyżują cienie karabeli,

A regent, znacznie już cięty potrosze,
 Woła do szlachty: „Uciszcie się, proszę!”
 Oto pan miecznik naprzeciw mnie kroczy...
 „Czołem mieczniku!” — rzekł Marek ochoczy.
 Ale ęnsifer — skąd taka niełaska? —
 Wąsa zakręcił, czuprynę pogłaska
 I rusza dalej, nasrożywszy lica,
 Jakby nie widzał, nie słyszał szlachcica.
 „Czegoś niewesół... niech sobie się złości!
 Panie rotmistrz, mój pokłon waszmości!”
 Zawołał Marek; ale próżna praca:
 Rotmistrz pomruknał i wstecz się odwraca.
 Więc Marek dalej, wciąż snuje się dalej...
 Czy go nie widzą? czy go nie poznali?
 Kogo powita, do kogo zawoła,
 Wszyscy od Marka odwracają czoła;
 Kogo chce ścisnąć — wymyka się ręka,
 Napróżno woła, zaklina, uklęka
 I błaga cieniów: Szlachcicowie mili!
 Byście choć słówko przemówić raczyli,
 Przyjmijcie brata, nie karzcie surowo!
 Lecz cienie tylko potrząsają głową;
 A gdy upada, gdy do nóg się ściele,
 Oni wzgardliwie brzęczą w karabele.
 Ot, jak mu płacą — i dobra zapłata!
 Bo kto się hardo wymykał od brata,
 Niechaj na zawsze odrzucon zostanie!
 Panie Jakobie! czy to słuszne zdanie?

VI.

— Niech лихо bierze szlachtę od waszeci!
 Na złość herbownym przystanę do knieci! —
 Zawołał Marek, już zły co się zowie.
 Tam wedle zdroju siedzieli kmiotkowie;
 Kiwa coś głową pracowita tłuszcza
 I z krótkich lulek dym kłębem wypuszcza.
 A cienie gwarzą: — Ej, panie sąsiedzie!
 Bóg raczy wiedzieć, jak dziatwie się wiedzie?
 Za naszych czasów głód pukał do chatek,
 Na święty Marcin i czynsz i podatek,
 A grunt jałowy, nie użyźnić pracą...
 Boże, mój Boże, czem oni wypłacą!? —

Tak sobie gwarzą ubodzy włościanie,
 Gdy się pan Marek zbliżył niespodzianie.
 Ale na widok pańskiego kontusza
 Cała gromada z miejsca się porusza,
 Kłania się nisko przed obliczem pana
 I wstecz ucieka, jakby rozegnana.
 Bo widzisz aspan, że chłopska gromada
 Sercem ze szlachtą dzielić się nie rada;
 Wie, żeśmy o nich nie wielce ciekawi
 Czy złe, czy dobre, w głębi serca dławii.
 Bo taki narów już mają ludziska:
 Trzeba zasłużyć, nim ufność się zyska;
 Spółczucie bywa spółczucia zapłatą.
 Panie Jakóbie! a co waszeć na to?

VII.

Marek zębami aż zazgrzytał wściekle,
 Dalej a dalej snuje się po piekle;
 Od chłopskiej ciżby ucieka na stronę,
 Gdzie chodzą pany jaśnie oświecone;
 Gdy jasne pany gadać z nim nie raczą,
 Znowu się kryje za ciżbę wieśniaczą;
 A kiedy kmiotki uciekają przed nim,
 Idzie się kłaniać szlachcicom sąsiednim;
 Lecz odepchnięty od szlachty i kmieci
 Na nowo panom swe służby zaleci.
 Gdy tak się snuje od grona do grona,
 Mijają lata, wieczność nieskończona;
 Wszyscy się cieszą ze swymi w gawędzie,
 A Marek wiecznie pokutować będzie.
 Od wszystkich spotkań szmerem pośmiewiska,
 Nikt go nie pozna, ręki nie uściska,
 Żaden go z braci nie uzna za brata...
 Panie Jakóbie! czy słuszna zapłata?

VIII.

Pewna pobożna niewiasta w klasztorze,
 Miewając we śnie objawienia Boże,
 Między innemi widziała w zachwycie
 Marka po śmierci opłakane życie.
 Jako na siostrę zakonną przystało,
 Słowo do słowa historię całą

Spowiednikowi wyznała przy kratce,
Potem do ucha przełożonej matce,
Potem siostrzycom. Przez usta niewieście
O Marku w piekle zagadali w mieście
I w całym kraju; a na tej podstawie
Pomiędzy ludźmi powstało przysłowie,
Że kto się snuje od kąta do kąta,
Mówią: jak Marek po piekle się płata.
Ludziom śmiech tylko — niech śmieją się zdrowi!
A tam bolesno, bolesno Markowi
Wyspolecznienie od swoich ponosić...
Ej, u nas takich grzeszników jest dosyć!
Niech Bóg im chętkę pochlebstwa odbierze —
Panie Jakóbie! znówmy trzy pacierze.

22 grudnia 1853. Tulonka.

URYWEK.

Zrąbali dąb, gdzie Litwin Perkunasa chwalił,
I krzyż tam postawili — a krzyż wiatr obalił.
Dlaczego Bóg wasz krzyża Swojego nie broni?
Och! potrzebny nam Perkun z piorunami w dłoni?
Wszak jeszcze świętokradców jest liczba tak mnoga,
Co bluźnią starych bogów i nowego Boga!
Wy przecież o swym Bogu powiadacie chytrze,
Że odkrywa aż w sercu uczucia najskrytsze,
Że zgaduje rzut oka, cień myśli człowieka. —
Zgaduje, zapisuje i poprawy czeka.
Zawsze jest nad grzesznikiem cierpliwości łaska!
Perkun niedługo czeka, a piorunem trzaska.
O! zuch nasz stary bożek — bo on dobrze świadom,
Że cnotliwy ulegnie zbrodniczym przykładom;
A dla złego człowieka wszystko mniejsza o to,
Nie łatwo złość swą uzna, uklęknie przed cnotą.
Zabij złego, bo dobry przyjdzie ku zatracie.
A u was co?

Nie bluźnij, nie bluźnij, mój bracie!...

1854. Borejkowszczyzna.



SPIS RZECZY.

	Str.
Ludwik Kondratowicz	III
UTWORY EPICKIE.	
Pocztylion	3
Błogosławiony Sadoch	5
Trzy gwiazdki	9
O chwale Bożej i chwale królewskiej	13
Dyferencya	17
Chodyka	23
Kradzione	38
Zalotnicy	41
Urodzony Jan Dębóróg.	
Przedśpiewek do litewskiego czytelnika	44
Urodzony Jan Dębóróg	47
Sen Definitora	87
Epilogos do drugiego wydania	99
Zaścianek Podkowa	101
Żebrak-fundator	119
Grabarz	126
O skarbcu zaklętym	128
Hetman polny	135
Wieś Lubraniec	136
Kanonik Przemyski.	
Pieśń pierwsza. — Wieczór w Łścinie	140
Pieśń druga. — Trzej Okszyce	151
Pieśń trzecia. — Wyznania	159
Pieśń czwarta. — ***	173
Żywot pocziwego człowieka	180
O Zabłódkim i mydle	183
Gramatyka	195
Kojec z kurczęty	196
Spowiedź pana Korsaka, chorążego Połockiego	201
Pan Marek w piekle	223
Urywek	229

KSIĘGARNIA
ANTYKWARIAT

DOM
KSIAZKI
DOM

7/vn
540,-



871284

E

XXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXX



Wojewódzka Biblioteka
Publiczna w Opolu

9721/I S



001-009721-01-0